

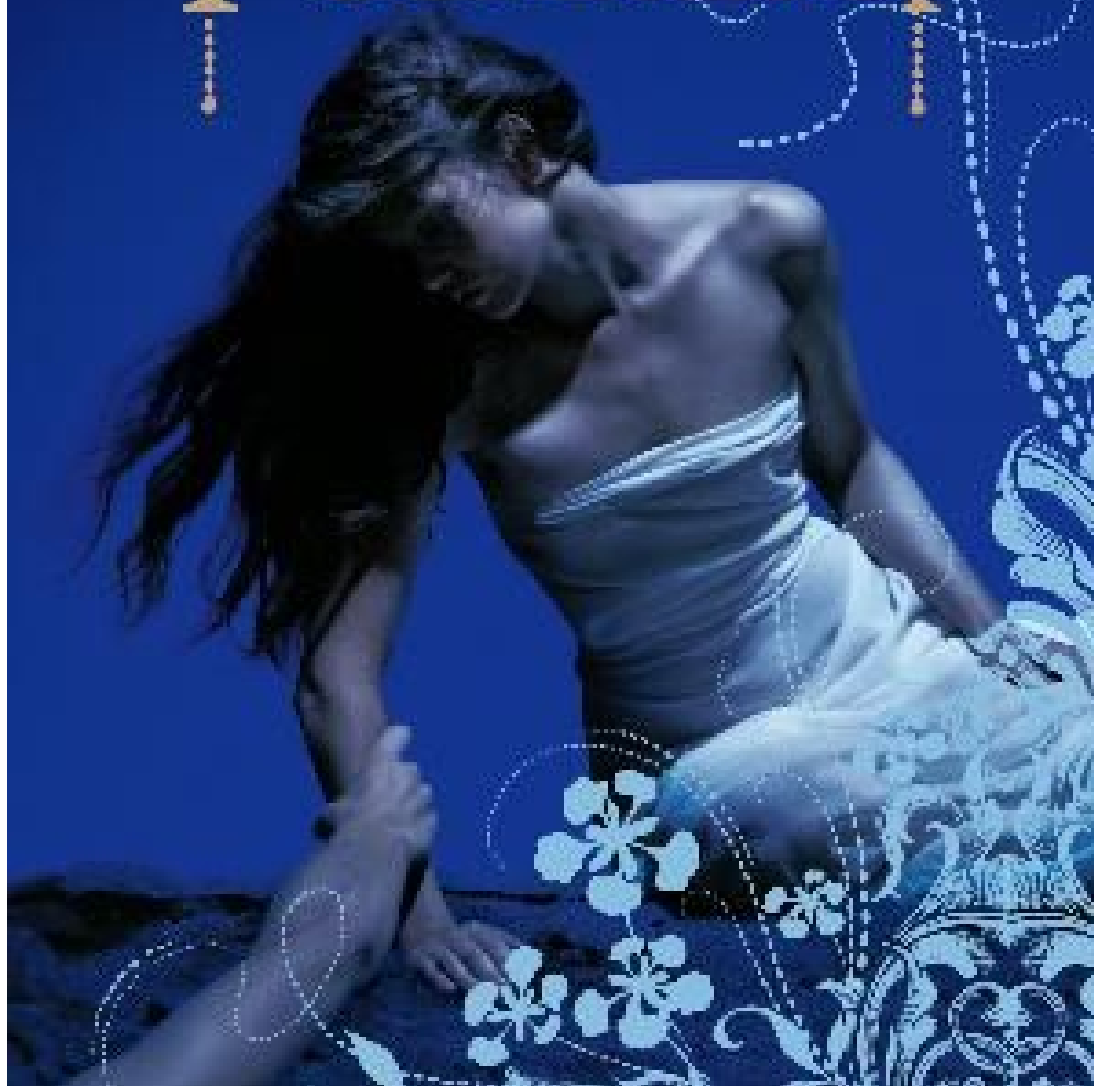
Historia współczesnej dziewczyny porwanej w Porzuczonych  
w mityczne zaklęty toczy się dalej – w Świecie Podziemi...



Autorka światowych bestsellerów nr 1

# MEG CABOT

## ŚWIAT PODZIEMI



# Cabot Meg

## *Porzuceni 02*

### Świat podziemi

*Siedemnastoletnia Pierce nie umarła. Ale wyrwana ze swojego świata, ze szkoły i z rodziny, jest uwięziona w mrocznej krainie pomiędzy niebem i piekłem, gdzie dusze zmarłych czekają na swoją ostatnią podróż.*

*John Hayden, pan zaświatów, sprowadził ją tu jak Hades mityczną Persefonę. Twierdzi, że tylko tu jest bezpieczna. Że tylko tu może ją chronić. Bo niektórzy zmarli powracają – jako Furie, by się zemścić na nim... i na jego ukochanej. Lecz to tylko część prawdy, jaką wyjawia jej John. A bardziej niebezpieczna niż gniew Furii może okazać się miłość Pierce do władcy tego świata...*



*Starsze ode mnie twory nie istnieją,  
Chyba wieczyste - a jam niepożyta!  
Ty, który wchodzisz, żegnaj się z nadzieją*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń III\*

Pierce wciąż miewa straszne koszmary. - Moja mama powtarzała to wszystkim lekarzom, do których chodziliśmy po wypadku. - Mówi przez sen... Wybacz, kochanie, ale tak jest... o jakimś chłopaku, który ją śledzi. Czasami nawet budzi się z płaczem. To raczej nie jest normalne. Ja nigdy nie miewałam tak realistycznych snów.

To dlatego - miałam ochotę jej powiedzieć - że najgorsze, co ci się przytrafiło, to rozwód z tatą. Nigdy nie umarłaś, nie byłaś reanimowana i nie przyszedł za tobą na ziemię chłopak z krainy zmarłych.

Tyle, że nie mogłam jej tego powiedzieć. Nigdy nic dobrego nie spotkało nikogo, kto dowiedział się o moich kłopotach. W zasadzie to one doprowadziły do rozwodu rodziców, nawet jeśli mama o tym nie wiedziała.

- Często kiedy śpimy umysł pracuje nad rozwiązaniem problemów, które dręczą nas na jawie, nawet jeśli sen wydaje się kompletnie z nimi niezwiązany - wyjaśniali lekarze,

\* Fragmenty *Boskiej Komedii* w przekładzie Edwarda Porębowicza.

jeden po drugim. - W przypadku Pierce, oczywiście w prawdziwym życiu nikt jej nie śledzi. - To najlepiej dowodziło, jak mało ci wszyscy doktorzy wiedzą. - Po prostu w taki sposób przyczyny jej niepokoju manifestują się w podświadomości... Na przykład niektórym śni się, że spóźniają się na lekcje. To najzupełniej zdrowe; to znak, że podświadomość Pierce funkcjonuje normalnie.

Wiecie, czego bym chciała? Śnić, że spóźnię się na lekcje.

Ale zawsze śnię, że ktoś próbuje zabić mnie albo kogoś mi bliskiego. To dlatego, że w prawdziwym życiu są ludzie, którzy próbują zabić mnie albo kogoś mi bliskiego... tak często że, szczerze mówiąc, czasem nie mogę odróżnić, kiedy to dzieje się naprawdę, a kiedy tylko mi się śni.

Na przykład teraz. Jak na sen to dość realistyczne.

Trzymałam się kurczowo drewnianego relingu na staroświeckim zagłowcu. Wściekły wiatr szarpał moje ciemne włosy, luźne kosmyki kleiły się do twarzy i szyi. Wicher targał długą spódnicą balowej sukni z białego jedwabiu, w którą z jakiegoś powodu byłam ubrana; zaplątywał materiał wokół moich nóg i jeszcze trudniej było mi ustać na pokładzie śliskim od deszczu i bryzgów słonej piany.

Niebo nade mną było czarne jak w nocy. Kiedy błyskawica rozcinała gęste ciemne chmury, dostrzegałam przerażające oceaniczne bałwany, tłukące o kadłub, miotane potężnym sztormem.

Stałam tak i ścisnęłam reling, a serce łomotało mi ze strachu, ale nie bałam się o siebie. Wiedziałam, że mogę zawrócić i zejść pod pokład, gdzie było ciepło i sucho. Ale nie chciałam. Bo za każdym razem, kiedy piorun rozświetlał niebo, widziałam w wodzie jego, rzucanego przez sztorm

jak kawał drewna. Każda brutalna fala odciągała go coraz dalej i dalej w morze, coraz dalej od statku. Coraz dalej ode mnie.

- John! - zawołałam. Głos miałam ochryply z emocji i od krzyku. Miałam wrażenie, że wykrzykuję jego imię od wielu godzin, ale nikt nie przychodził nam na pomoc. Byliśmy tylko my, sztorm i wściekłe morze.

- Płyn - błagałam go. - Płyn do mnie.

Przez chwilę wydawało się, że da radę. Był tak blisko burty, że widziałam w jego szarych oczach zaciętą determinację i lęk, którego żadne z nas nie chciało pokazać drugiemu. Jego silne muskularne ramiona wynurzały się z czarnej wody, kiedy desperacko usiłował dopłynąć do statku.

Ale gdy posuwał się o jedno uderzenie naprzód, gniewne fale spychały go o dwa uderzenia w tył.

Gorączkowo rozglądałam się za liną, za czymkolwiek, co mogłabym mu rzucić, ale nie było nic. Więc wychyliłam się tak daleko, jak zdołałam, i sięgnęłam w dół ręką, a drugą przytrzymałam się relingu.

- Dam radę cię podciągnąć - zapewniłam go. - Tylko chwyć mnie za rękę.

Pokręcił głową; jego czarne włosy były mokre od deszczu i morskiej wody.

- Nie chcę ściągnąć cię w dół. - Jego głos był równie głęboki i nieubłagany jak ocean. - Wolę umrzeć niż pozwolić umrzeć tobie.

Wolę umrzeć niż pozwolić umrzeć tobie.

To nie miało sensu. John Hayden sam był śmiercią. Nie mógł umrzeć. I wszystkie jego działania, co do jednego, wskazywały, że z całą pewnością chciał zabrać mnie /c sobą do Świata Podziemi, którego był władcą. Niby dlaczego bez przerwy musiałam przed nim uciekać?

Persefona, dziewczyna z mitu, którym starożytni Grecy wyjaśniali przemianę pór roku, nie uciekała dość szybko przed Hadesem, greckim bogiem śmierci; któregoś dnia, kiedy zobaczył ją na łące bawiącą się z nimfami, dogonił ją rydwanem i zabrał do Świata Podziemi, by zrobić z niej swoją królową.

Persefona miała szczęście. Tak się składało, że jej matką była Demeter, bogini urodzaju. Demeter ogłosiła strajk i nie pozwoliła, by cokolwiek wyrosło na ziemi, dopóki jej córka nie zostanie wypuszczona. A co to za przyjemność być bogiem czy boginią, jeśli wszyscy ludzie są zbyt zajęci głodowaniem, by cię czcić? Hades musiał wypuścić Persefonę i po najdłuższej zimie w historii wiosna nareszcie zakwitła na całej Ziemi.

W rzeczywistości wiosna nie przychodzi dlatego, że jakąś dziewczynę wypuszczają z Zaświatów. Wiosna przychodzi, bo ziemia okrąży Słońce i następuje wiosenne zrównanie dnia z nocą.

Ale ja to rozumiem. Ludzie zawsze pragnęli słuchać opowieści, które wyjaśniałyby, dlaczego złe rzeczy spotykają dobrych ludzi; pragną mitów z happy endem, które dają im nadzieję. Nie chcą wiedzieć, że kiedy umieramy, po drugiej stronie niekoniecznie czekają na nas harfy i aureole. Nikt nie chce słuchać kogoś takiego jak ja, kto powraca do żywych i mówi: „Hej, wiecie co? To wszystko, co nam opowiadali, to jedna wielka bzdura”. O wiele przyjemniej jest ufać bajarzom i wierzyć, że bajki są prawdą.

Kiedy w moim śnie John powiedział, że woli umrzeć niż pozwolić umrzeć mnie, choć wiedziałam, że to niemożliwe, coś do mnie dotarło: ja też chciałam wierzyć w bajki. Moja podświadomość - tak jak ci wszyscy lekarze zapewniali moją matkę - znalazła rozwiązanie problemu, który

dreńczył mnie od dawna. Tak naprawdę przez cały ten czas chciałam biec do Johna, a nie przed nim uciekać.

Tyle że kiedy wreszcie to zrozumiałam, on miał utonąć. Nic dziwnego, że serce mi załomotało, jakby lada moment miało zgasnąć moje własne życie. - Weź mnie za rękę - błagałam. Krzyczałam jak opętana. Bo byłam opętana strachem -patrzyłam, jak morze połyka go na moich oczach. W chwili kiedy wreszcie przyznałam przed sobą, jak bardzo go kocham, miałam go stracić - do tego trzeba mieć mojego pecha. Może to moja karmiczna kara za to, że tak długo nu zeszło, zanim na to wpadłam.

Nagle fala uniosła go, jakby w odpowiedzi na moje modlitwy, i cudownym sposobem znalazł się tak blisko, że nasze palce się dotknęły.

W jego oczach pojawiła się jakby nadzieja. Wychyliłam się jeszcze dalej, żeby chwycić go za nadgarstek i poczułam, jak jego dłoń zamyka się wokół mojej. Uśmiechnęłam się, przepelniona miłością i radością, i ośmieliłam uwierzyć, że jest bezpieczny, a moja własna bajka jednak skończy

się szczęśliwie.

Ale nagle znikąd przysła kolejna potężna lala...

i zobaczyłam, że nadzieja w jego oczach umiera. \_ Nie puszczaj! - krzyknęłam, wiedząc w głębi serca, że właśnie to robi. Już kiedy wypowiadałam te słowa, czułam, jak jego palce ściskające mój nadgarstek rozluźniają się. Puszczal mnie, bo nie chciał pociągnąć mnie ze sobą w zimną toń.

Chwilę później wydarła mi go fala tak potężna, że zarzuciła nim jak zabawką. Wrzasnęłam jego unię, kurczowo ściskając reling; nie odróżniałam już łez od deszczu siekającego mi w twarz, a we mnie otwierała się przepaść

tak wielka jak samo morze. Kiedy błyskawica rozświetliła niebo, zobaczyłam go jeszcze - małą, ciemną postać na szczycie fali jakieś dziesięć metrów od statku. Uniósł rękę, jakby na pożegnanie.

Woda zamknęła się nad nim. Ja zostałam sama w oku sztormu, a on zniknął na zawsze.



*I wypoczęte oczy tocząc kołem,  
Wyprostowany, patrzałem po stronie,  
Aby rozpoznać miejsce, gdzie stanąłem.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń IV

Z sercem wciąż gwałtownie łomoczącym otworzyłam oczy. Wilgotne włosy kleiły mi się do twarzy i szyi, a palce miałam tak mocno zaciśnięte w pięści, że zaboląły, kiedy spróbowałam je rozprostować.

Zaraz. To był tylko sen, zgadza się?

Ale jeśli tak, to dlaczego oblizując wargi, poczułam słoną wodę? I dlaczego ten skośny snop światła, wpadający przez zasłony w mojej sypialni wydawał się taki obcy?

Bo to nie były zasłony w mojej sypialni. Zasłony w mojej sypialni nie są długie, białe i widmowe. Nie zwisają z ozdobnie rzeźbionych kamiennych łuków. Nie ma ani jednego kamiennego łuku w całym domu, który moja mama kupiła na zamkniętym osiedlu na Isla Huesos, dokąd niedawno przeprowadziłyśmy się z Connecticut, bo rozwód rodziców został sfinalizowany... Ach, i jeszcze dlatego, że wyrzucono mnie z Akademii dla Dziewcząt w Westport za zachowanie absolutnie niegodne damy.

Wynajęty przez mamę dekorator wnętrz na pewno nie wybrałby też średniowiecznych gobelinów, których głównym motywem były satyry ganiające półnagie nimfy.

Ale właśnie taki gobelin zdobił ścianę naprzeciw kamiennych łuków. Nie mówiąc już o kinkietach, w których tkwiły prawdziwe pochodnie...

Mama w życiu by się na coś takiego nie zgodziła (ze względu na zagrożenie pożarem, oczywiście); nie spodobałoby jej się też ogromne łoże z baldachimem, w którym leżałam.

Dopiero kiedy niski męski głos wypowiedział moje imię - tak głośno, że aż drgnęłam - zdałam sobie sprawę, że nie jestem w tym łóżku sama.

- Pierce.

Chłopak z mojego snu nie leżał martwy na dnie oceanu. Leżał w łóżku obok mnie. A w dodatku trzymał mnie w ramionach. Moje imię zabrzmiało tak głośno, bo moja głowa spoczywała na jego piersi.

Nagiej piersi.

Mama z całą pewnością by się na to nie zgodziła.

Nagle wszystko mi się przypomniało. Świat Podziemi. Byłam w Świecie Podziemi.

I tym razem nie byłam martwa.

Zachłysnęłam się powietrzem i usiadłam. Jego silne ramiona natychmiast mnie wypuściły.

- Już dobrze - powiedział John i też usiadł. Jego ton był łagodny. Podobnie jak dłonie, które dotknęły moich barków, żeby mnie uspokoić. Tak łagodne, jakbym była ptakiem, którego kiedyś na moich oczach przywrócił do życia.

Ale ja doskonale wiedziałam, jak ogromna moc kryje się w tych stwardniałych palcach. Widziałam, jak zatrzymują serca z taką samą łatwością, z jaką je ożywiają.

- Pierce, miałaś koszmar - powiedział. Koszmar? Potrzebowałam sekundy, żeby skojarzyć -

koszmar, z którego właśnie się obudziłam, w którym on

utonął. Nie ten, który teraz rozgrywał się przed moimi szeroko otwartymi oczami, patrzącymi na nasze nogi, splecione na pięknie haftowanej, białej kołdrze.

Na szczęście byłam kompletnie ubrana, choć miałam na sobie coś, czego w życiu sama bym nie wybrała - taką samą długą, zwiewną białą suknię jak nimfy na gobelinach..

Czego nie dało się powiedzieć o nim. Miał tylko dżinsy, choć tak obcisłe, że równie dobrze mógłby być nagi. Czarny materiał oblepiał go jak druga skóra.

Koszmar... czy piękny sen? Cóż, zależy, jak na to spojrzeć. Jego koszula leżała parę metrów dalej, beztrudnie rzucona na niską białą kanapę przy kominku.

Jego naga pierś i barki były zaskakująco opalone jak na kogoś, kto większą część ostatnich dwustu lat spędzał uwięziony pod powierzchnią ziemi, wypuszczany tylko na krótko, by popełniać przestępstwa, jak na przykład porwanie dziewczyn (przyznaję, zrobił to, by ratować mi życie, ale mimo wszystko to niezgodne z prawem). Jego skóra miała złoty odcień lwiej sierści, była równie ciepła i gładka...

...o czym przekonałam się aż za dobrze, bo najwyraźniej przez całą noc spałam z przyciśniętą do niej twarzą.

I zdaje się, że zalewałam ją łzami, jeśli można wierzyć jego następnym słowom.

- Płakałaś - stwierdził, odgarniając mi włosy z czoła. -Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie bardzo - odparłam, potwornie zażenowana, przypominając sobie, ile razy mama mówiła mi, że płakałam przez sen. Uniosłam rękę, by otrzeć policzki nadgarstkiem. Miał rację. Były mokre.

Płakałam przez sen przy nim. I z jego powodu. Cudownie.

Wiedziałałam, że mam poważniejsze zmartwienia - tak poważne, że brakowało mi najbledszego pojęcia, jak sobie z nimi poradzić - ale nigdy wcześniej nie spędziłam nocy z chłopakiem. I nigdy wcześniej nie byłam zakochana.

Myślałam się co do jego skóry. Kiedy przyjrzałam się uważniej, zauważyłam, że nie jest jednolicie złocista. Tu i ówdzie przecinały ją cienkie, blade linie. Co to było? Trzeba będzie przyjrzeć się dokładniej.

- Przecież wiesz, Pierce, że już nie musisz się nią przejmować, prawda? - spytał, marszcząc z troską ciemne brwi. - Wiem, że potrzebujesz trochę czasu, żeby przywyknąć do tej myśli, ale naprawdę jesteś tu ze mną bezpieczna. To był tylko sen.

Szkoda, że nie podzielałam jego pewności. Wiedziałałam z doświadczenia, że choć sny nie pozostawiają blizn - przynajmniej widocznych - czasami pozostawiają ból, który może być równie dotkliwy.

Teraz, kiedy przyjrzałam się uważniej, wiedziałam już, czym były te białawe linie znaczące tu i ówdzie jego złotą skórę: to blizny po dawno zagojonych ranach.

Przygryzłam wargę. Wiedziałałam, kto zadał te rany, i dlaczego. To właśnie jedno z tych zmartwień, zbyt wielkich, bym mogła sobie z nim teraz poradzić. Przypomniałam sobie potwora - bardziej przerażającego niż największa oceaniczna fala - przed którym mnie uratował, porywając ze stołówki mojej nowej szkoły na Isla Huesos i sprowadzając do tego świata. Zdałam sobie sprawę, że pewnie do końca życia będę cierpieć na stres pourazowy. Bo jak można poradzić sobie z faktem, że twoja własna babcia nienawidzi cię tak bardzo, że próbowała cię zabić... dwa razy?

No cóż, jak widać radzisz sobie z nim, śniąc, że twój chłopak tonie na twoich oczach, a potem prawie zapominasz

o strasznym śnie, kiedy po przebudzeniu widzisz rzeźzonego chłopaka z cudowną nagą piersią na łóżku obok ciebie.

- Ale oprócz mnie ucierpieli też inni - powiedziałam, by przypomnieć o tym i sobie, i jemu. - Naprawdę myślisz, że skoro mnie tu ściągnąłeś, one tak po prostu... przestaną?

Bo reszta moich zmartwień dotyczyła właśnie tego.

- Nie wiem - przyznał, pochylając głowę, by przycisnąć usta do mojego karku. Moimi żyłami natychmiast popłynęła fala iskier, jakby jego wargi były naelektryzowane. - Pierwszy raz kocham dziewczynę, którą próbują zabić Furie. Ale wiem, że nie możesz zrobić nic, by je powstrzymać. Tu jest twoje miejsce. Zawsze było. I mam nadzieję, że zdecydujesz się tu zostać... tym razem.

Tym razem. Właśnie.

- No cóż. - Powiedział, że mnie kocha. On mnie kocha. Dźwięk tego słowa, padającego tak od niechcienia z jego ust, mógł chyba trochę złagodzić stres pourazowy. - To z pewnością lepsze niż lekcja historii, na której bym teraz siedziała, gdybym była na Isla Huesos. - Oczywiście gdyby lekcje nie były odwołane z powodu potężnego huraganu zbliżającego się do wyspy.

- Ja byłem w szkole wyjątkowo dobry z historii - zapewnił mnie, przesuwając usta w dół po mojej szyi, w stronę złotego wisiorka, który mi podarował.

- Nie wątpię - odparłam.

- Mógłbym ci dawać korepetycje - mruknął, nie przestając całować mnie po szyi. - Żebyś nie miała zaległości.

- Rany, dzięki. Od razu mi ulżyło.

Roześmiał się. Nie miałam pewności, ale to mógł być pierwszy raz, kiedy słyszałam jego śmiech. Był ładny, głęboki i dźwięczny.

Jedyny problem w tym - no, nie jedyny, bo nasza sytuacja generowała bardzo wiele problemów, które coraz lepiej sobie uświadamiałam - że tkwił w błędzie. Oczywiście nie w kwestii historii. Nie wątpiłam, że był świetny we wszystkim, do czego się brał. Miałam na myśli Furie.

Po prostu nie wierzyłam, że nie ma żadnego sposobu, by powstrzymać te złe duchy. Rozwścieczone tym, dokąd zesłano je po przejściu przez Świat Podziemi, zdołały powrócić i usiłowały zemścić się na Johnie... jakby to była jego wina, a nie ich własna.

Ale kiedy od najłżejszego dotyku Johna krew buzowała we mnie, jakbym wypła sześciopak coli, trudno było mi się skupić i sformułować argumenty na temat niezniszczalności Furii, bądź też kwestii, czy Świat Podziemi to rzeczywiście najlepsze miejsce dla mnie.

Jeśli tamto było prawdą, to inne sprawy też - na przykład fakt, że moja babcia została opętana przez Furię i naprawdę chciała mnie zabić wyłącznie po to, żeby John cierpiał.

To nie są zdrowe fundamenty, na których można budować trwałe związki. No i rodzicom też John raczej by się nie spodobał, gdyby kiedykolwiek mieli okazję go poznać. Nie byłam pewna, czy mój tato uznałby jakiegokolwiek faceta za wystarczająco dobrego dla mnie, ale władca świata zmarłych, który porwał mnie ze szkolnej stołówki - nawet jeśli ratował mnie przed babcią - z pewnością nie byłby wysoko na jego liście.

Musiałam też pamiętać o tym, co powiedział mi Richard Smith, zarządca cmentarza na Isla Huesos, tamtego deszczowego dnia, kiedy siedziałam w jego biurze. Bo niby dlaczego John podarował mi wisiołek, który Hades wykuł dla Persefony?

Było oczywiste, że zaszła jakaś pomyłka. Persefona była córką Zeusa i Demeter, boginią wiosny. Ja zostałam wywalona za pobicie z jednej z najbardziej ekskluzywnych szkół dla dziewcząt na Wschodnim Wybrzeżu; moja średnia w szkole była na granicy przyzwoitości i byłam bodaj jedyną siedemnastolatką w stanie Floryda, która nie zdała jeszcze egzaminu na prawo jazdy. Niby w jaki sposób miało mnie to kwalifikować na królową Świata Podziemi?

Jednak Persefona i ja miałyśmy ze sobą coś wspólnego. Jej chłopak i mój mieli tę samą posadę...

.. .o której nie sposób było nie myśleć, kiedy w cichym, porannym powietrzu rozległ się niski, smutny dźwięk okrętowego rogu. Natychmiast go rozpoznałam - słyszałam go podczas mojej ostatniej wizyty w domu Johna - i wiedziałam aż za dobrze, co oznacza.

- Czekają na mnie na plaży - jęknął John, z rezygnacją opierając czoło w zagłębieniu między moim barkiem i szyją.

Te słowa zmroziły mnie bardziej niż senny koszmar. Wiedziałam, kto na niego czeka: dusze zmarłych, które gromadziły się na brzegu ogromnego podziemnego jeziora po drugiej stronie muru na dziedzińcu, za tymi kamiennymi łukami. Czekwały na statki, które miały je przewieźć do ostatecznego miejsca przeznaczenia...

John zdecydował, na który statek wsiądą. Róg, który usłyszałam, sygnalizował, że statek przy pływa po najnowszej grupę pasażerów.

Zadrżałam, bo nagle zrobiło mi się zimno. Miałam wrażenie, że ciemność oblepia każdy centymetr mojego ciała, mimo ognia w kominku i ciepłego, czułego dotyku Johna. Chyba to zauważył, bo sięgnął po moją dłoń i przycisnął ją do swojej nagiej piersi, na sercu.

- Pierce - powiedział takim tonem, jakbym go uraziła. - Nie rób takiej miny.

- Nie chciałam. - Zrobiło mi się głupio. Ale nie mogłam nie pamiętać swojej ostatniej wizyty w jego świecie, kiedy sama byłam jedną z tych dusz, czekających na przydział na plaży. - To nie twoja wina. To przez... ten róg.

Ucałował wnętrze mojej dłoni.

- Przepraszam. - Cała radość zniknęła z jego oczu i głosu. - Przepraszam za to wszystko, przepraszam za koszmary, za to, co pewnie przeżywa twoja matka, która nie wie, gdzie jesteś, a przede wszystkim za te wszystkie okazje... kiedy nie zachowywałem się wobec ciebie tak jak powinienem. Niewiele się pomyliłaś wczoraj wieczorem, kiedy nazwałaś mnie... jak to było? A, tak. Dzikusem. - Patrzył na mnie tak błagalnie, że trudno było mu się oprzeć. - Ale wiesz, że zachowywałem się jak dzikus tylko wtedy, kiedy narażałaś się na niebezpieczeństwo... albo kiedy miałem wrażenie, że ci na mnie nie zależy.

Uniósł wolną dłoń, by przesunąć palcami po łańcuszku na mojej szyi.

- Tak długo myślałem, że mnie nienawidzisz - ciągnął, spoglądając na mnie spod długich czarnych rzęs. Takie rzęsy marnowały się u chłopaka. - Gdybym wiedział, że przez cały czas nosiłaś naszyjnik, może byłbym trochę mniej... gwałtowny.

Poczułam, że się rumienię, i to nie tylko dlatego, że jego błędzące palce zawędrowały niebezpiecznie blisko brzegu mojej sukni, jakby szukały serca.

- No cóż, chyba się już zorientowałaś, że nigdy cię nie nienawidziłam - powiedziałam, stanowczo odsuwając jego dłoń w mniej intymną okolicę, w stronę talii. - I wiem, że nie chciałeś wtedy być taki dziki, John. Nie wiem, jak teraz...



Moja pruderia wywołała uśmiech na jego wargach. Z tą jego muskularną sylwetką, z bliznami, z ciemnymi włosami, które ciągle opadały na nedorzecznie jasne oczy, z pewnością niewiele dziewczyn nazwałoby go typowym przystojniakiem.

Ale byłam równie pewna, że ani jedna dziewczyna w moim wieku nie potrafiłaby mu się oprzeć. Było w nim coś tak bezlitośnie męskiego, że działał jak magnes.

Szczególnie kiedy się uśmiechał. Wtedy natychmiast zmieniał się z ponurego rozrabiaki, o którym dziewczyny w Liceum Isla Huesos mogłyby szeptać po kątach, w niezrozumianego przystojniaka, któremu z pewnością podałyby numer telefonu, gdyby tylko poprosił... a może nawet zrobiłyby coś więcej.

Nie mogłam pozbyć się przeczucia, że uciekając z nim do Świata Podziemi, wpakowałam się w całkiem inny rodzaj kłopotów.

- Pierce, wiem, że na pewno masz mnóstwo pytań - powiedział. - I przysięgam, że odpowiem na wszystkie, a przynajmniej na te, na które zdołam, jak tylko wrócę. Ale na razie wiedz, że postaram się, żeby to miejsce było dla ciebie jak dom, jak tylko dasz mi szansę.

Dom? Tutaj? W gigantycznej podziemnej jaskini, gdzie nigdy nie świeci słońce, nękaną przez wieczną wilgoć i co pięć minut nawiedzanej przez zmarłych?

Uniosłam brwi.

- Okej. Ale najpierw może powinniśmy porozmawiać

o...

Granicach. To chciałam powiedzieć. Ale on znów mnie rozproszył.

- Wiem, że nigdy nie lubiłaś szkoły - ciągnął: kąciki jego ust wciąż unosiły się w nieodpartym uśmiechu.

- Inaczej nie dałabyś się wyrzucić z tej poprzedniej. Wiem, wiem... to była w dużej mierze moja wina. - Wyszczrzył radośnie zęby. Nie miałam pojęcia, co go tak bawiło. Podczas tamtej akcji z moim nauczycielem z całą pewnością się nie śmiał. - Tak czy inaczej, tu nie ma szkoły. To ci się spodoba. Ale jest całe mnóstwo innych rzeczy, którymi możesz się zajmować, kiedy będę w pracy. Mogę ci załatwić wszystkie książki, których potrzebujesz, żeby zdać maturę, bo wiem, że tego chciałaś. A tymczasem masz tu moje książki...

Widziałam jego książki. Niemal wszystkie zostały napisane, zanim się urodził, a urodził się ponad półtora wieku przede mną. Wiele z nich zawierało miłosne poezje. Wczoraj wieczorem próbował mi czytać jedną z nich, żeby mi poprawić humor.

Nie udało się.

Uznałam, że grzeczniej będzie powiedzieć „Dziękuję, John” niż „A masz jakieś książki, które nie są o miłości? I młodych parach w amorach? Bo w tej chwili raczej nie potrzebuję zachęty w tym kierunku”.

- I masz cały zamek do zwiedzania - powiedział z ożywionym błyskiem w oczach. - Ogrody są piękne...

Zerknęłam sceptycznie na wzdęte białe firanki. Widziałam już ogrody za nimi. Lilie czarne jak śmierć i grzyby wyglądające na truciznę rzeczywiście były piękne na swój sposób, szczególnie dla ludzi takich jak moja matka i biologów badających środowisko, którzy szczególnie lubią egzotyczne rośliny.

A ja zawsze wolałam zwykłe kwiaty, takie jak stokrotki - i to raczej te dzikie, nieuprawiane w ogródkach. Ale jakie szanse ma biedna, dzika stokrotka przy wyrefinowanej czarnej lilii?

Poprzedniego wieczoru, kiedy koniecznie chciałam uciekać i próbowałam wspinać się na mury ogrodu, zauważyłam, że zamek Johna stoi na małej wyspie. I nie było tu żadnych łodzi, którymi można przepłynąć jezioro. A nawet gdybym jakąś znalazła, mogłam popłynąć co najwyżej na sąsiednią wyspę. Ale to była wyspa, na której pracował. A z niej nie można przedostać się tam, dokąd chciałam wrócić - do świata żywych.

- Ale musisz wiedzieć, że zapowiedziałem swoim ludziom, że jeśli zobaczą cię gdzieś, gdzie nie powinnaś być, mają cię przyprowadzić prosto do mnie. - Czyżby czytał mi w myślach? Musiał zauważyć złe spojrzenie, które mu posłałam, bo dodał twardym głosem: - Pierce, to dla twojego własnego dobra. Czyhają na ciebie niebezpieczeństwa, o których...

- Mówiłeś, że tutaj nikt nie może mnie skrzywdzić -przerwałam mu. - Ze tu jestem bezpieczna.

- Jesteś bezpieczniejsza, bo tutaj mogę cię chronić -odparł John. - Ale masz bijące serce i jesteś na ziemi zmarłych...

- Ty też masz bijące serce - wytknęłam mu. Czułam pod dłonią, że bije równie mocno i miarowo jak moje. Wyglądał dość zdrowo jak na kogoś, kto powinien był umrzeć lata temu, nie mówiąc już nawet o jego gwałtownej śmierci w moim śnie.

- Tak - przyznał. - Ale to co innego. Ja jestem... Pan Smith już ci powiedział, kim jestem.

Wydało mi się dziwne, że nie chciałam wypowiedzieć na głos słów „bóstwo śmierci”. Przecież sama zdążyłam zauważyć, że ma pewne umiejętności, których próżno by szukać u normalnego dziesiętnastolatka.

Ale z drugiej strony ja sama miałam trudności z komunikacją, więc może byliśmy kwita. Postanowiłam nie drażnić.

- Więc tutaj Furie też mogą mnie znaleźć? - spytałam.

- Mogą - przyznał łagodniejszym tonem. - Ale będzie im o wiele trudniej zaatakować cię w ufortyfikowanym zamku w Świecie Podziemi niż w szkolnej stołówce, jak wczoraj twoja babcia. Chociaż jestem w pobliżu i masz naszyjnik, który ostrzega cię przed nadejściem Furii - dodał, pociągając łańcuszek na mojej szyi, aż wielki okrągły diament wysunął się spod stanika sukni i wpadł mu w dłoń - to nie znaczy, że jesteś niezwyciężona, Pierce, nawet jeśli tak ci się zdaje.

Fuknęłam urażona.

- Ale pan Smith powiedział...

- Pan Smith jest świetnym zarządcą cmentarza - przerwał mi John, unosząc diament tak, że złapał światło padające z łukowatych okien. Ilekroć John był w pobliżu, kamień błyszczał głęboką srebrzystą szarością w tym samym odcieniu co jego oczy, ale w obecności mojej babci, która z pewnością nie życzyła mi dobrze, przybierał ostrzegawczą czarną barwę. - I przyznaję, że jest lepszy niż którykolwiek z jego poprzedników. Ale jeśli z jego słów wywnioskowałam, że ten naszyjnik chroni cię przed Furiami, bo Hades zrobił go, żeby ostrzegał przed nimi Persefonę, to się mylisz. Nic nie może pokonać Furii. Nic. Uwierz mi, próbowałam wszystkiego.

Jego blizny zaświadczały o tym wystarczająco dobitnie.

Wyobraziłam sobie, co musiał wycierpieć, i przypomniałam sobie, co go spotkało w moim śnie; te myśli wycisnęły mi łzy z oczu. Jedna wymknęła się spod rzęs i spłynęła po policzku; nie zdążyłam jej obetrzeć, zanim ją zauważył.

- Pierce - powiedział zaniepokojony. Nic nie wytrącało go z równowagi tak, jak widok moich łez. - Nie płacz.

- Nie płaczę - skłamałam. - Widziałam, co ci zrobiły Furie, i to jest nie fair. Musi być jakiś sposób, żeby je powstrzymać. Musi być. A na razie, czy mogę wrócić, żeby przynajmniej ostrzec mamę? Chociaż na chwilę...

Jego twarz spochmurniała.

- Pierce, rozmawialiśmy o tym. Twoja matka nie jest w niebezpieczeństwie. Ale ty jesteś. W tej chwili to za bardzo ryzykowne.

- Wiem, ale ja nigdy nie znikalam z domu na tak długo bez jej wiedzy. Na pewno umiera ze strachu. I co z moim kuzynem Alexem? Wiesz, że mieszka z babcią, a teraz, kiedy jego ojciec, wujek Chris, siedzi w areszcie, i to za coś czego nie zrobił, wyłącznie z mojej winy, Alex będzie z nią całkiem sam...

- Nie, Pierce - rzucił John tak ostro, że aż podskoczyłam.

Huknął grzmot - zdawało mi się, że tuż nad naszymi głowami. W zasadzie tu, setki kilometrów pod skorupą Ziemi, nie powinny zachodzić żadne zjawiska meteorologiczne. Ale była to jedna z tych wyjątkowych umiejętności Johna - kiedy coś go poruszyło, potrafił wywołać myślą grzmoty i pioruny.

Popatrzyłam na niego, mrugając. Nawet jeśli sam chciał wierzyć, że jest inaczej, ta dzika strona jego natury pozostawała nieujarzmiona. I nawet jeśli pragnął udawać, że to miejsce jest moim domem, nie było nim.

Ten zamek był więzieniem. A on był więziennym strażnikiem... nawet jeśli trzymał mnie tu w najlepszych intencjach, żeby chronić mnie przed moimi własnymi krewnymi.

- Nie musisz trząść całym domem - zganiłam go. - Wystarczyłoby zwykłe „nie”.

Zrobił lekko zażenowaną minę. Kiedy znów się odezwał, jego ton był już o wiele łagodniejszy.

- Przepraszam. Siła przyzwyczajenia. - Posłał mi kolejny obłądny uśmiech i wyciągnął ręce. - Ale wiem, co ci poprawi humor.

Gdybym akurat nie patrzyła na jego dłonie, nigdy bym w to nie uwierzyła. Pomyślałabym, że zrobił jakąś sztuczkę, wyciągnął go z rękawa jak magik.

Ale on nie miał rękawów i nie był magikiem. Niemal zabił w mojej obecności dwoje ludzi, używając wyłącznie opuszek palców. Podróżował w tę i z powrotem między dwoma wymiarami, moim i swoim światem, i nie musiał korzystać z transportu publicznego ani samochodu. Po prostu mrugał, i pstryk, gotowe.

- Proszę - powiedział. - Jak ci się podoba?

*Jako gołębie, miłością wabione,  
Na wyprężonym skrzydle, jedną parte  
Chęcią, w lubego gniazda lecą stronę (...)*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń V

N... nie rozumiem - zająknęłam się, patrząc na małe, białe stworzenie w jego dłoniach.

- To prezent dla ciebie - wyjaśnił John, nie przestając się uśmiechać. - Żeby dotrzymywała ci towarzystwa, kiedy mnie nie będzie. Wiem, jak kochasz ptaki.

Nie mylił się. Miałam słabość do zwierząt, w szczególności chorych i rannych. To dlatego poznaliśmy się na cmentarzu Isla Huesos. Natknął się na mnie, płaczącą bez opamiętania nad martwym ptakiem. Miałam wtedy zaledwie siedem lat, ale on był dokładnie taki sam jak teraz - w tym samym wieku co wtedy, kiedy umarł i stał się bóstwem śmierci, władcą Świata Podziemi pod Isla Huesos.

By osuszyć moje dziecinne łzy, wziął ode mnie bezwładne ciało ptaszka. Po sekundzie ptak odleciał, magicznie przywrócony przez niego do życia.

Żadne z nas nie mogło wtedy wiedzieć, że to moja babcia skrzywdziła ptaka i użyła go jako przynęty, bym poznała Johna. I nie tylko wtedy - za drugim razem zrobiła to samo.

Za drugim razem, ponieważ miałam już piętnaście lat i nie byłam dzieckiem, zadziałała całkiem inna magia... taka, która dzieje się między dwojgiem ludzi, którzy się sobie podobają.

Problem w tym, że za tym drugim razem to nie ptak umarł, tylko ja. I spotkaliśmy się z Johnem tutaj, w Świecie Podziemi.

Wtedy za bardzo bałam się tego miejsca - i jego, i własnych uczuć do niego - by rozważać pozostanie tutaj.

Ale teraz było inaczej. Teraz bałam się tylko tego, że mogę go stracić, tak jak w koszmarze...

...i tego, jak szybko pokonał mój strach pocałunkami, kiedy obudziłam się w jego ramionach. Ale ten lęk to już zupełnie inna sprawa.

Cóż, biorąc pod uwagę naszą historię, nie mogłam mieć mu za złe wiary, że zwierzątko maskotka przegna wszystkie moje lęki. Ptak w jego dłoniach bardzo przypominał tego, którego znalazłam w dniu, kiedy się poznaliśmy - był to jakiś rodzaj gołębia, białego, ale z czarnymi piórami pod skrzydłami i w ogonie. Mama oczywiście wiedziałaby dokładnie, co to za gatunek. To po niej odziedziczyłam miłość do zwierząt.

- To ten sam ptak...? - Zawiesiłam głos. Gołębie nie żyją tak długo, prawda? Ten tutaj był równie bystrooki i żwawy, jak tamten na cmentarzu. I nawet miękko gruchał.

Ale kiedy John otworzył dłonie, gołębica nie rozłożyła natychmiast skrzydeł i nie odleciała, jak tamten ptak z cmentarza. Wstała i rozejrzała się dookoła, przyglądając się otoczeniu, w tym również mnie. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie jęknąć cicho z zachwytu.

John uśmiechnął się, zadowolony, że trafił z prezentem.

- Nie, tamten ptak był dziki, wrócił do swojego partnera, kiedy go wypuściliśmy. Ten jest oswojony, widzisz? - Wyciągnął palec i gołębica zaczęła ocierać się o niego główką, przyglądając piórka. - Ale rzeczywiście jest trochę podobna, i dlatego pomyślałem, że ci się spodoba. A czemu? Wolałabyś dzikiego ptaka? - Zmarszczył brwi. -



Mógłbym ci takiego znaleźć. Ale wtedy musiałabyś go trzymać w klatce, żeby nie odleciał. A to by ci się pewnie nie podobało...

- Nie - rzuciłam pospiesznie. To by mi się nie podobało. Wtedy oboje bylibyśmy więźniami.

Ale pomyślałam, że tego drugiego lepiej nie mówić na głos.

- To dobrze. - Podsunął ptaka w moją stronę. - Teraz musisz wymyślić jej imię.

- Imię? - Wyciągnęłam palec, tak jak John, by sprawdzić, czy ptak się połasi. - Nigdy wcześniej nie nadawałam imienia zwierzęciu. Kiedy dorastałam, nie wolno mi było mieć żadnego zwierzaka. Ojciec twierdził, że ma alergię.

John uniósł brwi.

- Alergię? Nawet na ptaki?

- No cóż - odparłam, myśląc o wycieku ropy naftowej, za który odpowiadała firma mojego taty, i który ostatnio musiała posprzątać. - Alergia to czasami jego wymówka od wszelkich nieprzyjemności, z którymi nie chce mieć do czynienia.

Gołębica, zamiast przytulić główkę do mojego palca, rozprostowała skrzydła, zatrzepotała nimi kilka razy i od-frunęła. Krzyknęłam, zaniepokojona, myśląc, że jednak nie jest tak oswojona, jak sądził John, i że ucieknie.

Ale poleciała tylko na drugi koniec pokoju i wylądowała na oparciu jednego z przypominających trony krzesel, ustawionych po obu stronach długiego stołu.

- Jest głodna - stwierdził John z szerokim uśmiechem. - Ty pewnie też. Śniadanie już czeka. Przykro mi, że nie zdążę zjeść z tobą, ale myślę, że znajdziesz tu wszystko, czego ci potrzeba...

Dopiero teraz zauważyłam, że komnata wygląda inaczej niż wtedy, kiedy zasypiałam (pomijając nawet to, że rano w łóżku leżał ze mną chłopak). Stół był zastawiony srebrnymi półmiskami, pełnymi wszelkiego rodzaju owoców, talerzami idealnie chrupiących tostów ociekających masłem, złotobrazowymi babeczkami w koszach z kości słoniowej, jajkami na miękko w ozdabianych klejnotami kieliszkach, dzbanami lodowatego soku i czajnikami pełnymi aromatycznej herbaty i kawy. Wszystko to pojawiło się magicznym sposobem, jakby przyniesione przez niewidzialną służbę.

- John - zamruczałam, wstając z łóżka. Podeszłam do stołu i zagapiłam się ze zdumieniem na porcelanowe talerze ze złotym brzegiem i fikuśnie poskładane serwetki w szafirowych obręczkach. - Jak to wszystko tutaj trafia?

- Oj tam - rzucił od niechcienia. - Po prostu trafia. Kawy? - Podniósł błyszczący, srebrny czajniczek. - Zresztą, jeśli dobrze pamiętam, chyba wolisz herbatę? - Uśmiechał się szelmowsko.

Posłałam mu jadowite spojrzenie - kiedy ostatnim razem uciekałam ze Świata Podziemi, chlusnęłam mu w twarz herbatą - i klapnęłam na krzesło, na którego oparciu przysiadł ptak. Dotarło do mnie, że umieram z głodu. Nie jadłam nic od wczorajszego lunchu. A wtedy też nie zjadłam wiele, bo właśnie usłyszałam bardzo złą wiadomość: Furie zamordowały moją szkolną terapeutkę, Jade.

Przyjrzałam się uważnie, ale wśród wysokich stert dojrzałych owoców w srebrnych misach nie dostrzegłam

owoców granatu. Błyszczące truskawki, świetliste brzoskwinie, połyskujące winogrona. Ale ani kawałka owocu, który zjadła Persefona, i który - przynajmniej według tej wersji mitu, o której uczono mnie w Akademii dla Dziewcząt w Westport - podobno skazał ją na wieczność w krainie zmarłych...

Jeszcze zanim poznałam Johna, zastanawiałam się, czy Persefona nie zjadła czasem tych sześciu ziaren granatu celowo, wiedząc, że do końca życia będzie musiała co pół roku wracać do Świata Podziemi, i do Hadesa, swojego męża, którego jej matka, Demeter, z całą pewnością nie akceptowała.

Grecy uważali granat za „owoc zmarłych”. Jako rodowita Greczynka Persefona zapewne o tym wiedziała.

Może życie z Hadesem, nawet w Świecie Podziemi, było przyjemniejsze niż z nadopiekuńczą matką i z tymi wkurzającymi nimfami. I może Persefona po prostu nie chciała ranić uczuć mamy, mówiąc jej o tym wprost?

Każda potrawa na stole Johna z pewnością była nieszkodliwa. W przeciwnym razie by mnie nie częstował.

- Dzięki - powiedziałam, z chęcią przyjmując filiżankę herbaty. - Więc mówisz, że taka uczta pojawia się tu każdego ranka?

- Tak - odparł. - Każdego ranka. A także w porze obiadu i kolacji.

- Ale kto to gotuje? - spytałam, wyobrażając sobie podziemną kuchnię pełną malutkich, niewidzialnych kucharzy. - I kto podaje?

- Nie wiem - stwierdził John z obojętnym wzruszeniem ramion.

Nie mogłam się nie roześmiać.

- John, na twoim stole trzy razy dziennie pojawia się jedzenie, a ty nie wiesz, skąd się bierze? Mieszkasz tu od prawie dwustu lat. Nigdy nie próbowałeś się dowiedzieć?

Spojrzał na mnie drwiąco.

- Oczywiście. I mam swoje teorie. Myślę, że to część rekompensaty za pracę, którą wykonuję, ponieważ nie dostaję pensji. Mam za to mieszkanie i wyżywienie. Wszystko, czego potrzebuję albo wystarczająco mocno pragnę, zwykle w końcu się pojawia. Na przykład - posłał mi jeden z tych uśmiechów, od których miękną kolana - ty.

Przełknęłam ślinę. Przez ten uśmiech zdumiewająco trudno było mi się skupić na rozmowie, chociaż to ja ją zaczęłam.

- Rekompensaty od kogo?

Znów wzruszył ramionami. Było jasne, że nie miał ochoty o tym rozmawiać.

- Czekają na mnie pasażerowie. A na razie, proszę. -Uniósł pokrywę półmiska. - Gorąco polecam.

Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć... wielki półmisek pełen granatów? Oczywiście to wcale nie było to.

- Gofry? - Zagapiłam się na puszysty ideał. - To wszystko nie ma żadnego sensu.

Zrobił zaskoczoną minę.

- Czy brakuje tu czegoś, na co masz ochotę? Wystarczy powiedzieć.

- Nie o to chodzi - odparłam. - Tylko że... ty jesz. Nie dołączył do mnie przy stole, bo znów rozległ się

róg z przystani; usiadł tylko na kanapie, by włożyć buty. Ale wziął sobie tost i przeżuł go, zawiązując sznurówki. Słyszac moje słowa, zerknął na mnie znad butów.

- Oczywiście, że jem - powiedział z pełnymi ustami. -Dlaczego miałbym nie jeść?

- Widziałam na Isla Huesos kryptę, w której pochowano twoje szczątki - przypomniałam mu. - Nad wejściem jest napisane „Hayden”. To twoje nazwisko.

Zrobił taką minę, jakby bardzo chciał zmienić temat.

- I co z tego? - spytał szorstko.

- Dlaczego musisz jeść, skoro nie żyjesz? - Pytania zaczęły niemal same wyskakiwać mi z ust. - Jakim cudem w ogóle bije ci serce? Dlaczego na Isla Huesos urządzają ci Noc Trumien, skoro nie dość, że masz kryptę, to w dodatku wyglądasz na całkiem żywego? I co takiego zrobiłeś, że wylądowałeś na tej posiadzie?

- Pierce - powiedział znużonym tonem. Wyjął z kieszeni czarny tablet i zaczął szybko na nim pisać. Rozpoznałam urządzenie, którym posługiwał się, kiedy trafiłam nad jezioro; wtedy sprawdził na nim moje nazwisko i dowiedział się, na który statek powinnam trafić... po czym zadbał o to, żebym tam nie trafiła. - Wiem, mówiłem, że odpowiem na twoje pytania, ale nie chcę, żebyś znienawidziła mnie jeszcze przed wieczorem.

- John. - Podeszłam i usiadłam koło niego na kanapie. - Nie mógłbyś zrobić nic, przez co bym cię znienawidziła. Co to jest? - Wskazałam ruchem głowy gadżet w jego dłoniach. - Mogę coś takiego dostać?

- Absolutnie nie - odparł bez wyrazu, chowając urządzenie do kieszeni. -1 pamiętam jeszcze czasy, kiedy z całą pewnością mnie nienawidziłaś. - Wstał. Nawet bosy był onieśmielająco wysoki, ale w roboczych butach wręcz przytłaczał mnie wzrostem. -1 dlatego nie będę rozmawiał z tobą o mojej przeszłości... przynajmniej na razie. Może później, kiedy już... - Urwał, nie kończąc zdania. - Może później.

Serce mi się ścisnęło, ale szybko skarciłam się za to w duchu. Co ja sobie niby wyobrażałam? Ze John jest

jakimś aniołem, który dostał tę robotę w nagrodę za dobre zachowanie? Przy mnie raczej nigdy nie zachowywał się po anielsku... nie licząc tych okazji, kiedy ratował mi życie.

Co trzeba zrobić, żeby skończyć jako bóstwo śmierci? Z pewnością coś złego... nie tak złego, by trafić prosto do miejsca, gdzie trafiają naprawdę źli ludzie, jak na przykład mordercy dzieci. Z tego, co wiedziałam o Johnie, ta praca wymagała twardego charakteru, silnych pięści, chęci przestrzegania zasad i podstawowej umiejętności odróżniania dobra od zła...

Ale czy wymagała też czegoś, czego nie wzięłam pod uwagę? Jakiejś mniej pożądanej cechy?

- Niemożliwe, żebyś miał większe powody do wstydu niż ja - zapewniłam z wymuszoną wesołością. Patrzyłam, jak wyciąga czystą czarną koszulkę z wiklinowego kosza. - Przecież poznałeś moją babcię.

Wciągnął koszulkę przez głowę, więc straciłam z oczu jego nagą pierś, co było jednocześnie dobre i złe. Ale nie widziałam też wyrazu jego twarzy, kiedy odpowiedział twardym głosem:

- Ciesz się, że wszyscy moi krewni dawno nie żyją i nie musisz ich poznawać.

- Och. P... przykro mi. - Zapomniałam, jak straszną cenę musiał zapłacić za nieśmiertelność... Patrzył, jak wszyscy, których kochał, starzeli się i umierali. - To... to musiało być dla ciebie straszne.

- Nie było - odparł wprost. Ubrany w koszulkę odwrócił się, by na mnie spojrzeć, i niemal wystraszyła mnie jego ponura mina. - W pewnym sensie masz szczęście, Pierce. Twoją babcię opętała Furia, więc przynajmniej wiesz, dlaczego jest tak pełna nienawiści. Ja nie miałem wytłumaczenia, dlaczego moi krewni byli potworami.

Byłam tak wstrząśnięta, że nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Ludzie nie powinni mieć powodów, by mówić takie rzeczy o swoich rodzinach.

Ojciec powiedział mi kiedyś, że najważniejsze jest wybaczenie. Dopiero wtedy można ruszyć naprzód...

- Z wyjątkiem mojej matki - dodał John. Z tego samego kosza, z którego wziął koszulkę, wydobył skórzaną opaskę na nadgarstek nabijaną groźnymi metalowymi ćwiekami, i zaczął ją zapinać. W jego pracy to pewnie uzasadniony środek bezpieczeństwa. Niektóre dusze zmarłych potrzebowały nieco skuteczniejszej zachęty do dalszej podróży. -Tylko ją... cóż, to już nie ma znaczenia. Ale ona jedna się o mnie troszczyła. I za nią jedną tęskniłem.

Boże. Moja mama. Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale nagle dotarła do mnie cała groza sytuacji, w jakiej się znalazłam: będę musiała patrzeć, jak moja matka starzeje się i umiera.

Choć przecież ludzie, którzy nie byli uwięzieni w Świecie Podziemi, też musieli stawić temu czoło - starzeniu się

i nieuchronnej śmierci rodziców. Różnica była taka, że oni sami starzeli się razem z rodzicami. Cieszyli się wspólnymi świętami, jeździli razem na wakacje, pomagali sobie nawzajem w trudnych chwilach i świętowali te dobre.

Czy mnie kiedykolwiek będzie to dane? Czy władcy Świata Podziemi i ich wybranki w ogóle miewają dzieci? Byłam prawie pewna, że Hades i Persefona nie spłodzili potomstwa. Bo jak mogli? W krainie śmierci nie powstaje życie. Nawet rośliny w ogrodzie Johna, choć takie egzotyczne, wyglądały dość marne... nie z powodu zaniedbania, ale dlatego, że grzyby i czarne kwiaty były jedynymi okazami flory, które rosły w miejscu pozbawionym słońca.

Mimo to, jeśli John nadal zamierzał obsypywać moją szyję elektryzującymi pocałunkami i paradować bez koszulki, musiałam sprawdzić, czy Hades i Persefona naprawdę byli bezdzietni. Nie wiedziałam, jak długo zdołam się opierać jego wdziękom, szczególnie po dzisiejszym śnie. Ostatnie, na co miałam ochotę, to przypadkowa ciąża, której owocem będzie mały podziemny demon. Moje życie było już wystarczająco skomplikowane.

Zaczęło do mnie docierać, że przede wszystkim powinnam wrócić do własnej sypialni.

- No proszę - pochwaliłam, starając się zachować lekki ton. Podeszłam, by objąć go rękami za szyję, choć musiałam przy tym stanąć na palcach. - Nie było tak źle, prawda? Powiedziałeś mi o sobie coś, czego wcześniej nie wiedziałam. Że nie... hm... nie przepadałeś za swoją rodziną, z wyjątkiem matki. I jakoś cię nie znienawidziłam, wręcz przeciwnie, pokochałam jeszcze trochę bardziej, bo teraz wiem, że coś nas łączy.

Patrzył na mnie nieufnie.

- Gdybyś знаła prawdę - powiedział - nie mówiłabyś tak. Uciekłabyś ode mnie.

- Niby dokąd? - spytałam ze śmiechem; miałam nadzieję, że John nie słyszy, jaki to nerwowy śmiech. - Przecież zamknąłeś mnie na cztery spusty, pamiętasz? A teraz, skoro zwierzyłeś się z czegoś, czego o tobie nie wiedziałam, czy ja też mogę powiedzieć ci coś, czego ty nie wiesz o mnie?

Jego ciemne brwi uniosły się, przyciągnął mnie bliżej do siebie.

- Nie bardzo sobie wyobrażam, co to może być.

- Chodzi o to, że - zaczęłam - trochę mnie niepokoi, czy nie śpieszymy się za bardzo z tym związkiem... a szczególnie z kohabitacją.



- Kohabitacją? - powtórzył jak echo. Najwyraźniej nie znał tego słowa.

- Kohabitacją to wspólne mieszkanie - wyjaśniłam, czując, że policzki mi płoną. - Jak po ślubie.

- Wczoraj powiedziałaś, że w tych czasach nikt w twoim wieku nie myśli jeszcze o ślubie. - Przycisnął mnie do siebie jeszcze mocniej; nagle stał się o wiele chętniejszy, by kontynuować rozmowę, chociaż znów rozległ się róg okrętowy. - I że twój ojciec nigdy by się nie zgodził. Ale jeśli zmieniłaś zdanie, pewnie zdołam przekonać pana Smitha, żeby odprawił ceremonię...

- Nie - rzuciłam pospiesznie. Pan Smith najwyraźniej miał uprawnienia do udzielania ślubów w stanie Floryda. Bo dlaczego nie? Wołałam się na razie nie zastanawiać, skąd John o tym wiedział. - Nie o to mi chodziło. Mama by mnie zabiła, gdybym wyszła za mąż przed skończeniem ogólniaka.

Choć oczywiście mama nie miała się o tym wszystkim dowiedzieć. I może tak było lepiej, bo głowa by jej eksplodowała na myśl, że miałabym zamieszkać z facetem przed studiami, nie mówiąc już o tym, że najprawdopodobniej w ogóle nie pójdę na żadne studia. Zresztą pewnie żadna uczelnia nie przyjęłaby mnie z takimi stopniami i z moją historią wykroczeń.

- Chodziło mi o to, że może powinniśmy trochę zwolnić - wyjaśniłam. - Przez ostatnie dwa lata, kiedy moje koleżanki chodziły z chłopakami, ja siedziałam w domu i próbowałam wykombinować, jak działa ten wisiorek, który mi dałeś. Raczej nie randkowałam.

- Pierce. - John miał lekko zdziwioną minę. - Myślałaś, że tego o tobie nie wiem? Bo, po pierwsze, wiem, a po drugie, nie rozumiem, czemu sądzisz, że to dla mnie problem.

Zapomniałam, że urodził się w dziewiętnastym wieku, kiedy dobrze wychowane damy i dżentelmeni spędzali ze sobą czas przed ślubem wyłącznie na balach pełnych przy-zwoitek... i że przez ostatnie dwieście lat on spędzał czas głównie na cmentarzu.

Czy John w ogóle wiedział, że w tych czasach mnóstwo ludzi szło ze sobą do łóżka na pierwszej randce, albo że średni wiek w którym dziewczyny w Stanach - chłopaki zresztą też - traciły cnotę, to siedemnaście lat? Czyli mój wiek.

Najwyraźniej nie wiedział.

- Chcę powiedzieć - ciągnęłam, czerwieniąc się coraz mocniej - że nie mam zbyt wielkiego doświadczenia z mężczyznami. Więc dzisiaj rano, kiedy się obudziłam i zastałam cię w łóżku obok siebie... co było oczywiście bardzo miłe, nie zrozum mnie źle, bardzo mi się to podobało... ale trochę się przestraszyłam. Bo nie wiem, czy jestem już gotowa na takie rzeczy. - A może problem leżał raczej w tym, że nie byłam przygotowana na to, jak bardzo jestem na to gotowa...

- Gotowa na...? - Urwał, a potem zmarszczył brwi, jakby wreszcie zaczęło do niego docierać. - Zaraz. - Puścił moją talię i odsunął się o krok. - Myślisz, że spędziłem z tobą noc?

- A nie? - Zamrugałam zdumiona. - Tu jest tylko jedno łóżko. A ty... hm, byłeś w nim, kiedy się obudziłam.

Grzmot huknął nam nad głowami. Nie był tak silny, jak wściekłe gromy, które słyszałam we śnie, ale wystarczająco głośny i przeciągły, żeby srebra na stole zadzwoniły.

A moja gołąbica, która spokojnie czyściła sobie piórka na oparciu krzesła, zerwała się nagle i schroniła na najwyższej półce biblioteczki pod ścianą.

Do mnie natomiast dotarło, jak bardzo obraziłam gospodarza, i że tym razem nie wykręcę się żartami.

- Dla twojej wiadomości, Pierce - powiedział John tonem tak spokojnym, że właściwie niepokojącym (choć jego oczy błyskały stalowo jak kamień na mojej szyi i ćwieki na jego nadgarstkach) - większą część nocy spędziłam na kanapie. Aż wczesnym rankiem usłyszałam, że mnie wołasz. Płakałaś przez sen.

Słona woda, którą poczułam na ustach. To nie była morska piana wzbита huraganem, ale moje własne łzy, które wylałam, patrząc, jak on umiera.

- Ach, tak - bąknęłam zażenowana. - John, bardzo cię... Okazało się, że jeszcze nie skończył.

- Objąłem cię, żeby cię pocieszyć, bo wiem, jak przygnębiające może być to miejsce, przynajmniej z początku. Nie jest to piekło, ale najbliżej stąd do niego. A ty nie chciałaś mnie puścić. Trzymałaś się mnie jak tonący liny ratunkowej.

Przełknęłam ślinę, zdumiona, jak zadziwiająco trafnie opisał mój sen... tyle tylko, że było odwrotnie. To ja byłam jego ratunkiem, a on mnie puścił; poświęcił się, żebym ja mogła żyć.

- No, tak. Oczywiście. Przepraszam. - Nie mogłam uwierzyć, jaka byłam głupia, tym bardziej, że mama zawsze tak bardzo martwiła się o moje gadanie przez sen. Z drugiej strony, przecież powiedziałam mu szczerze o swoim braku doświadczenia z mężczyznami. - Ale to nic złego, prawda? - Wyciągnęłam rękę, by chwycić jego dłoń. - Powiedziałam ci, że nie mogłabym cię znienawidzić...

Odsunął rękę, dokładnie tak samo jak w moim śnie. No, może nie dokładnie tak samo, bo nie wyrwała mi go

gigantyczna oceaniczna fala. Po prostu puścił mnie, bo musiał iść, żeby segregować dusze zmarłych.

- Znienawidzisz - zapewnił mnie z goryczą. - Już teraz żałujesz ... Jak ty to nazwałaś? A, tak, kohabitacji ze mną.

- Nie - upierałam się. - Nie żałuję. Powiedziałam tylko, że chcę trochę zwolnić tempo...

To nie miało nic wspólnego z nim - chodziło wyłącznie o mnie i mój strach, że nie zdołam się kontrolować, kiedy będzie mnie całował. Ale przyznanie się do tego byłoby zbyt upokarzające.

- Możemy zwolnić tak bardzo, jak zechcesz, ale wiesz, że już za późno na odwrót, Pierce - powiedział ostrzegawczym tonem.

- Oczywiście - odparłam. Rozumiałam już, że źle podeszłam do tej sprawy. Gdzie się podziały te wszystkie irytujące czasopisma dla kobiet z poradami, jak sobie radzić ze swoim mężczyzną? Teraz przydałaby mi się taka gazeta, choć te rady pewnie nie miały zastosowania w przypadku bóstw śmierci. - Bo ścigają mnie Furie. I obiecałam ci, że nie będę próbowała uciec. Nie o to mi...

- Nie - zaprzeczył, stanowczo kręcąc głową. - Furie nie mają tu nic do rzeczy. To już nie ma znaczenia, czy spróbujesz uciec, czy nie. - Zaczął chodzić po pokoju, a na jego zuchwie drgał mięsień. - Myślałem, że to wiesz. Ze to rozumiesz. Nie czytałaś Homera?

No nie, znowu. Pan Smith też miał obsesję na punkcie tego całego Homera.

- Nie, John - rzuciłam z wymuszoną cierpliwością. - Obawiam się, że nie mamy czasu omawiać w szkole starożytnych greckich poetów, bo uczymy się o całym mnóstwie rzeczy, które wydarzyły się po twojej śmierci, takich jak wojna secesyjna, Holokaust i tworzenie plików w Excelu...

- Hm, biorąc pod uwagę, że te wasze nauki niewiele mówią o Mojrach  
- przerwał mi niecierpliwie - Homer chyba byłby bardziej pożyteczny.

- O Mojrach? - Coś mi się majaczyło na temat jakichś Mojr, była o nich wzmianka, kiedy omawialiśmy grecką mitologię. To wścibskie istoty, które rządzą losem wszystkich ludzi. - Co Homer miał o nich do powiedzenia?

John przeczesał włosy palcami. Z jakiegoś powodu nie chciał mi spojrzeć w oczy.

- Mojry zdecydowały, że każdy, kto zje posiłek w krainie zmarłych, musi w niej pozostać na wieczność.

Wybałuszyłam oczy.

- No tak. Ale tylko nasiona granatu, jak Persefona. Owoc zmarłych.

John nagle przestał chodzić i na mnie spojrzał. Jego oczy przepalały mnie na wylot.

- Persefona po prostu zjadła akurat nasiona granatu - wyjaśnił. - To dlatego nazywają granat owocem zmarłych. Ale prawo dotyczy dowolnego pokarmu czy napoju.

Po moim ciele zaczęło się rozchodzić dziwne odrętwienie. Usta zrobiły się tak suche, że nie mogłam mówić.

- Cokolwiek do mnie czujesz, Pierce - ciągnął John nieubłaganie - utknęłaś tu ze mną na wieczność.

*Chciwości ślepa, gniewie wyuzdany!  
Przecz na doczesnym żgacie nas padole,  
Aby na wieczność w takie wtrącać stany!*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń XII

Nie nienawidziłam so.

Potworna rozpacz, jaką czułam, kiedy w moim śnie porwała go fala, była dla mnie najlepszym dowodem - nie mogłabym go znienawidzić.

„Rozejrzyj się, zanim wdepniesz w G”. Takie zdanie miała wytatuowane na nadgarstku moja terapeutka, Jade. Starłam się o nim pamiętać, nie tylko dlatego, że Jade zginęła, i to poniekąd z mojej winy, ale i dlatego, że kiedy wpadałam w gniew, czasami działy się złe rzeczy. Ludziom działa się krzywda.

Dawniej to zawsze John wyrządzał tę krzywdę.

Tym razem, kiedy się wściekłam, to jemu się oberwało.

I pewnie dlatego, kiedy wychodził, szlochałam na tej samej kanapie, na której podobno spędził noc. Ale nie płakałam z nienawiści do niego. Nienawidziłam samej siebie.

- Wiedziałeś - rzuciłam oskarżycielsko, kiedy wreszcie odzyskałam głos po tym, jak zastrzelił mnie swoją rewelacją. -I nie powiedziałeś mi. Siedziałam tutaj i jadłam te gofry, a ty mi nie powiedziałeś. To był podstęp!

- To nie był żaden podstęp - upierał się. - Myślałem, że wiesz.

Szybko się przekonywałam, że wykształcenie w drogiej, prywatnej szkole, za które ojciec upierał się płacić, było nic nie warte. Cała wiedza, jaką wpojono mi w Akademii dla Dziewcząt w Westport była albo błędna, albo bezużyteczna w mojej obecnej karierze wybranki bóstwa śmierci.

- Ty jadłeś - oskarżałam go dalej. - Widziałam, jak jadłeś. I wychodzisz stąd, kiedy chcesz. Widziałam cię w Connecticut, na Isla Huesos...

- A czy ja powiedziałem, że nie możesz wyjść? - spytał gniewnie.

- Nie. Ale...

- Ale za każdym razem, kiedy wyjdiesz, będziesz patrzeć, jak twoja rodzina i przyjaciele żyją dalej, a ty nigdy się nie postarzejesz i zawsze będziesz musiała wrócić tutaj... do mnie. - W jego głosie zabrzmiała gorycz. - I właśnie widzę, jak cię zachwyca ta perspektywa.

Rzeczywiście, łzy napłynęły mi do oczu - nie na myśl, że spędzę z nim wieczność, ale że będę patrzeć, jak moja matka starzeje się i umiera. Za każdym razem, kiedy o tym pomyślałam, chciało mi się płakać.

Widząc moje łzy, John zmiękł i dodał błagalnie:

- Pierce, byłaś głodna. Musiałaś coś zjeść. Gdybym powiedział, czym to się skończy, co byś zrobiła? Obyłaś się bez jedzenia?

- Tak - odparłam bez namysłu. - Oczywiście.

W tej chwili opuściła go cała miękkość. Nawet ramiona mu stężały.

- Zdajesz sobie sprawę, co właśnie powiedziałaś? Ze wolałabyś się zagłodzić, niż być ze mną.

Miał rację. Tak się przejęłam własnymi emocjami, że nie zauważyłam, jak niewrażliwa jestem na jego uczucia. Sięgnęłam po jego dłoń.

- John, przepraszam. To nie tak miało zabrzmieć - wyjaśniłam. - Chodziło mi o to...

- Myślę, że jest jasne, o co ci chodziło - przerwał mi. Nad nami znów zahuczał grzmot, choć nie tak głośny jak przedtem. Wydawał się zrezygnowany... tak jak i sam John. - Może masz rację i to rzeczywiście był podstęp. Tak czy inaczej, masz teraz odpowiedź na swoje pytanie... dlaczego wybrali mnie na tę posadę.

Trudno było nie przyznać, że jego mroczne oblicze wydawało mi się teraz jeszcze mroczniejsze.

Mimo wszystko uratował mi życie, kiedy łatwiej by mu było dać sobie spokój. Po co zadawał sobie tyle trudu i chronił mnie przed bólem śmierci, skoro mógł po prostu pozwolić mnie zamordować, żebym została u jego boku jako duch? Nie potrafiłam uwierzyć, że jest zły... a na pewno nie był tak zły, jak chciał mi wmówić.

- John, przepraszam za to, co powiedziałam. - I mówiłam to szczerze. - Ale musisz przyznać, że nikt na świecie. .. nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby mieszkać tu przez wieczność, gdyby istniała choć najmniejsza szansa, żeby tego uniknąć.

- Więc taka jest różnica między tobą i mną. - Widziałam, że chce udawać, że ma to wszystko gdzieś, ale w jego oczach dostrzegłam ból, którego nie zdołała zamaskować żadna cyniczna poza. - Ja bym chciała mieszkać tutaj przez wieczność, gdybym miał mieszkać tu z tobą. I choć to pewnie oznacza, że jedno z nas nie jest przy zdrowych zmysłach, wygląda na to, że moje życzenie się spełni. Więc



radzę ci, żebyś przywykła do tej myśli i nauczyła się z tym żyć. I ze mną.

W następnej sekundzie wyrwał dłoń z mojej i - tak jak w moim śnie - zniknął.

To wtedy rzuciłam się na kanapę.

Wiedziałam, że płacz to głupota. Nie cierpiałam płakać, a poza tym to nigdy niczego nie rozwiązywało.

Ale nie mogłam nic na to poradzić. Nieważne, że dzięki jakimś tajemniczym istotom zwanym Furiami najwyraźniej nie mogłam zrobić nic, by potwory takie jak moja babcia nie krzywdziły zupełnie niewinnych ludzi, jak na przykład Jade. Nieważne, że dzięki innym tajemniczym istotom zwanym Mojrami będę musiała spędzić w tym miejscu całą wieczność tylko dlatego, że zjadłam parę gofrów.

Najbardziej bolało mnie to, że zraniłam Johna. Ta świadomość przytłaczała mnie potwornym ciężarem...

...aż zdałam sobie sprawę, że niewielka część tego ciężaru nie jest wyłącznie metaforyczna. I siedzi mi na głowie.

- O Boże - krzyknęłam, siadając gwałtownie. Gołębica z oburzeniem zatrzepotała skrzydłami i odfrunęła na stół, gdzie zaczęła dziobać pozostawione przeze mnie okruszki. Co było chyba mniej naganne niż próby uwicia sobie gniazda w moich włosach, ale niewiele mniej.

- Lepiej przestań - powiedziałam, wycierając oczy. - Albo ty też nie będziesz mogła się stąd wydostać.

Gołębica uniosła główkę, by spojrzeć na mnie pytająco, po czym, jakby oceniła, że nie jestem warta uwagi, wróciła do jedzenia.

To zabolalo. Nawet jeśli miała rację.

Przypomniałam sobie radosną nadzieję, którą widziałam w oczach Johna, kiedy podarował mi ptaka. Niemal

identyczny wyglądał, kiedy dawał mi naszyjnik prawie dwa lata temu. „To prezent dla ciebie - powiedział. - Żeby dotrzymywała ci towarzystwa, kiedy mnie nie będzie. Wiem, jak kochasz ptaki”.

Rozumiałam, że oddając mi tego ptaka pod opiekę miał nadzieję ukoić ból serca i tęsknotę za wszystkimi, których zostawiłam w domu. Może też chciał osiągnąć coś innego: przypomnieć mi, że teraz tu jest mój dom i że są w nim istoty zasługujące na moją troskę, może nawet bardziej niż te, które opuściłam.

- Może zacznę troszczyć się o ciebie, a potem zatroszczę się i o niego - powiedziałam do gołębiczy. On zawsze potrzebował odrobiny troski, nie sądzisz? Chociaż nie lubi się do tego przyznawać.

Wiedziałam, że jest źle, bardzo źle, skoro rozmawiam z ptakiem. Ale jakie to miało znaczenie? Nikt mnie tu nie słyszał.

- To nikomu nie zaszkodzi. A może wyniknie z tego coś dobrego. Możemy tylko mieć nadzieję, prawda?

Przy słowie nadzieja - *hope* - gołębiczy wreszcie spojrzała na mnie i zaczęła gruchać.

- Boże, nie - jęknęłam zażenowana. - Błagam, nie mów mi, że chcesz mieć na imię Hope. To takie sztampowe imię dla ptaka żyjącego w Świecie Podziemi.

Gołębiczy rozłożyła skrzydła i pofrunęła do korytarza, kierując się w stronę łazienki.

Uznałam, że lepiej będzie, jeśli za nią pójdę. Oczywiście nie sądziłam, że czyhają tu na nią niebezpieczeństwa, ale i tak musiałam wziąć się w garść.

I nic dziwnego, że gołębiczy podobało się w łazience. Ogromna, wpuszczona w podłogę wanna była napelniana

przez naturalne źródło termalne - gorąca, buzująca woda wypływała z dna - a parujący wodospad spływał nieustannie ze szczeliny w kamiennym suficie, zarośniętej winoroślą i mchem. Kiedy brałam kąpiel, Hope - choć ciągle nie chciałam nazywać jej tym imieniem na głos - fruwała dookoła, od czasu do czasu zanurzając głowę w wodzie i gruchając, aż echo odbijało się od kamieni.

Tak naprawdę miałam nadzieję znaleźć co najwyżej szczoteczkę do zębów, szampon i może jakieś ubranie inne niż sukienka, w której spałam. Ale może dlatego, że Świat Podziemi był tak potwornie ponury, Mojry - czy ktokolwiek inny, kto zapewniał tu jedzenie i pozostałe udogodnienia -uznały, że lepiej nie oszczędzać na luksusach.

John powiedział przy śniadaniu, że wszystko, czego potrzebował albo zapragnął wystarczająco mocno, zwykle w końcu się pojawiało. Czy dlatego kosmetyki, których potrzebowałam, były tutaj, bosko pachnące i genialnie łagodne dla skóry? Chciałam ich, więc je dostałam? John z pewnością nie wyglądał na osobę, która nawilża skórę. A pachniał zawsze drewnem płonącym na kominku, nie kwiatami pomarańczy i lawendą.

A może to wszystko było tutaj, bo John zapragnął mnie, i dostał z całym wyposażeniem?

Czy to również wyjaśnienie dla rzeczy, które znalazłam w wielkiej garderobie przylegającej do łazienki? Po jednej stronie leżały ubrania Johna, porozwieszane w idealnym porządku, granicznym wręcz z obsesją (w odróżnieniu od bałaganu na półce z książkami).

Po drugiej stronie wisiały tuziny długich zwiewnych sukien, w których John tak lubił mnie oglądać. Niektóre były jedwabne, niektóre bawełniane, niektóre z rękawami, niektóre bez, ale wszystkie w moim rozmiarze.

- Cudownie - rzuciłam do gołębiczy przez zaciśnięte zęby. Nie miałam nic przeciwko sukienkom. Trochę mnie tylko wkurzało, że moje możliwości były ograniczone wyłącznie do nich. Podejrzywałam, że dobór garderoby był symptomatyczny dla czasów, w których John żył, więc to nie do końca jego wina, bo wtedy mężczyźni i kobiety nie mieli równych praw.

Wybrałam sukienkę, która moim zdaniem wyglądała najbardziej współcześnie. W szafie były też buty, najróżniejszych rodzajów. I wszystkie pasowały na moje stopy tak idealnie, jakbym kupiła je na miarę. W końcu znalazłam wielkie lustro w złoczonej ramie, wiszące w korytarzu tuż koło pokoju z łóżkiem i stołem. Gołębica przysiadła na ramie.

Masakra.

- Naprawdę wyglądam jak Królowa Śnieżka, co? - spytałam ją.

Ale to, że byłam ubrana jak królowa, nie oznaczało, że muszę zachowywać się jak królowa... a już na pewno nie taka, która ciągle śpi. Mogłam być dzielną księżniczką. W rodzaju tych, które uciekały z zamków, w których były uwięzione, jak Roszpunka czy Leia.

- Prawda? - spytałam gołębicę.

Zagruchała z zadowoleniem. Pewnie wiedziała równie dobrze jak ja, że John starannie pozamykał wszystkie drzwi do mojego świata.

- Taak - powiedziałam. - Nie musisz mówić. Już to wiem. Wszystkie te księżniczki, co do jednej, w końcu wyszły za swojego wybawiciela albo porywacza, jak Bella z *Pięknej i Bestii* i Persefona.

Tyle że w odróżnieniu od Belli Persefona nie była postacią fikcyjną. Na dowód miałam jej naszyjnik.

Gdyby zostawiła jeszcze jakieś użyteczne wskazówki, jak być wybranką władcy Świata Podziemi...

Ale nie dlatego zaczęłam przeglądać półki Johna. Szukałam książek na temat ptaków, by się dowiedzieć, czym karmić Hope. Chociaż wcale nie miała tak na imię.

Jego książki - a były ich setki, może nawet tysiące - były tak pomieszczone, że postanowiłam przy okazji posortować je tematycznie. Posłuchałam jego rady - przyzwyczajałam się do tego miejsca. I do Johna.

A jeśli przy okazji porządków odkryję coś, co ułatwi mi życie w Świecie Podziemi czy ujawni jakiś drobiazg na temat przeszłości Johna, to co w tym złego?

- Jestem tu nowa - odezwałam się do Hope. - Nie znam zasad.

Rzeczywiście znalazłam sporo ciekawych rzeczy w skrzyniach, które John trzymał tu w kompletnym nieładzie. Niektóre były wyjątkowo piękne - bele jedwabiu, sznury pereł, przeróżne mosiężne urządzenia, w których rozpoznałam instrumenty żeglarskie, takie jak kompas, składana luneta i coś, co przypominało dzwon okrętowy. Widniał na nim napis „Liberty 1845”.

Pan Smith powiedział mi, że wisiorek, który podarował mi John, ostatni raz widziano na liście ładunkowej statku, który zatonął podczas huraganu w październiku 1846 roku. Był to ten sam huragan, który zalał powodzią cmentarz Isla Huesos i wypłukał wszystkie trumny w morze. I w którym, o ile dobrze zrozumiałam, zginął John.

Ale John nie był martwy, więc nie wiedziałam, czy pan Smith jest na pewno dobrze poinformowany.

Dopiero kiedy podniosłam wieko małej skrzynki, za którą Hope chowała się podczas mojej kłótni z Johnem.

zobaczyłam coś, co mogło mieć dla mnie wartość. Bo jej zawartość należała do mnie.

Była to szkolna torba. Moja szkolna torba.

W środku znalazłam wszystkie rzeczy, które upchnęłam do niej bez namysłu wczoraj rano, zanim moje życie zmieniło się tak dramatycznie i zanim John porwał mnie do świata zmarłych, żeby mnie ratować. Mój portfel. Książka do ekonomii. Dżinsowa kurtka, którą wzięłam na wypadek, gdybym zmarła w mocno klimatyzowanej szkole. Zeszyty, długopisy, klucze do domu, kosmetyczka, pudełko na leki, szczotka do włosów, bezcukrowa guma do żucia.

Tak się ucieszyłam na widok tych znajomych przedmiotów, że łzy napłynęły mi do oczu. Tylko... na co mogła mi się przydać karta debetowa w miejscu, gdzie nie było bankomatu? Portfel nie służył mi tu do niczego. Nawet komórka, schowana w specjalnej kieszonce torby. To było strasznie słodkie, że John przechował ją tak troskliwie, ale...

- Komórka - rzuciłam bez tchu do Hope, która zamrugała na mnie oczkami.

Nie wiem, co kazało mi ją włączyć. Przecież nie spodziewałam się zobaczyć nic oprócz komunikatu, który właśnie zobaczyłam: brak zasięgu.

Z drugiej strony, kiedy tak stałam z komórką w ręce, myśląc o rodzinie, o tym, jacy wszyscy muszą być zrozpaczeni moim zniknięciem - wszyscy z wyjątkiem babci, oczywiście, która pewnie opowiadała im najokropniejsze kłamstwa, gdzie to się niby podziałam i z kim - przyszło mi do głowy, że byłoby miło, gdyby Mojry choć raz zrobiły coś dla mnie. Fajnie było znaleźć torbę, ale to nie one ją przechowały. Zrobił to John.

I nie one pomogły mi ją znaleźć. Pomogła mi Hope.

Było jasne, że w Świecie Podziemi jestem zdana na siebie - a w każdym razie nie mogłam liczyć na Mojry.

Już miałam wyłączyć komórkę - uznałam, że lepiej oszczędzać baterię, żeby móc przynajmniej popatrzeć na zdjęcia mamy, wujka Chrisa i kuzyna Alexa, kiedy będzie mi smutno - ale spojrzałam na ekran i zobaczyłam, że telefon odtwarza filmik.

Chociaż nie wciskałam żadnego guzika.

Owszem, ściągnęłam na komórkę parę filmów, ale tego nie rozpoznałam. Był na nim Alex.

Przeprowadziłam się na Isla Huesos dość niedawno i dopiero poznawałam rodzinę mamy, z którą ojciec nie za bardzo się dogadywał. Nigdy nie filmowałam Alexa, i o ile wiedziałam, on sam nigdy nie przysłał mi żadnego filmiku.

A nawet gdyby, to wątpiłabym, że nakręciliby akurat coś takiego. Na filmie Alex usiłował wydostać się z jakiejś skrzyni, łomotał w ścianki, jakby został w nim uwięziony.

Nie było dźwięku. Kombinowałam z głośnością, ale nie słyszałam nic, chociaż usta Alexa się poruszały.

Naszło mnie straszne podejrzenie. Alex nie chodził na zajęcia teatralne i nigdy nie wspominał, że interesuje się filmem.

Podejrzenie zmieniło się w przerażenie.

Oświetlenie było bardzo słabe, ale twarz Alexa wydawała się usmarowana brudem. Ten brud przecinały jaśniejsze ślady - zrozumiałam, że to łzy.

I wtedy do mnie dotarło: Alex nie grał.

*On rzekł: „Jakiż traf czy przeznaczeń władza  
Przed dni ostatkiem na ten szlak cię miecie  
I kto jest owy, co cię przyprowadza?”*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń XV

Nie wiem, jak długo tak siedziałam, tępo gapiąc się na Alexa szamoczącego się w skrzyni. Nie rozumiałam, co widzę, a tym bardziej, jakim cudem to widzę i dlaczego.

Wiedziałam tylko, że ktoś mi bliski ma poważne kłopoty. Nie mogłam tego zignorować - pamiętałam, co spotkało Jade, a wcześniej moją przyjaciółkę Hannah, jeszcze w Westport. Obie umarły... może niedokładnie przeze mnie, ale mogłam zrobić więcej, by zapobiec ich śmierci, tym bardziej, że Jade umarła przez Furie.

Jedno spojrzenie na diament na mojej szyi potwierdziło, że to, co dzieje się z Alexem, też może mieć z nimi związek. Kamień z jasnoszarego zrobił się czarny...

Nic dziwnego, że ogarnął mnie taki lęk.

Musiałam znaleźć Johna, i to natychmiast. Musiałam mu powiedzieć. Na Isla Huesos działo się coś strasznego. Coś tak strasznego, że diament Persefony odbierał wpływ Furii za pośrednictwem filmiku w komórce - chociaż nie było mnie na miejscu.



- To dowód - powiedziałam, odwracając się do Hope - że sprowadzenie mnie do Świata Podziemi nie zlikwidowało problemu.

Tyle że Hope nie było już na oparciu krzesła, na którym przysiadła wcześniej, by wyczyścić sobie piórka. Siedziała skulona na najwyższej półce, z której zdjęłam skrzynkę z moją torbą. Schowała głowę pod skrzydło.

- Co się z tobą dzieje? - spytałam, co było najlepszym dowodem, że kompletnie mi odbiło. Przecież nie mogła mi odpowiedzieć.

I nagle to usłyszałam: chrzęst stopy na żwirze.

Nie mogło mi się wydawać... tym bardziej, że gołębica też zareagowała. Wysunęła główkę spod skrzydła i spojrzała lękliwie w stronę kamiennych łuków, za którymi znajdował się dziedziniec.

Dopiero wtedy zauważyłam, że śniadaniowa zastawa zniknęła. Ktoś przyszedł tutaj i zabrał ją, pewnie podczas mojej kąpieli. Bo przecież nie byłam aż tak pochłonięta gapieniem się w ekran komórki, że bym nie zauważyła.

Podążyłam wzrokiem za spojrzeniem ptaka. Hope patrzyła na białe firanki, wzdymające się miękko na wietrze. Dostrzegłam kątem oka to samo, co ona... czarny cień przemykający za jednym z łukowatych wejść.

Nie byłam sama.

- Kto tam jest? - krzyknęłam, zrywając się z kanapy i rozpaczliwie ściskając komórkę, jakby była bronią.

Z dziedzińca nie dobiegła żadna odpowiedź.

Ale ta cisza w ogóle mnie nie uspokoiła. Mój diament zrobił się czarny - może nie tylko dlatego, że mój kuzyn był w niebezpieczeństwie, jak sądziłam, ale dlatego, że to mnie coś groziło.

„Jesteś bezpieczniejsza, bo tutaj mogę cię chronić -wróciły do mnie słowa Johna. - Ale masz bijące serce i jesteś na ziemi zmarłych”.

Pomyślałam, że tą osobą na dziedzińcu może być John. Tyle że naszyjnik nigdy wcześniej nie robił się czarny w jego obecności. Zawsze zachowywał srebrnoszarą barwę jego oczu.

I chociaż nie rozstaliśmy się w najlepszej atmosferze, może jednak by mnie zawołał, żeby się zaanonsować?

Na wszelki wypadek wyłączyłam telefon i - uważnie obserwując firanki - wsunęłam go w obcisły rękaw sukienki.

- John! - zawołałam. Mój głos zabrzmiał dziwnie piskliwie i dziewczynsko, więc odchrząknęłam i powtórzyłam: - John? - Tym razem wyszło lepiej. Bardziej autorytatywnie. - To ty?

Nic. Nikt nie wyłonił się zza firanek. Mogłabym przysiąc, że widziałam kolejny cień.

- John - powiedziałam, coraz bardziej spanikowana. -Jeśli to ty, to mógłbyś tu wejść? Bo koniecznie musimy o czymś porozmawiać.

Oczywiście odpowiedź nie nadeszła. I byłam pewna, że to nie dlatego, że John postanowił się do mnie nie odzywać.

Zawsze się zastanawiałam, dlaczego w horrorach dziewczyna, która siedzi sama w domu, uznaje, że to świetny pomysł wyjść na dwór i sprawdzić, skąd pochodzi dźwięk, od którego po plecach chodzą ciarki. Dlaczego nie siedzi w środku, gdzie jest bezpieczna, i nie poczeka na policję?

Teraz rozumiałam to trochę lepiej. Nie jestem szczególnie odważna - może z wyjątkiem okazji, kiedy chodzi o ratowanie ludzi czy zwierząt (siebie niekoniecznie), a często zanim zabiorę się do rzeczy, jest już za późno. Ale teraz musiałam coś zrobić. Nie mogłam zadzwonić na policję, bo w Świe-

cie Podziemi nie ma żadnej policji. Nie miałam pojęcia, jak skontaktować się z Johnem, bo nie dał mi tabletu, a poza tym i tak nie znałam jego numeru, gdybym chciała zadzwonić z komórki... która zresztą odtwarzała filmik z moim kuzynem uwięzionym w skrzyni. A nie zamierzałam czekać, aż mroczny cień przyjdzie tutaj i mnie dopadnie.

Wzięłam ciężki złoty świecznik z półki nad kominkiem. Nie chciałam nikomu robić krzywdy, ale jeśli ktoś zamierzał zrobić krzywdę mnie, to przecież musiałam się bronić.

Trzymając świecznik jak kij bejsbolowy, podeszłam ostrożnie do łuku, za którym widziałam cień. Materiał firanki był przejrzysty i dostrzegłam wysokie krzaki a nawet zarys fontanny.

Każdy z tych kształtów mógł być Furią czającą się do skoku, ostrzegłam się w duchu. Demony przybierają różne postacie. Satyry na gobelinach w sypialni Johna najlepiej tego dowodziły.

Z sercem w gardle wyciągnęłam rękę, by odsunąć firankę, gotowa zdzielić świecznikiem cokolwiek, co się poruszy...

Ale nic się nie poruszyło. Ujrzałam tylko dziedziniec z jego ponurymi kamiennymi alejkami i drzewami o smętnie zwisających gałęziach, i z fontanną, na środku której stała kamienna rzeźba pięknej kobiety w długiej sukni; wylewała wodę z amfory, która nigdy się nie opróżniała.

Nic nie pojmowałam. Przecież ktoś tu był. Miałam pewność. Gołębica - a może nawet mój diament - potwierdzały to.

Opuściłam świecznik i wyszłam zza firanki na zwirowaną ścieżkę. Wilgotne, chłodne powietrze przylgnęło do mnie jak stary dawno niewidziany przyjaciel; gulgotanie fontanny zagłuszało inne dźwięki.

Nagle zza krzaka wystrzeliła jakaś postać. Wrzasnęłam i obróciłam się w samą porę, by dostrzec, jak nurkuje pod najbliższym łukiem. Ruszyłam za nią do środka, ale wpadłam na Hope, która sfrunęła ze swojej grędy, by sprawdzić, co robię. Skrzydła zaplątały jej się w zwiewną firankę, która wydeła się jak balon nad moją głową. Wrzasnęłam jeszcze raz i poderwałam ręce do twarzy, żeby osłonić oczy. Kiedy wreszcie wyplątałam nas obie, zorientowałam się, że postać uciekła.

Ale zauważyłam, że nie była to żadna stwora z innego świata, podobna do tych na gobelinach. Nie był to satyr, chodzący szkielet ani nawet dorosły. Było to dziecko -chłopiec, najwyżej jedenastoletni.

Na dodatek ubrany w najdziwniejsze ciuchy, jakie w życiu widziałam. Wliczając w to moją suknię.

Kiedy go dogoniłam, biegł korytarzem... a przynajmniej próbował biec, bo niósł srebrną tacę z częścią śniadaniowej zastawy z sypialni Johna - czy właściwie naszej sypialni, powinnam chyba powiedzieć.

Ale nie przeszkadzało mu to pędzić całkiem szybko. Kiedy otrząsnęłam się z szoku, przyszło mi do głowy, że dziesięciolatek raczej nie zamierzał zrobić mi krzywdy. Tym bardziej, że nosił ciuchy, które wyglądały na najnowszy krzyk dziewiętnastowiecznej mody - czarne bryczesy kończące się nad kolanem, białe pończochy, wielkie ciężkie półbuty ze srebrnymi klamrami, zbyt duży żakiet z granatowego aksamitu i koszulę, która pewnie kiedyś była biała, ale teraz miała kolor starego lnianego obrusa.

Gdyby dzisiaj pokazał się gdzieś w takiej kreacji - no, może nie licząc festynu renesansowego - dzieciaki stłukłyby go na kwaśne jabłko.

- Czekaaj! - zawołałam. Jak na dziecko dźwigające z dziesięć kilo srebra, był zadziwiająco ruchliwy. Minał już połowę korytarza. - Wracaj tutaj!

- Przepraszam. - Nawet nie zwolnił i nie spojrzał na mnie. - Nie wolno nam z tobą rozmawiać.

- Co? - Musiałam zakasać spódnicę i ruszyć biegiem, żeby go dogonić. - Kto powiedział, że nie wolno wam ze mną rozmawiać? I jakim wam?

Miałam mętlik w głowie. John nic nie mówił o innych mieszkańcach zamku. Może o Furiach, ale nie o dziesięciolatkach. Powiedział tylko, że polecił swoim „ludziom”, żeby przyprowadzili mnie prosto do niego, gdyby zobaczyli mnie w jakimś nieodpowiednim miejscu.

Ale to nie był dorosły... i nie była to Furia. Kiedy spojrzałam na swój wisiorek, zobaczyłam, że znów zrobił się szary. Niebezpieczeństwo minęło. Jeśli w ogóle było jakieś niebezpieczeństwo poza tym, które zagrażało Alexowi...

Tymczasem chłopiec truchtał dalej. Pochodnie na ścianach dawały za mało światła, bym widziała cokolwiek wyraźnie. Korytarz tonął w migotliwych cieniach, które pogłębiały czerwone aksamitne kotary wiszące po bokach drzwi, ciągnących się szeregiem (pozamykanych na klucz, próbowałam już wcześniej). Nie miałam pojęcia, dokąd pędził ten chłopak.

- Co robiłeś na dziedzińcu? - spytałam groźnie. - Jak długo tam byłeś? - Nagle przyszła mi do głowy przerażająca myśl. - Szpiegowałeś mnie?

To go przyhamowało. Zatrzymał się na moment i spojrzał na mnie wielkimi niebieskimi oczami.

- Nie - oznajmił z oburzeniem. - Zbierałem nakrycia, żeby odnieść je do kuchni. Ale potem wróciłaś i zaczęłaś

się bawić swoim magicznym lusterkiem. Więc musiałem się schować, bo kapitan zakazał nam z tobą rozmawiać. Nie szpiegowałem.

- Ach, tak - odparłam, skołowana jego ripostą. Zasypał mnie niezrozumiałymi słowami, i zupełnie nie widziałam, jak odpowiedzieć. Kto to jest kapitan? Co to jest magiczne lusterko?

- Kapitanowi się nie spodoba, że przestawiałaś jego rzeczy - dodał chłopak złowróźnie. - Bardzo nie lubi, żeby coś ruszać.

Spojrzałam tam, gdzie on: na własną dłoń, i zorientowałam się, że ciągle trzymam w niej świecznik.

- Ach, tak - powtórzyłam, zawstydzona, że uzbroiłam się w coś takiego przeciwko komuś, kto w moim świecie byłby najwyżej piątoklasistą. Odwróciłam się i odstawiłam świecznik na mały marmurowy stolik pod ścianą. Potem znów spojrzałam na chłopca, a ponieważ był taki mały, a taca ze srebrami wydawała się taka ciężka, powiedziałam: - Czekaj, pomogę ci z...

To był błąd.

- Nie! - rzucił i znów ruszył przed siebie. - Kapitan Hayden mnie kazał to zrobić.

Kapitan Hayden?

- Masz na myśli Johna? - spytałam osłupiała.

- Oczywiście - odparł chłopiec z pogardą dla mojej ignorancji, jakbym to ja tu była wariatką. - A niby kogo?

Kim był ten chłopiec? I co to za historia z „kapitanem”? John mógł sobie mieć ponad sto osiemdziesiąt lat, ale fizycznie był raptem dziesiętnastolatkiem. Nie bardzo się znałam na morskich sprawach, ale wiedziałam, że pozycja w hierarchii, nawet w dawnych czasach, zależała od starszeństwa.

- A możesz mnie zabrać do, hm, kapitana Haydena? - spytałam chłopca. - Bo muszę się z nim natychmiast zobaczyć. - Musiałam go spytać o to, co zobaczyłam w telefonie... a teraz również o to, kto jeszcze oprócz nas mieszka w zamku.

- Jak mam cię do niego zabrać - burknął chłopiec z ponurą miną - skoro powiedział, że nie wolno mi z tobą nawet rozmawiać? To by było złamanie rozkazu, a ja zawsze wypełniam rozkazy.

Nigdy wcześniej nie udusiłam dziecka, prawdę mówiąc, w ogóle nie spędzałam z dziećmi zbyt wiele czasu, ale w tej chwili poważnie brałam to pod uwagę.

- Tak - wycedziłam przez zęby. - Ale to jest bardzo pilna i ważna sprawa, więc na pewno nie będzie miał nic przeciwko. Dał mi ten wisiołek, widzisz? - Wyciągnęłam diament spod stanika sukienki. - Ostrzega mnie, kiedy w pobliżu jest Furia. I właśnie mi powiedział, że jedna z nich była tu minutę temu. - Odrobinę naginałam fakty, ale ten dzieciak nie musiał o tym wiedzieć.

Mały spojrzał obojętnie na diament.

- Widziałem ten wisiołek już wcześniej. Byłem chłopcem okrętowym na „Liberty”.

Tą nazwę znałam. Nagle przypomniałam sobie, dlaczego. Widziałam taki napis na mosiężnym dzwonie na jednej z półek Johna. „Liberty, 1845”.

Ale kto to jest chłopiec okrętowy? I co to jest „Liberty”?

Uznałam, że ujawnianie swojej ignorancji przed tym dzieckiem nie byłoby najmądrzejszym pomysłem.

- To miło - powiedziałam, uśmiechając się przyjaźnie, i, jak miałam nadzieję, wystarczająco szczerze. - Jestem Pierce Oliviera. A ty?

- Henry Day - odparł. - I wiem, kim jesteś. Wszyscy cię pamiętamy po twojej ostatniej wizycie. Trudno byłoby

zapomnieć. Od tamtej pory wszystko jest inaczej. Wiesz, że ten wisiołek jest przeklęty?

- Tak - odparłam, wciąż z tym przyklepionym uśmiechem. Co miał na myśli, mówiąc: „Wszyscy cię pamiętamy po twojej ostatniej wizycie”? - To diament Persefony. Podobno przynosi nieszczęście wszystkim, którzy go dotkną... chyba że to wybranka władcy Świata Podziemi. Więc jak widzisz - dodałam, zmuszając się do jeszcze radośniejszego wyszczerzu - nic mi się nie stanie.

Dziwnie się czułam, wypowiadając na głos słowa „wybranka władcy Świata Podziemi”. Dziwnie i trochę pretensjonalnie. Tym bardziej, że nie byłam do końca przekonana, że naprawdę nią jestem.

Najwyraźniej on też nie był przekonany.

- A jednak coś ci się stało, prawda? - Henry niewzruszenie patrzył mi w oczy. - Jesteś tutaj.

To natychmiast starło uśmiech z mojej twarzy.

- Mogę już iść? - spytał chłopiec. - Ta taca jest ciężka. A kapitan zakazał nam z tobą rozmawiać.

- O... oczywiście - wyjąkałam. Co ja sobie wyobrażałam? Naprawdę sądziłam, że ten numer przejdzie? Nawet ten malec nie wierzył, że jestem kimś więcej niż tylko Pierce Ohwierą, prawie zmarłą i całkiem niedawno wyrzuconą ze szkoły. Nie byłam żadną królową, ani Świata Podziemi, ani żadnego innego świata. - Ale ja naprawdę muszę się zobaczyć z waszym, hm, kapitanem. Więc po prostu powiedz mi, gdzie go mogę znaleźć...

- Jest na plaży - odparł Henry, co w niczym mi nie pomogło. Po czym odwrócił się i biodrem otworzył drzwi po swojej lewej... drzwi, które wczoraj wieczorem były zamknięte na klucz. - Pracuje. I na twoim miejscu bym mu nie przeszkadzał... nawet jeśli wydaje ci się, że widziałś



Furię. Poza tym nie powinnaś opuszczać tej części zamku. To niebezpieczne.

I zniknął w bocznym korytarzyku.

Wsunęłam stopę między futrynę i drzwi, zanim zdążyły się za nim zatrzasnąć. Chyba nie zauważył, że zamek nie złapał.

Usłyszałam znajomy furkot nad głową. Spojrzałam w górę. Hope przysiadła na jednej z kamiennych rzeźb zdobiących ściany korytarza. Jak wszystkie ptaki z rodziny gołębi miała wyjątkowe zamiłowanie do rzeźb. Przykucała i podnosiła się na nóżkach, jakby koniecznie chciała mi przekazać jakąś wiadomość.

- Nie ma mowy - szepnęłam do niej. - Zostajesz tutaj.

Nie żałowałam swojej decyzji. Może tylko tego, że nie zostałam tam, gdzie było bezpiecznie, tak jak radził Henry. I że zostawiłam świecznik.

*Gorzko - śmierć chyba większe zna gorycze;  
Lecz dla korzyści, добыtych z przeprawy,  
Opowiem lasu rzeczy tajemnicze.*

Dante Alighieri *Piekło*. Pieśń I

Pies dopadł mnie, zanim zrobiłam dwa kroki.

Nie był to pies opisywany w greckich mitach, które omawialiśmy w szkole - Cerber z trzema głowami, który pilnuje wejścia do Świata Podziemi.

Ale niewiele mu brakowało.

Jego potężne przednie łapy wylądowały na moich barkach i popchnęły z powrotem na drzwi, przez które się przemknęłam. Przygwoździł mnie do nich jak motyla w muzealnej gablocie. Stał na tylnych łapach i warczał, a jego białe kły błyszczały tuż przy mojej twarzy. Ślina kapłała długimi białymi nitkami na kamienną podłogę.

Usłyszałam, że ktoś za nim krzyknął ostrym tonem:

- Tyfon! - Pies nie ruszył się, wciąż wbijał we mnie przekrwione spojrzenie i dyszał mi w twarz cuchnącym oddechem. Byłam intruzem, który ośmielił się wkroczyć na jego terytorium, i musiałam stawić czoło jego wściekłości.

W następnej chwili twarda dłoń chwyciła nabijaną ćwiekami obrozę psa i szarpnięciem odciągnęła go ode mnie. Pies zaskomlał jak szczeniak, wywieszając długi

różowy jęzor i machając równie długim szarym ogonem. Został wypchnięty za drzwi, chyba na podwórze stajni. Natychmiast zaczął żałośnie piszczeć i drapać w drzwi, by wpuszczono go do środka, najwyraźniej bardzo smutny, że nie mógł mnie sobie przekąsić.

Dopiero wtedy poczułam się na tyle bezpiecznie, żeby się rozejrzeć.

Zorientowałam się, że jestem w kuchni, która, tak jak cały zamek Johna, miała kamienne ściany i wysoki sklepiony sufit. Prowadziły stąd tylko dwa wyjścia: drzwi na korytarz, przez które właśnie weszłam i do których zostałam przygwożdżona, i drugie, na podwórzec, na który mężczyzna ubrany w czarne skóry wypchnął psa Johna, i gdzie, jak zakładałam, John trzymał swojego konia, Ala-stora - kolejne stworzenie ze Świata Podziemi, które serdecznie mnie nienawidziło.

Bo Alastor nie był jedyny. Chłopak, który oderwał ode mnie Tyfona, stał teraz kilka kroków z boku, przy stole z drewna dzielącym kuchnię na pół, i patrzył na mnie z miną mówiącą, że nie lubi mnie jeszcze bardziej niż koń i pies. Trudno było nie zauważyć rozmiaru jego nagich bicepsów - nie były tak potężne jak Johna, a jednak imponujące - założył ręce na piersi, przez co uwypukliły się i zaprezentowały w całej okazałości. Zdobiły je złowrogie opaski z wytatuowanych cierni, co jeszcze bardziej przyciągało do nich uwagę.

Trudno stwierdzić, czy to przez bicepsy był bardziej zauważalny niż wszyscy inni w kuchni, czy może dlatego, że był wyjątkowym przystojniakiem (w każdym razie tak powiedziałyby moja przyjaciółka Kayla). Jego urody nie psuła nawet poszarpana blizna, biegnąca w dół po lewej stronie czoła, przez czarną brew, aż do połowy zuchwy.

Ktokolwiek go zranił, na szczęście - dla niego - ominął ciemne oko.

Niekoniecznie na szczęście dla mnie, bo dzięki temu mógł używać obojga oczu, by posyłać mi mordercze spojrzenia.

- Hm - zaczęłam, kiedy poczułam nareszcie, że krew znów płynie w moim ciele. - Może warto by było wykastrować psa.

Wytatuowany chłopak prychnął drwiąco.

- Pewnie niedługo będzie chciała wykastrować nas wszystkich.

- Frank! - krzyknął starszy mężczyzna, którego wcześniej nie zauważyłam. Stał obok ogromnego kominka, zajmującego niemal całą długość najdalszej ściany. Nad ogniem wisiały wielkie czarne kotły, i to chyba z nich buchał paskudny zapach, który wypełniał pomieszczenie. - Uważaj na maniery, proszę cię. Henry, nalej gościowi kapitana filiżankę herbaty. Zdaje się, że dobrze jej zrobi.

- Ona nie jest gościem kapitana, panie Graves - powiedział chłopak z tatuażami, czyli Frank. - Goście raczej nie mają zakazu opuszczania swojej kwatery. Za to więźniowie, i owszem. A czy więźniowie nie są zwykle karani za nieposłuszeństwo?

Błysk w jego zimnych, czarnych oczach, kiedy wypowiadał słowo „karani”, mówił wyraźnie, że Frank bardzo chętnie wymierzyłby mi karę.

Chwyciłam oparcie najbliższego krzesła i osunęłam się na siedzisko, ale byłam prawie pewna, że wyglądało to naturalnie, a nie jakby kolana zmiękły mi ze strachu, choć oczywiście tak było.

- Przestań ją straszyć, Frank - powiedział olbrzymi facet siedzący naprzeciw mnie. Jego nie zauważyłam, bo

milczał. Był jeszcze większy od Franka, choć podobnie jak on ubrany w czarne skóry i pokryty tatuażami. Ale w odróżnieniu od Franka, który był mniej więcej w wieku Johna i włosy nosił zaplecione w skomplikowany wzór z krótkich warkoczyków tuż przy skórze, ten był starszy i ogolił czaszkę na łyso... zostawił tylko czarny warkocz z tyłu głowy. A jego tatuaże przedstawiały kolorowe ptaki i kwiaty, nie ciernie.

- Wystarczy, że pies wystraszył ją prawie na śmierć.

- To, że tak łatwo ją wystraszyć, tylko dowodzi mojej racji - odparł Frank, nawiązując do rozmowy, którą najwyraźniej przerwałam... rozmowy na mój temat. - To nie jest żadna wybranka. Więc po co się bawić w uprzejmości?

- Tylko głupiec nigdy nie czuje strachu, Frank - powiedział pan Graves, stary człowiek przy ogniu. - Bohaterowie to ci, którzy nie cofają się mimo strachu, bo wiedzą, że zadanie musi zostać wykonane...

- ...i nikt tego za nich nie robi - prychnął Frank. - Tak, tak, wspominał pan o tym ledwie tysiąc razy. Henry, jak ona się tu w ogóle dostała? Znowu zapomniałeś zamknąć drzwi na klucz?

- To nie moja wina. - Henry, który odstawił wreszcie tacę z nakryciami na stół, zrobił oburzoną minę. - Poszła za mną. Powiedziała, że ją szpiegowałam. I mówi, że chce się zobaczyć z kapitanem. Mówi, że widziała Furię.

Frank roześmiał się szorstko.

- Teraz, przed chwilą? To by była niezła sztuczka, biorąc pod uwagę, że żaden z nas nic nie widział i nie słyszał. Więc jaka to była Furia, jaśnie panienko? Niewidzialna?

Poczułam, że się czerwienię. Przywykłam już, że w szkole jestem outsiderką, z której ludzie się śmieją albo po prostu wolą ignorować, bo moje bliskie spotkanie ze śmiercią

zrobiło ze mnie dziwadło, wyrzutka, dziewczynę, która nie umie się dopasować.

Ale co innego znaleźć się w miejscu, przy którego istnieniu ja jedna zawsze się upierałam, i być traktowaną dokładnie w ten sam sposób.

- Przepraszam - powiedziałam lekko wzburzona. - To nie była wina Henry'ego. Rzeczywiście za nim poszłam, bo szukałam Johna. Czy też kapitana, jak go nazywacie. Czy któryś z was mógłby mi łaskawie powiedzieć, gdzie go mogę znaleźć? - Miałam tylko nadzieję, że po drodze nie spotkam znowu tego psiska...

- Przepraszam, moja droga - powiedział stary pan Graves. - Dawno nie mieliśmy gości i obawiam się, że zapomnieliśmy dobrych manier. Proszę, nie przejmuj się niczym, co mówi Frank. Zawsze był zręcznym żeglarzem, ale żaden z niego dżentelmen.

Spojrzałam z niepokojem na Franka, z obawą, że obrazi się za te słowa. Ale on tylko założył ręce za głowę i oparł nogi na stole, cały zadowolony, że „żaden z niego dżentelmen”.

- Jestem Graves, medyk okrętowy na „Liberty” - przedstawił się staruszek, najwyraźniej ignorując zachowanie swojego towarzysza. - A to jest pan Liu, nasz bosman. - Olbrzym z warkoczem kiwnął mi bez uśmiechu głową znad filiżanki herbaty.

To było dla mnie równie niezrozumiałe, jak wszystko, co mówił wcześniej Henry. Znow wyjeżdżali z „Liberty”. Czy pan Graves miał być jakimś lekarzem? Bo z całą pewnością nie wyglądał na doktora w swoim staroświeckim garniturze z czarnej wełny.

Jeśli był lekarzem, to może te cuchnące substancje w kotłach, których pilnował przy ogniu, to specjalne lekarstwa

do opatrywania ran zadanych przez Furie. Miałam taką nadzieję, bo miło byłoby wiedzieć, że John ma przy sobie kogoś, kto się nim opiekuje.

Z drugiej strony, jeśli ci czterej - pan Graves, ten prymityw Frank, tajemniczy pan Liu i niegrzeczny mały Henry - byli jedynym towarzyszem Johna przez sto sześćdziesiąt parę lat, to by wiele mówiło na temat jego ponurego usposobienia.

Pan Liu i Frank wyglądali niemal identycznie jak strażnicy, których widziałam pracujących z Johnem tego dnia, kiedy umarłam w wieku piętnastu lat. Tego dnia, kiedy John postanowił zatrzymać mnie przy sobie, zamiast posłać do ostatecznego miejsca przeznaczenia.

Co to Henry powiedział w korytarzu? „Wszyscy cię pamiętamy po twojej ostatniej wizycie”.

Nic dziwnego, że wyglądali jak tamci strażnicy. Prawdopodobnie byli tamtymi strażnikami.

I nic dziwnego, że żaden z nich mnie nie lubił. Byłam dziewczyną, która chlusnęła herbatą w twarz ich pana, a potem uciekła.

Teraz wydało mi się bardziej prawdopodobne, że ta breja w kotłach to trucizna... którą zamierzali mnie uraczyć.

- Miło mi was wszystkich poznać - powiedziałam, uznając, że lepiej zachowywać się dyplomatycznie, skoro miałam jakiś czas tu tkwić z tymi ludźmi. Wstałam na wciąż niepewnych nogach i podeszłam do pana Gravesa, żeby uścisnąć mu dłoń.

Ale doktor po prostu gapił się nad moją głową, jakby nie zauważał ani mojej ręki, ani mnie.

Wszystko się wyjaśniło, kiedy w następnej chwili Frank rzucił z pogardą: ".V

- On cię nie widzi. Jest ślepy.

- Och - jęknęłam potwornie zażenowana. Dopiero wtedy zauważyłam, że oczy pana Gravesa pokryte są mlecznym bielmem i że ani razu nie spojrzął na nikogo, z kim rozmawiał. - Strasznie przepraszam.

- Niepotrzebnie - odparł pan Graves, który i tak zdołał odnaleźć moją dłoń i uścisnąć ją. - To nie twoja wina.

- Prawdę mówiąc, to mogła być jej wina - stwierdził Frank. - Zrobiła to Furia...

- Frank, młoda dama powiedziała, że chce się zobaczyć z kapitanem. Może idź po niego? - rzucił ostro pan Graves. A do mnie powiedział: - Panno Oliviera, bardzo przepraszam. Minęło sporo czasu, od kiedy ci kawalerowie przebywali w towarzystwie młodej damy.

- Mów za siebie, stary - odgryzł się Frank. Skwapliwie zerwał się z krzesła. - Może po prostu zabiorę ją do kapitana?

- To raczej nie jest dobry pomysł - mruknął pan Liu w swoją filiżankę.

- Wydał rozkaz, żeby zabrać ją prosto do niego, jeśli się pojawi - nalegał Frank.

Twarz pana Gravesa wyrażała taki sam niepokój, jaki ja czułam, kiedy Frank mi o tym przypomniał.

- Po prostu idź po kapitana, Frank. Albo mały Henry pójdzie.

- Co? - krzyknął Henry ze znekana miną. - Ja nie chcę iść do tych wszystkich zmarłych ludzi. I zawsze to ja muszę rozdawać koce...

- Nieważne - rzuciłam szybko. Koce? Jakie koce? O czym on mówił, do diabła? - Po prostu poczekam, aż John wróci...



- Widzicie? - oznajmił Henry triumfalnie. - Mówiłem wam. To nie ona.

- To nie ma znaczenia - odparł niecierpliwie Frank. - Tak czy inaczej jesteśmy na nią skazani.

Nie było zbyt przyjemnie usłyszeć o sobie, że ludzie uważają cię za osobę, na którą są skazani. Oczywiście mnie samej przemknęło coś takiego przez myśl... podzielałam ich sentymenty i obawy Henry'ego, że nie jestem materiałem na królową Świata Podziemi.

- Przepraszam - wtrąciłam. Czułam, że muszę coś powiedzieć, szczególnie jeśli zostałam wybrana przez Johna na towarzyszkę życia z powodów, które podejrzewałam: bo zawsze czułam się zobligowana pomagać dzikim stworzeniom, choć przyznaję, że jak do tej pory nie odnosiłam wielkich sukcesów. Oni z pewnością zaliczali się do dzikich stworzeń. - Rozumiem, że niektórzy z was mogą mnie nie lubić, bo podczas swojej ostatniej wizyty nie zrobiłam najlepszego wrażenia. - Mało powiedziane. - Ale myślę, że wszyscy mamy ze sobą coś wspólnego.

Pan Liu zrobił zaciekawioną minę.

- A cóż takiego, panno Olwiera?

- Otóż, wszyscy chcielibyśmy...

O mało nie powiedziałam „wrócić do domu”, ale przypomniałam sobie, że ich domy dawno nie istniały. Wszyscy ludzie, których znali na ziemi, wszyscy ich krewni i bliscy pomarli dawno temu. Oni nie mieli domów, do których mogliby wrócić. Może teraz to była ich rodzina, a Świat Podziemi był ich domem.

- Wrócić na Isla Huesos - dokończyłam niezręcznie. Przecież to chyba lepsze niż Świat Podziemi, prawda?

Kiedy przez chwilę siedzieli i gapili się na mnie - oprócz pana Gravesa, który był niewidomy i zrobił zakłopotaną

minę - zaczęło mi świtać, że popełniłam jeszcze większy błąd, niż gdybym powiedziała „do domu”. - Słyszeliście o Isla Huesos, prawda? - spytałam z niepokojem.

Niewidomy medyk przemówił pierwszy, odrobinę wyniośle:

- Każdy człowiek, który żeglował pod brytyjską banderą, zna Isla Huesos. To jeden z najruchliwszych i naj-plugawszych portów obu Ameryk.

- Ach - powiedziałam. - No tak.

To nie była odpowiedź, jakiej się spodziewałam. Nie bardzo wiedziałam, jak mu powiedzieć, że nawet jeśli dwieście lat temu Isla Huesos była jednym z najruchliwszych portów obu Ameryk, teraz co roku odwiedzało ją jakieś pół miliona turystów, czy to wycieczkowcem, czy samochodem, czy samolotem, żeby się opalać, wypożyczać narty wodne i kupować T-shirty z napisem „Moja babcia była na Isla Huesos i przywiozła mi tylko ten badziewny T-shirt”. Trudno było nazwać wyspę najplugawszym miejscem obu Ameryk...

Z drugiej strony, było to miejsce, które wzięło nazwę od tysięcy ludzkich kości zaśmiecających brzegi wyspy, gdy odkryto ją w szesnastym wieku. Isla Huesos znaczy Wyspa Kości. Kwestia, jakim cudem te kości się tam znalazły, zawsze była przedmiotem spekulacji.

Fakt, że pod wyspą znajduje się Świat Podziemi, oczywiście mógł stanowić pewną wskazówkę.

- Nigdy nie byłem na Isla Huesos - powiedział Henry z tęsknym wyrazem twarzy. - „Liberty” właśnie tam płynęła, kiedy...

Pan Graves dostał ataku kaszlu, być może od wdychania oparów z kotła.

- Chłopcze, nie pozwól, żeby nabiła ci głowę mrzonkami - ostrzegł Henry'ego Frank niskim złowrogim głosem. - Bo teraz też się tam nie wybierasz.

- Nie próbuję nikomu nabijać niczym głowy - odparłam urażona. Staralam się tylko wykonywać swoje nowe obowiązki. - Mówię tylko, że może nie różnimy się tak bardzo, jak ci się zdaje. Wiem, że zachowałam się... nieuprzejmie wobec waszego kapitana, kiedy byłam tu ostatnim razem. - Poczułam, że się czerwienię, ale brnęłam dalej, nie spuszczać wzroku z pana Gravesa, który oczywiście nie mógł mnie widzieć. - Ale teraz mam zupełnie inne nastawienie. Chcę pomóc. John dał mi to. - Pociągnęłam za łańcuszek i wyjęłam diament zza dekoltu sukni, żeby go im pokazać. - Pomyślałam, że może z jego pomocą, i jeśli będziemy współpracować, kiedyś wreszcie wymyślimy, jak pokonać Furie...

Moje słowa przywitała całkowita cisza, osłupienie... a w końcu śmiech. Wszyscy się ze mnie śmiali, nawet pan Graves.

- Co? - Patrzyłam na nich ze złością. - Nie rozumiem, dlaczego to was tak śmieszy. Zastanówcie się nad tym. Dlaczego ktoś miałby zadać sobie tyle trudu, by zrobić wisiołek, który ostrzega o obecności złych duchów, gdyby nie było sposobu, żeby się złych duchów pozbyć? W telewizji ludzie bez przerwy wyganiają duchy, wymachując jakimś śmierdzącym kadzidłem i wypowiadając zaklęcia. Więc myślę, że w Świecie Podziemi na pewno jest jeszcze lepsza broń.

- Furie to nie duchy - powiedział pan Liu, ocierając łzy z oczu.

- Co to jest telewizja? - spytał Henry.

- Gdyby smrody działały na Furie, już dawno mielibyśmy je z głowy dzięki panu Gravesowi. - Frank wskazał ruchem głowy czarne gary bulgoczące nad ogniem.

- Frank - wtrącił niewidomy staruszek; jego śmiech urwał się gwałtownie, a w tonie dała się słyszeć irytacja. - Już ci mówiłem, że warzenie światowej klasy piwa to sztuka, nie nauka. Jeszcze mi podziękujesz, kiedy ten zaczyn sfermentuje.

Piwo? Więc tym zajmował się medyk? No cóż, nie mieli tu supermarketu, do którego mogliby skoczyć po browar. A Furie najwyraźniej nie serwowały zimnego budweisera.

- Posłuchajcie - spróbowałam wrócić do tematu. - Nie mówię, że na pewno się mylicie. Ale czy nie jest możliwe, że jednak nie macie racji? John powiedział, że Furie zostawią moją rodzinę w spokoju, jeśli mnie tutaj ściągnie. Ale tak się nie stało. - Wyjęłam komórkę z rękawa i włączyłam ją. - Popatrzcie.

Frank już kręcił głową.

- Daj sobie spokój. Twoje tu nie zadziała. - Wsunął rękę do kieszeni i wyjął czarne płaskie urządzenie, bardzo podobne do tego, którego rano używał John. - Tylko nasze tu działają.

- Jej też - zaprzeczył Henry, stając przy moim krześle, przyciągnięty w tej samej mierze moim strachem na widok szamotaniny Alexa, jak i zwykłą dziecięcą fascynacją gadżetami. - Widziałem, jak się nim bawiła. Co ci pokazuje?

- To - odparłam, przechylając wyświetlacz, żeby zobaczył ciemny, niepokojący obraz. Pewnie nie był to odpowiedni widok dla dziecka w jego wieku... ale przecież Henry mieszkał w Świecie Podziemi. - Nie wiesz przypadkiem, co to jest?

- To niemożliwe. - Frank z miną pełną niedowierzania spojrział na mnie, na pana Gravesa, na pana Liu i znów na mnie. - Działa. Jak to możliwe, że jej lustro działa?

Henry wyjął mi telefon z dłoni i mrużąc oczy, wpatrzył się w wyświetlacz.

- To jakiś mężczyzna - powiedział. - Nie... chłopak. Jest w skrzyni. Ciemnej skrzyni. Ale nie wygląda mi, jakby zaatakowały go Furie. Po prostu jest uwięziony. Znasz tego chłopaka?

Odebrałam mu telefon.

- Znam. - Serce zaczęło mi przyspieszać, jak poprzednim razem, kiedy widziałam filmik. - To mój kuzyn Alex.

- Czy kapitan Hayden wie, że to masz? - spytał nerwowo pan Graves. - Nie wydaje mi się, żeby był zadowolony...

- Mogę to zobaczyć? - Pan Liu wyciągnął rękę wielkości bochenka wiejskiego chleba. To nie była prośba, raczej polecenie.

Podalam mu telefon i zerknęłam na naszyjnik, bo znów ogarnęły mnie złe przeczucia. Tak jak się spodziewałam, kamień zrobił się czarny.

Henry też to zauważył i spytał zaciekawiony:

- Czy twój wisiołek nie był przedtem srebrny? Zanim zdążyłam odpowiedzieć, pan Liu oderwał wzrok od ekranu.

- Ten chłopak - powiedział ponuro - nie jest w skrzyni. On jest w trumnie.

Słowo „trumna” uderzyło mnie jak pięść.

- O Boże. - Krew stężała mi w żyłach. - Oczywiście. - Nie mogłam uwierzyć, że wcześniej na to nie wpadłam. - To trumna. Nie prawdziwa... to taka tradycja w Liceum

Isla Huesos. Noc Trumien. - Widziałam po ich minach, że

nie mają pojęcia, o czym mówię. Ale trajkotałam dalej, bo byłam zdenerwowana. - Najstarsza klasa buduje trumnę i chowa ją...

Sięgnęłam przez stół, by wyjąć telefon z palców pana Liu. Na wyświetlaczu wciąż widać było makabryczny obraz. Teraz, kiedy już wiedziałam, widziałam wyraźnie, że to rzeczywiście trumna.

- Byłam pewna, że Alex coś kombinuje - powiedziałam bardziej do siebie niż do nich. - Tak się denerwowałam, że nie myślałam jasno. Był taki zadowolony, kiedy mu zdradziłam, że Seth Rector i jego koledzy poprosili mnie, żebym była w komitecie budowy trumny. A on ich nienawidzi... nie wiem dlaczego. Na pewno znalazł trumnę... bo Seth trzymał ją w garażu mojej mamy, i chciał z nią zrobić coś złego, ale go przyłapali i zamknęli go w niej dla żartu. Ale to kiepski żart. On wygląda, jakby nawet nie mógł oddychać! Proszę, musicie mi powiedzieć, co mam robić. Muszę tam wrócić. Muszę mu pomóc!

Pan Liu, wciąż z ponurą miną, powiedział niskim powolnym głosem:

- Obrazy, które widzimy w tym świecie, często nie przedstawiają tego, co dzieje się teraz, ale co dopiero ma się wydarzyć.

Spojrzałam na ekran.

- Zaraz... więc to się nie dzieje?

- Być może się dzieje - odparł z powagą pan Liu. - Być może już się stało. Albo stanie się w przyszłości. Nie da się tego stwierdzić.

- Dlatego kapitan już dawno zakazał nam podglądania znajomych w magicznych lusterkach - dodał Frank.

- Chociaż nieźle się spisał wtedy, jak zobaczyłem, że złodziej zabrał torebkę mojej mamie, pamiętacie? - Henry

uśmiechał się promiennie. - Zjawił się w samą porę i spuścił temu bandycie potężne...

- Więc John poszedł na ziemię - zaczęłam, czując nagły przyływ nadziei - i pomógł twojej mamie?

- Henry - rzucił pan Graves niespokojnym tonem. - Proszę cię, nie podsuwaj pannie Oliviera takich pomysłów. To były wyjątkowe okoliczności...

- Nie słyszeliście, co mówię? Nie widzieliście tego? - Wstałam, żeby im pokazać telefon. Alex wciąż łomotał w ścianki trumny. Miałam nadzieję, że ktoś pamiętał o wywierceniu dziurek w wieku. Ale znając Seta Rectora i jego kumpli, szczerze w to wątpiłam. - To wyjątkowe okoliczności. Zobaczcie! - Uniosłam diament na łańcuszku, czarny jak smoła. - To oznacza, że Furie są w pobliżu. A skoro nie ma ich tutaj, jak mnie zapewniasz, to znaczy, że są tam, w pobliżu Alexa. Więc jeśli mogę mu jakoś pomóc, muszę tam wrócić. Musicie mi powiedzieć, gdzie znajdę Johna, żeby mnie...

- Panno Oliviera, jest tu pani za krótko, by rozumieć, jak ważna jest nasza praca - przerwał mi pan Graves. - Jeśli zmarli nie zostaną posegregowani, bo kapitan będzie wiecznie biegał pomagać żywym, ma pani pojęcie, jak poważne będą konsekwencje, jaki zapanuje chaos? Dusze zmarłych zaczną wracać na ziemię. Nie będą miały dokąd pójść, nie będą miały nic do roboty i zaczną prześladować żywych. To by była katastrofa. Kłopoty pani kuzyna są bardzo niefortunne, to prawda. Ale trupia zaraza na ziemi również by była, zapewniam panią.

- Czy kapitan Hayden nie sprowadził tu pani, bo członkowie jej własnej rodziny są opętani przez Furie i próbują panią zabić? - spytał pan Liu.

- Tak - odpowiedział mu cichy głos od drzwi na podwórzec. - Właśnie tak. Pierce, mogę z tobą zamienić słowo? Nie wiedziałam, jak długo tam stał i jak wiele usłyszał. Ale sądząc po wyrazie jego twarzy, usłyszał dość.



*„Idźmyż: daleki cel ma nasze pójście”.  
Ruszył; tu pierwsze przekroczyłem za nim  
Kolo, z tych, które biegną nad czeluście.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń IV

Czy to naprawdę było konieczne? - spytałam, kiedy już złapałam oddech. Za każdym razem, kiedy John porywał mnie przez czas i przestrzeń w inne miejsce (czy do innego wymiaru astralnego), zawsze czułam lekkie mdłości i miałam wrażenie, że zgubiłam po drodze kończynę albo jakiś istotny organ.

Kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że nie tylko jestem w jednym kawałku, ale że trzymam nawet komórkę w dłoni... w tej dłoni, która nie ścisnęła ramienia Johna tak kurczowo, że byłam pewna, że zrobię mu siniaka przez rękaw skórzanej kurtki.

- Było - odparł. - Mamy opóźnienie, a ty i ja najwyraźniej musimy pogadać. - Nagle chyba zauważył wyraz mojej twarzy, bo zrobił zatroskaną minę i spytał: - Dobrze się czujesz?

- Daj mi sekundę - odpowiedziałam. Nie uprzedził, że zabiera mnie na plażę, i to też nie poprawiło mi samopoczucia. Czułam, że obcasy moich delikatnych pantofelków zapadają się w piasku.

- Dam ci tyle czasu, ile potrzebujesz - obiecał.

Ale jego czarne brwi wciąż marszczyły się z dezaprobatą, tak jak w chwili, kiedy stanął w kuchennych drzwiach. Jeszcze nie ustaliłam, jaką część rozmowy słyszał. Czy słyszał, jak jego załoganci stwierdzili, że są na mnie skazani? Czy słyszał, jak Frank ze mną flirtował (a przynajmniej tak mu się zdawało)?

John o tym nie wspomniał. Po prostu wszedł do kuchni, złapał mnie za rękę, i kiedy mrugnęłam, zdumiona jego widokiem, wszystko zniknęło - hałaśliwe, pełne zażenowania usprawiedliwienia jego załogi, kiedy próbowali się tłumaczyć jednocześnie; smród zacieru pana Gravesa -wszystko z wyjątkiem szczekania Tyfona...

...ponieważ Tyfon nadal szczekał, tyle że teraz szczekał koło mnie, na brzegu ogromnego zimnego jeziora, nad którym się znalazłam. Wielki czarny koń pasł się na trawiastej wydmie niedaleko nas, przerywając od czasu do czasu, by złym wzrokiem zerknąć na mnie i Tyfona. Był to Alastor, koń Johna, który już kiedyś próbował mnie kopnąć w głowę.

Nie musiałam pytać, gdzie jesteśmy. Wiedziałam to, jeszcze zanim usłyszałam przeciągły smętny ryk okrętowego rogu z przystani.

- Przepraszam - powiedział John. Najwyraźniej mówił o rogu. - Przez cały dzień mamy opóźnienie. - Podniósł kawał drewna i cisnął z całej siły. Tyfon popędził za nim z radosnym szczekaniem.

- Ludzie odpływający na tych łodziach i tak są już martwi - zauważyłam. Podniosłam komórkę, żeby pokazać mu filmik z Alexem. - Mój kuzyn Alex jeszcze nie. Ale niedługo będzie, jeśli czegoś nie zrobimy. Popatrz na niego.

John spojrzał na wyświetlacz.

- Pierce - powiedział, zaciskając usta. - Nawet nie masz pojęcia, jak mi przykro. Ale...

- To jest twoja trumna - odparłam. - Ta, którą licealiści z Liceum Isla Huesos zbudowali dla ciebie na Noc Trumien, bo sądzą, że nie żyjesz i będziesz straszyl na cmentarzu, dopóki nie pochowają cię jak trzeba.

- Oni nie chowają tej trumny - sprostował z ponurym uśmiechem. - Oni ją palą na boisku futbolowym.

Zachłysnęłam się z przerażenia, serce zamarło mi w piersi.

- Nie zrobią tego! Chyba nie sądzisz, że... - Spojrzałam na telefon. - Naprawdę myślisz, że spaliliby go żywcem?

- Pierce, nie. - Jego uśmiech zmienił się na współczujący. - Nie spalą twojego kuzyna żywcem. Jestem pewien, że chcą go tylko nastraszyć. Ale nawet jeśli, to moi ludzie mieli rację. - Wzrok Johna stał się śmiertelnie poważny. - Nie pozwolę ci tam wrócić. To zbyt niebezpieczne.

Puściłam jego ramię. Tyfon wrócił; trzymał kawał drewna w wielkiej oślinionej paszczy, wymachując potężnym ogonem. W obecności Johna pies jakimś cudem wydawał się raczej psotny niż przerażający, może dlatego, że w jego oczach błyszczało absolutnie uwielbienie dla pana.

W moich własnych oczach błysnęły łzy... nie tylko dlatego, że byłam rozczarowana, ale i z zimna. Znad jeziora dmuchał lodowaty wiatr, który targał mi włosy i oblepiał suknię wokół nóg.

- Pierce - powiedział John, kiedy wyjął patyk z pyska Tyfona i znów go rzucił. Wyciągnął rękę, by chwycić mnie w tali, i przycisnął do siebie. - Wiem, że martwisz się o rodzinę i chcesz wrócić na Isla Huesos, żeby im pomóc. Ale pan Liu miał rację. To, co widzisz na ekranie, mogło się jeszcze nie wydarzyć. Być może nigdy się nie wydarzy. To

raczej jakby przeblysk... cień czegoś, co mogłoby się stać w życiu twojego kuzyna. W tej chwili musimy się martwić o fakty. A faktem jest, że członek twojej rodziny próbował cię zamordować... dwa razy. Czy przyszło ci do głowy, że to, co widzisz, to może być podstęp, żeby cię stąd wywabić i żeby Furie znów spróbowały pozbawić cię życia? To ciebie trzeba chronić, Pierce, nie Alexa.

- Tutaj i tak jestem prawie jak martwa - wytknęłam mu. - Co to za różnica, jeśli mnie zabiją?

- Mogą ci zrobić o wiele większą krzywdę - przypomniał mi głosem lodowatym jak wiatr, od którego osłaniał mnie własnym ciałem. - Tak wielką, że wolałbym, byś się tego nie dowiedziała.

Nie musiał mówić nic więcej. Blizny, które Furie pozostawiły na jego ciele - i na ciałach jego załogantów - były wystarczającym dowodem.

- Och, John - jęknęłam, opierając głowę na jego piersi. - Przepraszam. Nie chciałam powiedzieć tego, co mówiłam rano. A w każdym razie to nie miało tak zabrzmieć. Byłam zdenerwowana.

Poczułam, że jego usta muskają moje włosy.

- Wiem - powiedział.

Jego głos nie był już zimny, ale kiedy na niego spojrzałam, nie zauważyłam uśmiechu. Nie uśmiechnął się nawet na widok Tyfona, taszczącego z powrotem kawał drewna, który potknął się o nie i upuścił w fale.

Podejrzewałam, że potrzeba czegoś więcej niż przeprosin, żeby znów się uśmiechnął.

- To dlatego schowałeś przede mną telefon? - spytałam. - Żebym nie widziała, co Furie robią mojej rodzinie? Wiedziałeś, że coś takiego się stanie? Wiedziałeś przez cały czas?

- Nie - odparł John; jego ramię stężało. - Szczerze mówiąc, nawet nie wiedziałem, że masz telefon. Wczoraj, kiedy przekroczyłaś granicę, upuściłaś torbę, i widocznie Henry ją schował. Jest wyszkolony do usługiwania oficerom na statkach. O wszystkim, co wykracza poza te obowiązki, ma dość mętne pojęcie.

Przypomniałam sobie, w jak idealnym porządku poukładane były ubrania Johna, w odróżnieniu od jego książek.

- Ach tak. - Uniosłam rękę, by otrzeć załzawione oczy. Słyszałam tylko wiatr, a trochę dalej fale uderzające o kadłub wysokiego statku, który odbijał od przystani. Choć statek był wyższy niż dwupiętrowy dom i wiozł kilka setek ludzi, nikt nie machał na pożegnanie, jak pasażerowie wycieczkowców wypływających z egzotycznego portu. To nie był taki rodzaj statku, a ci ludzie nie wypływali w tego rodzaju podróż.

Zobaczyłam dwie potężne postacie w czerni, krzątające się po zatłoczonej przystani. Jedna miała długi czarny warkocz, druga bliznę na twarzy. Pan Liu i Frank.

- Nigdy nie widziałem, żeby telefon tutaj działał - powiedział zadumany John, patrząc na moją komórkę. - A już na pewno nie w taki sposób. Henry nazwał tablety, które tu zastaliśmy, magicznymi lusterkami, bo działają tak jak te w bajkach. Zadajesz pytanie, a one udzielają ci odpowiedzi... zwykle na który statek ma wsiąść dusza, na którą patrzysz, ale jemu to się wydawało wystarczająco magiczne...

Powinnam chyba uznać fakt, że Mojry - czy ktokolwiek to był - obdarzyły mojego smartfona taką samą mocą jak „magiczne lusterka” Johna i jego załogi, na dowód moich kielkujących mocy wybranki, czy jakoś tak.

Ale wciąż byłam zbyt zdenerwowana Alexem, by myśleć o czymkolwiek innym.

- Henry powiedział, że czasami te tablety mówią wam coś więcej. - Spojrzałam mu w oczy. - Podobno widział kiedyś, jak złodziej ukradł torebkę jego mamie, i ty ją uratowałaś.

John spojrzał w niebo. Tyle że tutaj niebem było sklepienie wielkiej jaskini, w której zamknięty był Świat Podziemi. Bił z niego, jak zawsze, różowoszary blask w bardzo dołującym odcieniu.

- To co innego. Matka Henry'ego została zaatakowana przez miejscowego opryszka w jej rodzinnej wsi. Tamto nie była sztuczka Furii, a to najprawdopodobniej jest. Masz, nałóż. Widzę, że przemarzłaś.

Nie pożyczył mi swojej skórzanej kurtki, tak jak ostatnim razem, kiedy tu byłam. Wziął coś ze stojaka z polerowanego drewna. Podobne stojaki, jak zauważyłam, poustawiane były w nieregularnych odstępach na obu przystaniach.

Kiedy rozłożył tkaninę, przekonałam się, że to koc, podobny do tych, jakie rozdają podczas długich lotów samolotem. Tyle że ten był o wiele grubszy, by skutecznie chronić przed lodowatą wilgocią tej plaży.

- Znam cię - dodał, pomagając mi opatulić ramiona kocem. - Nie dasz mi spokoju, dopóki nie zgodzę się zająrzeć do twojego kuzyna, więc to zrobię. Ale tylko pod jednym warunkiem.

- John - powiedziałam, obracając się, by znów chwycić go za ramię.

- Nie ciesz się za bardzo - rzucił ostrzegawczym tonem. - Jeszcze nie słyszałaś warunku.

- Och - odparłam radośnie - cokolwiek to jest, zrobię to. Dziękuję. Alex nigdy nie miał łatwego życia, jego matka

uciekła, kiedy był mały, a ojciec spędził większość jego życia w więzieniu... Ale, John, co to jest? - Zatoczyłam koło wolną ręką, wskazując ludzi na przystani, czekających na kolejny statek. Zauważyłam, że niektórzy mieli koce, takie jak ten, którym John opatulił mnie. - Nowa jakość usług?

John zrobił zdziwioną minę, że tak nagle zmieniałam temat.. . a potem zażenowaną. Schylił się po kawałek drewna, który Tyfon upuścił u jego stóp.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział sztywno.

- Rozdajesz koce, żeby nie było im zimno, kiedy czekają. Kiedy to się zaczęło?

- Wspomniałaś o paru sprawach, kiedy ostatnio tu byłaś... - Unikał spojrzenia mi w twarz i rzucił patyk psu. -I jakoś utkwiiły mi w głowie.

Wybałuszyłam oczy.

- Sprawy, o których wspomniałam?

- No wiesz, jak powinienem traktować ludzi, którzy tutaj lądują. - Urwał, widząc, że zbliża się fala, choć była jeszcze ładnych parę metrów od nas, i teatralnym gestem odsunął mnie i moje delikatne pantofelki poza jej zasięg. -Więc postanowiłem wprowadzić parę zmian.

Poczułam się, jakby któryś z kwiatów, które naprawdę mi się podobały, na przykład stokrotka, zakwitł nagle w moim sercu.

- Och, John - jęknęłam i stanęłam na palcach, żeby pocałować go w policzek.

Był bardzo zaskoczony tym pocałunkiem. Wydało mi się nawet, że odrobina koloru wróciła na jego policzki.

- A to za co? - spytał.

- Henry powiedział, że od kiedy uciekłam, wszystko jest inaczej. Zakładałam, że o wiele gorzej. Nie wyobrażałam sobie, że wręcz przeciwnie. Ze to były zmiany na lepsze.

Zażenowanie Johna, że przyłapałam go na robieniu czegoś miłego zamiast szalonego czy brutalnego, było po prostu słodkie.

- Henry za dużo gada - mruknął. - Ale cieszę się, że ci się podoba. Choć oczywiście to sporo dodatkowej roboty. Przyznaję, że ograniczyło to skargi, a nawet bójki wśród bardziej krewkich pasażerów. Więc miałaś rację. Twoje sugestie były użyteczne.

Uśmiechnęłam się do niego promiennie.

Stróż zmarłych. Tak nazwał kiedyś Johna pan Smith, zarządca cmentarza, i właśnie tym był John. Choć teraz bardziej odpowiedni wydawał się tytuł „opiekuna zmarłych”.

To było wręcz idiotyczne, jaką nadzieją przepełnił mnie fakt, że John zapamiętał coś, co powiedziałam tak dawno temu. Pomyślałam, że ta cała historia z byciem jego wybranką naprawdę może się udać.

Chwilę później krzyknęłam cicho, widząc nagły trzepot białych piórek. Ptak, którego podarował mi John, wyfrunął z szaroburej mgły, która otulała plażę. Gołębica przysiadła obok nas na piachu, jakby z niezadowolonym „hmf”.

- Och, Hope - powiedziałam, ocierając z oczu łzy radości. Widocznie wystarczyło, żebym poczuła nadzieję, by Hope zjawiała się przy mnie. - Przepraszam. Nie chciałam cię zostawiać. Ale to jego wina. - Wskazałam palcem Johna.

Ptak zignorował nas oboje. Zaczął grzebać w resztach wyrzuconych na brzeg przez fale, jak zawsze szukając czegoś do jedzenia.

- Ma na imię Hope? - spytał John i kąciki jego ust zaczęły wędrować do góry.

- Nie. - Zjeżyłam się, sądząc, że się ze mnie nabija. Nagle dotarło do mnie, że jednak się wydało. - No, może i tak... ale nawet jeśli, to co? Nie zamierzam nadawać jej



jakiegoś przygnębiającego podziemnego imienia, jakie ty nadajesz swoim zwierzacom. Sprawdziłam w necie Alastora. Tak nazywał się jeden z rumaków śmierci, które ciągnęły rydwan Hadesa. A Tyfon? - Spojrzałam na psa, który brykał w falach, zupełnie nie zwracając uwagi na zimno. - Mogę sobie tylko wyobrazić, że znaczy coś równie nieprzyjemnego.

- Tyfon był ojcem wszystkich potworów - wyjaśnił John. Dał sobie już spokój z próbami powstrzymywania uśmiechu. - Najbardziej śmiertcioną istotą w całej greckiej mitologii.

- Słodko - prychnęłam drwiąco. - No więc, ja wolę nadawać swoim zwierzacom imiona, które przypominają mi o...

- Nadziei? - Uśmiech się poszerzył.

- Bardzo zabawne. - Owszem, przyznałam mu się, że jestem bardzo niedoświadczona. Ale nie musiałam mu tego udowadniać, zachowując się jak dwunastolatka. - Ale ty też musisz wierzyć, że jest nadzieja, bo inaczej nie zabierałbyś mnie na Isla Huesos, żeby pomóc Alexowi.

Uśmiech zniknął.

- Nie powiedziałem, że zabiorę cię na Isla Huesos, żeby pomóc twojemu kuzynowi. Powiedziałem, że sam tam pójde, i tylko pod jednym warunkiem: że ty zostaniesz tutaj, w bezpiecznym miejscu.

Załamałam się. Nie potrafiłam ukryć rozczarowania, więc nawet nie próbowałam.

- John, jak chcesz pomóc Alexowi, jeśli z tobą nie pójde? - spytałam. - Nawet nie wiesz, gdzie jest ukryta trumna. Ja wiem. A powiedzmy, że Alex jeszcze w niej nie leży... jak wybijesz mu z głowy tę głupotę, którą zamierza zrobić, i przez którą da się w niej zamknąć? Nie dasz

rady. Nigdy cię nie posłucha, bo nawet nie wie, kim jesteś. I dlatego ja muszę iść z tobą.

- Czy ty nie słyszałaś ani słowa z tego, co do ciebie mówiłem? - John patrzył na mnie, jakbym właśnie wygrała nagrodę w konkursie na najbardziej naiwną dziewczynę świata. - To wszystko może być pułapką zastawioną przez Furie... a pamiętaj, że twój kuzyn mieszka z jedną z nich.

- Tym bardziej powinnam iść z tobą - upierałam się. - Jeśli w okolicy rzeczywiście będą Furie, ostrzeżę cię. - Wyciągnęłam diament. Znów był srebrnoszary. - Właśnie dlatego cię szukałam...

Zmarszczył brwi.

- O czym ty mówisz?

- Mój diament zrobił się czarny, kiedy zobaczyłam ten filmik z Alexem...

- To niemożliwe - stwierdził głucho. Zaczynałam być trochę zmęczona słuchaniem w kółko od wszystkich, że to, co robię i widzę, jest niemożliwe.

- Nie - odparłam. - Zrobił się czarny. Robi się czarny za każdym razem, kiedy filmik się odtwarza...

- Powinien zmieniać kolor tylko w obecności Furii.

- A ty powinieneś być widoczny na nagraniach wideo - przypomniałam mu. - Ale cię nie widać i dlatego w zeszłym roku zostałam oskarżona o pobicie nauczyciela, chociaż tak naprawdę ty go pobiłeś i wszystko się nagrało. Z wyjątkiem ciebie.

Zrobił chmurną minę, jak zawsze, kiedy wypływał temat pana Muellera.

- Ten człowiek był zły. Nie powinnaś była...

- ...wpakować się w tę sytuację. Wiem. Ale wróćmy do tematu. To wtedy zobaczyłam Henry'ego, poszłam za nim do kuchni i poznałam wszystkich, i zaczęliśmy rozmawiać...

- Zastanawiałem się, gdzie oni wszyscy zniknęli -mruknął John. - Powinienem być się domyślić, że to ty okazałaś się taką atrakcją. To nie ma nic wspólnego z tobą - dodał pospiesznie, widząc, że uniosłam brwi na słowo „atrakcja”. - To dobrzy ludzie; wytrwali przy mnie, kiedy... - Urwał nagle i po chwili dokończył: - Cóż, wiele ze mną przeszli. Ale jak pewnie już się zorientowałaś, rzadko miewamy tu towarzystwo. A przynajmniej żywe. Przykro mi, jeśli byli dla ciebie uciążliwi...

- Wcale nie byli uciążliwi - odparłam, zastanawiając się, co takiego przeszła załoga „Liberty” i sam John. -I naprawdę cię uwielbiają. Ale czegoś tu nie rozumiem... czy ty nie jesteś za młody na kapitana? Oczywiście jestem pewna, że wspaniale się spisujesz - dodałam szybko - ale Frank jest mniej więcej w twoim wieku, a pan Graves i pan Liu są od ciebie starsi. Jak do tego doszło?

Zamknął się w sobie. Zupełnie jakby ktoś zaciągnął kotarę. Było absolutnie jasne, że nie chce o tym rozmawiać.

- To honorowy tytuł - odparł, nie patrząc mi w oczy. -Nie mogę im tego wybić z głowy, chociaż prosiłem, żeby mnie tak nie nazywali. Byłem najwyższym stopniem oficerem, który przeżył... wypadek.

Wypadek? Pewnie to kolejna z tych spraw, o których nie chciał mi mówić, bo się bał, że go znienawidzę.

Stwierdziłam, że odpuszczenie sobie tego tematu, przynajmniej na razie, będzie najlepszym wyjściem. Wróciłam do poprzedniego.

- John, mogę cię ostrzec przed Furiami. I dokładnie wiem, gdzie jest trumna. Wystarczy, żebyś mnie zabrał na Isla Huesos, ten jeden raz, żeby pomóc Alexowi, i już nigdy nawet nie wspomnę o powrocie. A nawet - powiedziałam,

wyciągając rękę, by poprawić mu odwinięty kołnierz kurtki - wybaczę ci te gofry...

John chwycił mnie za oba ramiona i przyciągnął do siebie tak gwałtownie, że Hope, zaniepokojona, zatrzepotała skrzydłami.

- Pierce. Mówisz poważnie?

Kiedy odgarnęłam włosy, które opadły mi na twarz, i uniosłam swoje czarne oczy, by spojrzeć w jego szare, zobaczyłam, że wpatruje się we mnie z takim żarem, że niemal przepalał mnie na wylot.

- Nigdy więcej nie wspomnisz o powrocie na Isla Huesos, jeśli zabiorę cię tam teraz, ten jeden raz, żebyś porozmawiała z Alexem? - spytał z przejęciem. - I dasz jeszcze jedną szansę naszej... kohabitacji?

Jego nagła żarliwość była trochę niepokojąca.

- Jasne, John - zapewniłam. - Przecież nie mam wyboru.

- A gdybyś miała? - spytał, ściskając moje ramiona jeszcze mocniej.

Zamrugałam.

- Ale nie mam. Powiedziałeś... Potrząsnął mną lekko.

- Nieważne, co powiedziałem. A gdybym się mylił? Położyłam mu dłoń na policzku. Trochę drapał, bo

John się nie ogolił. Ale nie przeszkadzał mi jego zarost. Obchodziło mnie tylko to desperackie pragnienie, które widziałam w jego oczach. Pragnienie mnie.

- Wróciłabym - odparłam z prostotą - żeby z tobą zostać.

Sekundę później jezioro - i wszystko wokół niego - zniknęło.

*„A ja tak dbałem o twój dobro radzę,  
Żeć przewodnikiem będę; skroś tej góry  
Przez wiekiście miejsca przeprowadzę”.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń I

Kiedy John przeniósł nas z powrotem na ziemię, nie znaleźliśmy się w łączniku prowadzącym do stołówki w Liceum Isla Huesos, czyli tam, gdzie byłam, zanim znalazłam się w krainie zmarłych i gdzie spodziewałam się znaleźć z powrotem wśród żywych.

Zaskoczyło mnie, że wylądowałam w małym ciemnym pomieszczeniu, mocno pachnącym ziemią, po kostki w suchych liściach... i krwistoczerwonych kwiatach, które wyglądały dziwnie znajomo.

- Gdzie my jesteśmy? - spytałam, schylając głowę. Sklepiony sufit, podpierany przez grubo ciosane drewniane belki, które wyglądały na stuletnie, był tak niski, że nie mogłam się wyprostować.

- Ciii - powiedział John. On sam musiał uklęknąć; teraz wyglądał przez zardzewiałą żelazną kratę, służącą za drzwi. - Tam są ludzie. Nie chcę, żeby nas usłyszeli.

Rozejrzałam się po pustym pokoiku bez okien, jeśli nie liczyć kilku małych wywietrzników w kształcie krzyża w grubych ceglanych ścianach. Widziałam, że kratę zamykał

nowiutki błyszczący łańcuch, który kilka razy okręcono wokół sztachet i spięto kłódką; ktoś bardzo się postarał, by nikt nie mógł tu wejść - ani stąd wyjść.

Powoli zaczęło mi świtać. Żelazna krata spięta łańcuchem? Mroczne, ciasne pomieszczenie? Suche liście? Czerwone kwiaty?

- Czy my jesteśmy w twojej krypcie? - syknęłam. Natychmiast skoczyłam do Johna. Liście i kwiaty zachrzęściły mi pod stopami.

Nie przylgnęłam do niego ze strachu przed duchami. Właśnie wyszłam ze świata pełnego duchów. Sama wcześniej przeżyłam śmierć kliniczną. Wiedziałam, jak to jest być martwą.

Tylko po prostu nigdy nie byłam w grobie.

- Tak - szepnął John. Wciąż wyglądał przez drzwi. - To jest krypta, którą mi przydzielono.

Nie krypta, w której pochowano jego ciało. Natychmiast pochwyciłam jego dobór słów.

Kiedy się rozejrzałam, stwierdziłam, że ma rację. Krypta Johna stała pusta - byliśmy tu tylko my dwoje i mnóstwo suchych liści. Nie było tu trumny.

Ale czy nie dlatego Liceum Isla Huesos co roku urządzało Noc Trumien, chociaż administracja szkoły tego nie pochwałała? Najstarsza klasa budowała trumnę dla Johna -choć robiono to od tak dawna, że nikt nie pamiętał, dla kogo jest ta trumna i dlaczego się ją buduje - i ukrywała ją.

Ukrywanie jest symboliczne, powiedział mi pan Smith, wyjaśniając znaczenie tego rytuału. Ukrywanie reprezentuje pochówek.

A wszystko po to, żeby John przestał nawiedzać wyspę. Bo w jakikolwiek sposób zginął przed laty - jeśli w ogóle zginął - jego ciała nigdy nie odnaleziono. I uważano, że

to z tego powodu jego gniew sprowadził huragan w 1846 roku, który zabił wielu ludzi, zalał stary cmentarz na Isla Huesos i wydobył pochowane na nim trumny.

Dlatego nowy cmentarz Isla Huesos - ten, na którym teraz byliśmy - stał się taką atrakcją turystyczną przez swoje niezwykle krypty. Wszystkie zbudowano nad ziemią, nad poziomem morza, by nie zostały zmyte do wody (albo do ogródków mieszkańców), jak to się stało podczas katastrofalnego huraganu w październiku 1846 roku.

Zadrżałam i uklęknęłam koło Johna na liściach i kwiatach, zaścielających dno jego grobu.

- Dlaczego wróciliśmy tędy, zamiast pojawić się w jakimś... mniej ciasnym miejscu? - spytałam, podstawiając słowo „ciasne” zamiast „upiorne”. Starłam się nie czuć dziwnie tylko dlatego, że siedzę w krypcie mojego własnego chłopaka. W sumie był to tylko budynek.

Bardzo nieprzyjemny.

- To jest portal - stwierdził John, jakby to wszystko tłumaczyło.

- Co?

- Portal - odszepnął John. - Bezpośrednie przejście między tym i tamtym światem. Dlatego tym razem nie kręci ci się w głowie.

Nawet tego nie zauważyłam, ale miał rację. Ten jeden raz mnie nie zemdliło, choć dopiero co przeskoczyliśmy między wymiarami.

- To są drzwi, przez które dusze przechodzą po śmierci do świata zmarłych - wyjaśnił cicho. - I zamykają się za zmarłym, kiedy już przejdzie. Zmarły nie może wrócić...

- Chyba że ucieknie - przerwałam mu. Bo właśnie coś takiego spotkało mnie.

Spojrzał na mnie z drwiącym uśmiechem.

- Chyba że ja pozwolę mu uciec - powiedział - bo tak strasznie chce do mamy.

- To było dwa lata temu - przypomniałam mu. Nie powinnam była dziś rano wspominać, że jestem taka niedoświadczona w damsko-męskich sprawach, nawet jeśli była to prawda. John nigdy nie pozwoli sobie pomóc, jeśli będzie uważał mnie za kogoś, kogo musi chronić. - I czy mam ci przypomnieć, że wcale nie pozwoliłeś mi uciec, tylko...

- Ciii. - Uniósł rękę. - Ktoś tu idzie.

Spojrzałam przez jego ramię na rodzinę, idącą alejką z panem Smithem i jakimiś innymi ludźmi, ubranymi w biznesowe garnitury, z podkładkami do pisania w rękach. Trudno było dosłyszeć, co mówią, ale nietrudno domyślić się, o czym rozmawiają. O krypcie. Ci w formalnych garniturach byli prawdopodobnie pracownikami domu pogrzebowego.

Członkowie rodziny mieli ponure, nieszczęśliwe miny ludzi, którym właśnie umarł ktoś bliski.

Nieco z tyłu za tą grupką szedł mężczyzna w roboczym kombinezonie - najpewniej pracownik dbający o porządek na cmentarzu. Pchał taczkę, do których zbierał palmowe liście zaśmiecające alejkę. Silny wiatr zbliżającego się sztormu widocznie poobrywał je z drzew rosnących na cmentarzu i wokół niego.

Przypomniałam sobie o huraganie, przez który poprzedniego dnia zostaliśmy wcześniej zwolnieni ze szkoły. Czy ciągle zagrażał wyspie? Nie mogłam tego stwierdzić. Z krypty Johna nie widziałam nieba, choć powietrze było duszne i gorące jak przed deszczem.

Spróbowałam się uspokoić i siedzieć cicho, tak jak prosił mnie John.

Ale nie było to łatwe, gdyż wciąż przypominał mi się ostatni raz, gdy stałam wśród kwiatów poincjany, ogniście czerwonych pod stopami. W tamten wieczór wpadłam na Johna przed tą samą kryptą i byłam przekonana, że mnie pocałuje... ale tego nie zrobił. Myślałam, że mnie



nienawidzi, dopóki następnego dnia nie dowiedziałam się od Alexa, że cały chodnik przed domem mamy był zasypyany kwiatami poincjany.

Tylko jedna osoba mogła je tam przynieść.

I kto by się spodziewał, że niecały tydzień później ja będę w tej krypcie, z tą osobą, i że będę szukać Alexa. Nie do wiary, jak bardzo wszystko się zmieniło. Co powie mama, kiedy mnie zobaczy? Czy John pozwoli się przedstawić? Co naopowiadała wszystkim babcia na temat wydarzeń w szkole? Znając ją, z pewnością nic dobrego.

- A co z Furiami? - szepnęłam wystraszona. - Czy one też używają tego portalu? - Spojrzałam w dół, na naszyjnik (jasny) i dopiero teraz zauważyłam, że nie mam na sobie sukni i pantofelków Królowy Śnieżki. Jakimś cudem znów byłam w ubraniu, które miałam na sobie wczoraj: czarnej sukience z suwakiem z przodu i srebrnych baletkach.

I bardzo dobrze, bo bieganie po Isla Huesos w długiej białej sukni nie tylko ściągałoby na mnie niepotrzebną uwagę, ale też byłoby uciążliwe, szczególnie przy tej temperaturze. Nawet w krypcie powietrze było gęste i ciepłe jak zupa. Mogłam sobie tylko wyobrażać, jak jest na zewnątrz.

- Furie uciekają ze Świata Podziemi, znajdując sobie ludzi o słabej woli, takich jak twoja babcia, których mogą opętać - odszepnął John. - Tylko niedawno zmarli mogą korzystać z portalu. Albo ja. Dlatego pan Smith zaczął zamykać kratę. Zbyt wiele osób widziało, jak wchodzę i wychodzę, i ludzie zrobili się ciekawscy.

Rozejrzałam się po małym ciemnym domku - ściany były tak stare i źle utrzymane, że korzenie ogromnego drzewa poincjany, rosnącego niedaleko, zaczęły się przebijać na wylot - i spróbowałam sobie wyobrazić ciekawską (albo głupią) osobę, która weszłaby tu za Johnem.

- A pan Graves i reszta mogą go używać? - spytałam, przypominając sobie, jak Henry mówił, że nigdy nie był na Isla Huesos.

John pokręcił przecząco głową.

Więc to kolejna z tych rzeczy, które mogą robić tylko bóstwa, jak przywracanie ptaków do życia i wywoływanie piorunów.

To było nie fair.

- A zabierasz ich czasem ze sobą? - spytałam. - Tak jak mnie?

- Powinienem był ich zabrać tym razem, zamiast ciebie - odparł. - W odróżnieniu do ciebie oni rozumieją słowo „cicho”.

Spojrzałam na niego, mrużąc oczy.

- Widziałaś ich przecież - ciągnął John, szczerząc się w uśmiechu. - Jeśli ja zwracam na siebie uwagę, wychodząc z krypty, to jak sądzisz, co ludzie powiedzieliby na widok Henry'ego, pana Liu czy Franka? I słyszałaś pana Gravesa. On nawet nie chce myśleć, że któryś z nich mógłby się tu wybrać. - Zaczął całkiem udatnie naśladować ślepego staruszka. Bez złośliwości, ale trafnie. - Isla Huesos to wyspa grzechu. Jeśli nikt nie posortuje zmarłych, na ziemi rozpleni się trupia zaraza.

Zrozumiałam, co miał na myśli, Mimo to nie czułam się uspokojona.

- Ale czy oni nie chcieliby mieć czasem wychodnego? - spytałam. - Może nie pan Graves, ale reszta? Moglibyśmy

coś zrobić z ich ubraniami, tak jak ty ze swoim. - Wskazałam jego czarne dżinsy, koszulkę i glany, których z pewnością nie nabył w miejscowym sklepie z konfekcją męską używając karty kredytowej. - Tyłu ludzi uczy teraz dzieci w domu, że nie byłoby trudno wyjaśnić, dlaczego Henry nie jest w szkole. A pan Liu i Frank raczej nie wzbudziliby wielkiej sensacji. Isla Huesos jest bardzo popularna wśród członków klubów motocyklowych, a ci dwaj spokojnie mogliby udawać...

Urwałam, bo zorientowałam się, że John przygląda mi się z uniesioną brwią.

- Co? - spytałam.

- Nic - odparł, a na jego usta znów wypłynął krzywy uśmiech. - Nigdy nie skończą ci się te twoje pomysły racjonalizatorskie, co?

- No cóż - odparłam, czerwieniąc się. - Ja tylko chcę pomóc. Czy nie od tego jest wybranka...?

Uniósł rękę, prosząc o ciszę, i przez chwilę nasłuchiwał.

- Zdaje się, że poszli - powiedział, wskazując ruchem głowy kratę.

- Ale jak my się stąd wydostaniemy? - spytałam. - Jesteśmy zamknięci. Mam zadzwonić do pana Smitha? - Wyjęłam komórkę, którą, jak stwierdziłam z ulgą, miałam w szkolnej torbie przewieszanej przez ramię. - Na pewno ma klucz...

John odwrócił głowę i posłał mi drwiące spojrzenie. Po czym wyciągnął ręce i chwycił łańcuch w obie dłonie.

- John - krzyknęłam. - Co ty...?

Nagle przypomniałam sobie, jak stałam przed tą samą kryptą i patrzyłam na leżące przed nią pozostałości podobnego łańcucha. Ogniwa nie były przecięte strażackimi nożycami, ale dosłownie rozciągnięte, tak jak to robił

teraz. Ponieważ jego skórzana kurtka zniknęła tak samo jak moja suknia, miał teraz na sobie tylko dżinsy i czarną koszulkę, którą włożył rano.

Więc widziałam na własne oczy i z bliska, jak rozrywa łańcuch. Mięśnie jego ramion naprężyły się, urosły do rozmiaru grejpfrutów, materiał koszulki napiął się na nich do granic wytrzymałości...

Aż nagle metal puścił z dźwięcznym odgłosem. Łańcuch zsunął się z kraty, grzechocząc hałaśliwie, i padł na ziemię.

- Ależ proszę - powiedział John, z zadowoleniem otrzepując rękę. - Zadzwońmy po pana Smitha.

Schyliłam głowę, by ukryć rumieńce na policzkach, i udałam, że jestem bardzo zajęta chowaniem komórki do torby. Zachęcanie go do takich niecywilizowanych zachowań, jakie czasem mu się zdarzały, nie było chyba dobrym pomysłem, więc nie dałam po sobie poznać, jak strasznie kręcące było to, co przed chwilą zrobił.

- Wiesz co - stwierdziłam chłodno - ja już jestem twoją dziewczyną. Nie musisz się przede mną popisywać tą swoją nadludzką siłą.

John miał taką minę, jakby ani przez moment nie wierzył w mój brak zainteresowania. Z dżentelmeńskim ukłonem otworzył przede mną kratę.

- Chodźmy poszukać twojego kuzyna - powiedział. - Chciałbym wrócić do domu na kolację. Gdzie ta trumna?

- W domu mojej mamy - odparłam.

- Co? - Jego samozadowolenie sflaczało jak przekłuty balon. Stał jak wryty pod drzwiami swojej krypty, z nazwiskiem HAYDEN wyrzeźbionym grubymi kapitalikami nad głową. - A co ona tam robi?

- Seth Rector i jego dziewczyna, i ich koledzy, spytali mnie, czy mogą ją zbudować w garażu mamy - wyjaśni-

łam. - Uznali, że to ostatnie miejsce, w którym ktokolwiek będzie szukał.

John powoli pokręcił głową.

- Rector - wycodził przez zęby. - Powinienem być się domyślić.

Spojrzałam na niego szeroko otwartymi oczami.

- Znasz Setha Rectora?

- Nie Setha - odparł ponuro.

- Czekaj. Znasz jego ojca? - Rectorowie byli bardzo wpływową rodziną na Isla Huesos. Oprócz tego że mieli największe i najbardziej ozdobne mauzoleum na cmentarzu (przy którym krypta Johna, też całkiem spora, wyglądała jak domek dla lalek) ojciec Setha był agentem handlu nieruchomościami i deweloperem, którego szyldy „Biuro Nieruchomości Rectora”, wisiały w każdej pustej sklepowej witrynie w centrum. - Co masz wspólnego z Rectorami?

- Długa historia - odparł John. Kąciki jego ust były wygięte w dół, jakby zjadł coś wyjątkowo niesmacznego. Odwrócił się i ruszył w stronę cmentarnej bramy. - Dom twojej mamy jest parę ulic stąd. Jeśli będziemy się trzymać bocznych uliczek, nikt nas nie zauważy.

- Mówisz tak o wszystkim - rzuciłam marudnym głosem, ruszając za nim. - Wszystko to jest długa historia, za długa, żeby mi opowiadać. Rozumiem, że po dwustu czy iluś tam latach wszystko robi się dość zawiłe, ale nie mógłbyś mi tego jakoś streścić? Skąd znasz Rectorów?

Kiedy skęciliśmy za róg, stało się jasne, że nie będzie czasu na żadne opowieści, streszczone czy nie. Nie dlatego, że z szarych chmur wiszących groźnie nad naszymi głowami nagle lunął deszcz, jak się poniekąd spodziewałam, ale dlatego, że rodzina, którą widzieliśmy wcześniej, w towarzystwie pana Smitha i ludzi z notatnikami,

wsiadała właśnie do samochodów na parkingu wprost przed nami.

Nasz widok nie powinien nikogo zdziwić. Byliśmy tylko zwykłą młodą parką, która wybrała się na popołudniowy spacer po cmentarzu.

Ale zapomniałam, że z powodu „aktów wandalizmu”, które zdarzały się tu w tym tygodniu, brama cmentarza (którą John otworzył kopniakiem w przyływie złości) była zamknięta przez całą dobę na polecenie komendanta policji.

Więc nasz widok mógł jednak kogoś zdziwić.

Co mimo wszystko nie wyjaśniało, dlaczego jedna z kobiet - babcia, sądząc po siwych włosach - spojrzała na mnie, przeżegnała się, krzyknęła: *Dios mío!* i zemdląła.

*Każń ludu, co te zamieszkiwa kraje  
-Rzeki - twarz mi czyni równą białej chuście  
Z barw litowania, co-ć się lękiem zdaje.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń IV

Nie żyję? - powtórzyłam jak echo. - Ona zemdląła, bo myśli, że nie żyję?

- Została pani porwana - poprawił mnie pan Smith. Klapnął na skrzypiące krzesło za swoim wielkim biurkiem i zaczął grzebać w papierach leżących na blacie. -1 być może zamordowana. Pani Ortega zemdląła, bo wzięła panią za ducha.

John, który stał oparty o jedną z licznych szafek na dokumenty w biurze zarządcy cementarza, słysząc to, wyprostował się i najeżył.

- Dlaczego uważają, że Pierce nie żyje?

- No cóż, w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin jedna młoda kobieta została już brutalnie zamordowana na tym cementarzu - wyjaśnił pan Smith, podsuwając na nosie okulary w złotych oprawkach. - Młoda kobieta, która, tak się składa, była szkolną terapeutką Pierce. Jade Ortega. Teraz zniknęła kolejna młoda kobieta. To mała społeczność, niby co ludzie mają myśleć?

Siedziałam na wprost biurka pana Smitha. Podczas zamieszania, jakie wynikło z omdlenia babci Jade, zarządca

Smith przemycił mnie i Johna tylnymi drzwiami do małego domku, który służył za biuro administracyjne cmentarza.

Trudno mi było przełknąć fakt, że zaskoczyliśmy na cmentarzu akurat rodzinę mojej terapeutki ze szkoły. Urządzali dla niej miejsce w krypcie Ortegów.

Z drugiej strony, pan Smith miał rację - Isla Huesos to mała społeczność, a Jade zginęła bardzo niedawno, więc dlaczego mielibyśmy nie wpaść na cmentarzu na jej rodzinę?

Chociaż zupełnie nie rozumiałam, dlaczego ktoś chciałby chować córkę na tym samym cmentarzu, na którym została zamordowana.

Pan Smith wyjaśnił nam, że kiedy tylko ciało Jade zostało wydane przez koronera, rodzina chciała je pochować niedaleko miejsca zamieszkania, żeby móc „często ją odwiedzać”. Jade wychowała się na Isla Huesos, wyjechała tylko na studia, a potem wróciła, by pracować w Liceum Isla Huesos i „odpłacić się społeczności”.

- Odpłaciła się społeczności, jeszcze jak - mruknęłam. - Własnym życiem.

- Domyślam się, że nie powie mi pani, gdzie była. - Pan Smith opuścił okulary, by spojrzeć na mnie znad oprawek. - Choć jeśli to któryś z tych okropnych tanich moteli na Florida Keys, to chyba nie chcę wiedzieć. To by zdruzgotało moje romantyczne iluzje.

Tym razem to ja się najeżyłam.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknęłam, czując, że policzki mi czerwienieją. - John zabrał mnie do Świata Podziemi, żeby chronić mnie przed Furiami.

Skóra pana Smitha przybrała zupełnie inny odcień niż moja - nie zrobiła się czerwona, ale biała jak kreda. Znieruchomiał za biurkiem.



- Do Świata Podziemi - powtórzył. - Żeby chronić panią przed Furiami. Boże drogi.

- A co pan myślał? - Johnowi też nie spodobała się uwaga o motelu, ale on się nie zaczerwienił. On się wściekł. Zmarszczył brwi, zacisnął usta. Zauważyłam, że mięsień na jego żuchwie zaczyna niebezpiecznie pulsować. Na dworze zahuczał grzmot... ale przecież mógł pochodzić z chmur pędzonych przed huraganem, który, sądząc po ciemniejącym niebie, wciąż się zbliżał. - Widział pan na własne oczy, co spotkało Jade. Pańskim zdaniem miałem stać z boku i czekać, aż Pierce spotka to samo albo coś gorszego?

Pan Smith miał lekki problem z wyartykułowaniem następnego zdania.

- Nie, oczywiście że nie. Ale miałem nadzieję... oczywiście rozumiem, dlaczego po tym, co spotkało Jade, i po aresztowaniu wujka panny Ohviery, oboje byliście wzburzeni... ale ty, John... sądziłem, że jesteś dość dorosły, by nie robić takich głupstw.

John spojrzał na mnie. Ja spojrzałam na niego, zatroskana. Widziałam, że ma ogromną ochotę wypaść ze złością z biura zarządcy, ale nie sądziłam, żeby to był najlepszy pomysł. Odnosiłam wrażenie, choć nie byłam pewna, że pan Smith jest bliski wylewu. Miał wszelkie objawy: nieskładna mowa, ciężki oddech, nagła błądność twarzy.

- Panie Smith - powiedziałam niespokojnie. - Może podać panu szklankę wody?

- Chodzi o to - wypalił zarządca - że to nie jest starożytna Grecja, John. Nie można tak po prostu porwać sobie dziewczyny do Świata Podziemi. Trzeba się liczyć z konsekwencjami.

Mięsień na żuchwie Johna zadrgał jeszcze mocniej. Dziwnie było usłyszeć słowo „konsekwencje” z ust kogoś innego niż sam John. On używał go bardzo często, szczególnie w odniesieniu do mojego zachowania.

- Zdaję sobie z tego sprawę, panie Smith - zapewnił.

- Chyba raczej nie - odparł karcąco pan Smith. - Bo gdyby tak było, i rzeczywiście musiałbyś to zrobić, jak twierdzisz, w co zresztą nie wierzę i absolutnie nie pochwalam twojego zachowania, postarałbyś się o większą dyskrecję i efekt nie byłby taki.

Pan Smith wreszcie znalazł to, czego szukał na biurku i uniósł najnowsze wydanie gazety. Prawie cała pierwsza strona poświęcona była huraganowi, który bez wątpienia nadciągał nad wyspę.

„Obowiązkowa ewakuacja turystów - krzyczał nagłówek. - Pozamykane szkoły. Odwołany mecz”.

Poniżej znajdował się zestaw zdjęć przedstawiających przedsiębiorców z centrum, zabezpieczających sklejką witryny swoich restauracji i sklepów.

Nie rozumiałam, co to wszystko ma wspólnego z nami. Może pan Smith naprawdę miał zawał.

- Widzicie to? - spytał gniewnie, pukając palcem w gazetę.

Niżej widniał niemal równie duży nagłówek dotyczący morderstwa Jade. Nie było zdjęcia wujka Chrisa, ale wiedziałam, że to on był „mieszkańcem”, którego zabrano na przesłuchanie po anonimowym donosie. I że ów anonimowy informator twierdził, że widział wujka w okolicy cmentarza mniej więcej w czasie, kiedy zginęła Jade, choć tak naprawdę spał we własnym domu. Wujka Chrisa wypuszczono, ale wciąż uważano za podejrzanego, choć nie

było absolutnie żadnych dowodów, które łączyłyby go ze zbrodnią czy z ofiarą. Też mi informator.

- Przykro mi, ale nie. Naprawdę nie widzę, co to wszystko ma... - zaczęłam mówić.

Zarządca komentarza jeszcze raz niecierpliwie postukał w gazetę.

- Tutaj - powiedział. Spojrzałam we wskazane miejsce.

„Zaginęła miejscowa nastolatka. Czy jeszcze żyje?” Pod nagłówkiem było moje zdjęcie - najnowsza szkolna fotka.

- O nie. - Ogarnięta zgrozą wyjęłam gazetę z dłoni pana Smitha. - Nie mogli znaleźć lepszego zdjęcia?

Pan Smith spojrzał na mnie ostro.

- Panno Oliviera - powiedział, marszcząc brwi. - Zdaję sobie sprawę, że wśród młodych bardzo modne jest teraz rzucanie dowcipnych odzywek w dowolnej sytuacji, bo każdemu marzy się własny telewizyjny show. Ale szczerze wątpię, by MTV zawitało na Isla Huesos, by sfilmować panią w Świecie Podziemi. Niemożliwe, by to było wszystko, co ma pani na ten temat do powiedzenia.

Oczywiście miał rację. Choć nie mogłam powiedzieć tego, co naprawdę myślałam, bo w biurze był John, a nie chciałam, żeby przez to wszystko poczuł się jeszcze gorzej.

Bo tak naprawdę miałam ochotę wybuchnąć płaczem.

- To jest o Pierce? - John miał dziwnie niepewną minę. Na dworze znów rozległ się grzmot. Jeszcze bliżej niż przedtem.

- Oczywiście, John - odparł pan Smith. W jego tonie było coś dziwnego. Niemal jakby był wściekły na Johna. Ale dlaczego? John nie zrobił niczego złego. I wyjaśnił, że chodziło o Furie. - A czego się spodziewałeś? Panno Oliviera,

doczytała już pani do fragmentu o nagrodzie ufundowanej przez pani ojca za wszelkie informacje, które doprowadzą do pani bezpiecznego powrotu do domu?

Przebiegłam wzrokiem tekst. Zemdliło mnie.

- Milion dolarów? - Firma ojca, jeden z największych światowych dostawców produktów i usług dla przemysłu naftowego, gazowego i zbrojeniowego, była warta kilkaset milionów. - Co za sknera.

Było bardzo, bardzo źle.

- Milion dolarów to bardzo dużo pieniędzy dla większości ludzi - powiedział pan Smith, z naciskiem na słowa „większość ludzi”. W jego głosie wciąż brzmiała ta dziwna nuta. - Choć rozumiem, że pieniądze mogą nic nie znaczyć dla mieszkańców Świata Podziemi. Więc doradzałbym rozagę, dokądkolwiek się wybieracie, bo wiele osób na tej wyspie aż nazbyt chętnie doniesie na was nawet za niewielką część tych pieniędzy. Domyślam się, że nie mogę spytać, dokąd idziecie? Czy też zasugerować, żeby pani odwiedziła matkę, która wychodzi z siebie ze zmartwienia?

- To jest dobry pomysł. - Dlaczego na to nie wpadłam? Od razu poczułam się lepiej. Jedna rozmowa z mamą mogła to wszystko wyprostować. - Powinnam zadzwonić do mamy...

Niespokojny krzyk pana Smitha i John, który chwycił mnie za nadgarstek, kiedy sięgałam do torby po komórkę, powstrzymały mnie przed dzwonieniem dokądkolwiek.

- Nie może pani używać telefonu - orzekł pan Smith. -I policja, i pani ojciec, z pewnością tylko na to czekają. Namierzą sygnał z najbliższego przekaźnika i znajdą panią. -Kiedy zagapiłam się na niego, zdumiona jego wiedzą na temat technologii komórkowej, pan Smith pokręcił głową

i wyjaśnił: - Mój partner Patrick w kółko ogląda powtórki *Prawa i Porządku*.

Spojrzałam na Johna. Zerknął na swoje palce, wciąż ściskające mój nadgarstek, i rozluźnił je powoli.

- Przepraszam, Pierce. - Skrucha była i w jego tonie, i w oczach. - Ale pan Smith ma rację. W tej chwili absolutnie nie potrzeba nam, żeby więcej ludzi wiedziało o naszej obecności. Krótka wizyta. Tak się umówiliśmy. Jesteśmy tu tylko po to, żeby pomóc Alexowi. Pamiętasz?

- Oczywiście - mruknęłam, spuszczać wzrok, żeby nie zobaczył rozczarowania w moich oczach. Chyba do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo liczyłam na to, że zobaczę mamę, choćby tylko przelotnie.

- Chyba że pani chce, by ojciec panią znalazł. - Głos pana Smitha niczym ostrze noża przeciął napięcie wiszące w powietrzu. Zarządca złożył dłonie na ciemnozielonej podkładce do pisania... ale nie był tak spokojny, na jakiego starał się wyglądać. Zauważyłam, że palce mu drżą. - Czy w artykule napisano prawdę? Jest pani przetrzymywana wbrew własnej woli?

- Co? - Znów spojrzałam na gazetę i zauważyłam, że niżej, na samym dole strony, jest jeszcze jedno zdjęcie. Ziarnisty kadr nagrany przez kamerę.

Kamerę zamontowaną pod sufitem łącznika w Liceum Isla Huesos.

Naprawdę nie sądziłam, że sytuacja może być jeszcze gorsza.

Mylłam się.

- To ty - powiedziałam słabym głosem do Johna, wskazując roślą, niewyraźną postać, zajmującą poczesne miejsce na zdjęciu. - Jednak widać cię na filmie. Na szczęście nie twarz. Ale resztę, i owszem.

John spojrział na zdjęcie przez moje ramię.

- I ciebie - dodał zrezygnowanym głosem. - Jesteś nawet w tym samym ubraniu.

To była prawda. Na zdjęciu, choć postać Johna była zamazana, ja byłam wyraźnie widoczna. Co gorsza, wyglądało na to, że dzieje mi się krzywda. O wiele potężniejszy John niósł mnie na rękach. Nie potrzeba Bóg wie jakiej wyobraźni, by pomyśleć, że robi to wbrew mojej woli. Ręce miałam uniesione w powietrze i widać było, że krzyczę. Gdyby ktoś sam nie zrozumiał, co przedstawia zdjęcie, podpis określał Johna „domniemanym porywaczem”.

Ze zdjęcia wycięto za to osobę, z powodu której tak wrzeszczałam i wymachiwałam rękami, i przed którą ratował mnie John: moją babcię.

Poczułam zimny dreszcz. I nie miał nic wspólnego z tym, że klimatyzacja w biurze pana Smitha była ustawiona na tak niską temperaturę, że na szybach osiadała para.

- To zdjęcie zostało zmanipulowane - powiedziałam do pana Smitha, oburzona w imieniu Johna. - To wcale tak nie było.

- To nie ma znaczenia - rzekł pan Smith. - To zdjęcie pojawiło się już w większości całodobowych kanałów z wiadomościami i jest go pełno w Internecie. Pani Ortega, babcia Jade, była po prostu pierwszą osobą, która panią rozpoznała. Szczęśliwie udało mi się ją przekonać, że z kimś panią pomyliła, a reszta rodziny była tak przejęta jej samopoczuciem, że nawet pani nie zauważyli. Ale nie będę mógł tak zrobić za każdym razem. I nie jestem nawet przekonany, czy powinienem.

- Moja babcia stała tutaj - powiedziałam, pukając palcem w miejsce na zdjęciu, z którego ewidentnie usunięto jej postać. - Próbowwała mnie zabić. A ja próbowałam z nią

walczyć, tyle że John mi nie pozwolił, bo się bał, że ona zrobi mi krzywdę...

- Panno Oliviera - przerwał pan Smith wciąż tym samym ostrym tonem, którego używał, od kiedy weszliśmy do biura. - Proszę. Ja wiem, że John jest dla pani... kimś wyjątkowym. Ale jeśli mam pani pomóc, musi pani powiedzieć prawdę.

Nagle zrozumiałam, co słyszę w tonie pana Smitha. Dezaprobatę. Dezaprobatę, ale i strach. On się bał. I wcale nie o mnie.

Bał się Johna.

Zrobiło mi się jeszcze zimniej, i sama troszkę zaczęłam się bać.

- Ale ja mówię prawdę - powiedziałam. W tej samej chwili John włączył się do rozmowy.

- O czym pan mówi? Przecież pan widzi, że nie jest ranna...

- Ale ktoś inny jest ranny. Babcia Pierce twierdzi, że ma kilka poważnych ran na twarzy - odparł pan Smith. -I twierdzi, że to ty ją uderzyłeś, John, kiedy próbowała powstrzymać cię przed porwaniem jej pięknej, niewinnej, młodej wnuczki, którą prawdopodobnie zabiłeś, a przynajmniej...

- O mój Boże. - Gniew zastąpił strach. - Co za kłamczucha. To ja jej dałam pięścią w twarz, nie John, i zrobiłam to, bo się przyznała, że mnie zabiła.

Pan Smith uniósł brwi.

- Za pozwoleniem, panno Oliviera, ale wygląda mi pani na całkiem żywą.

- Za pierwszym razem, kiedy umarłam - wyjaśniłam. Sięgnęłam do torby po dżinsową kurtkę i włożyłam ją na siebie. Ale moje dreszcze nie miały nic wspólnego

z temperaturą w pokoju. - Kiedy miałam piętnaście lat, przysłała mi szalik, o który się potknęłam, kiedy próbowałam uratować ptaszka. Uderzyłam się w głowę i utonęłam. Brwi pana Smitha o mało nie uderzyły w sufit.

- Nasza policja raczej nie uwierzy, że właścicielka sklepu Manja Dzierganja jest morderczynią.

- Zrobiła to, bo jest Furia. - Głos drżał mi równie mocno jak kończyny. - Powiedziała, że chciała mojej śmierci, żebym była z Johnem już zawsze, bo wtedy ona i pozostałe Furie mogłyby go dręczyć w nieskończoność, dręcząc mnie.

- Co? - Pan Smith pokręcił głową. - Nie, przykro mi. To jest zbyt niedorzeczna historia, nawet jak na Isla Huesos.

- To jest prawda - upierałam się. - Jeśli pan mi nie uwierzy, to kto?

Dopiero w tej chwili pan Smith zrobił coś, co świadczyło, że jednak ma ludzkie uczucia. Uniósł okulary, żeby rozmasować nasadę nosa... i zauważyłam, że jego palce drżą jeszcze mocniej niż przed chwilą.

- Znam pani babcię od ponad dwudziestu lat i nigdy nie słyszałem, żeby wspominała o Furiach. Mam uwierzyć, że jest jedną z nich? Na litość boską, ta kobieta organizuje kościelne kiermasze wypieków.

- Ja wiem tylko tyle, że od kiedy John dał mi ten naszyjnik, diament robi się czarny za każdym razem, gdy ona jest w pobliżu - odparłam. Pan Smith wiedział wszystko o moim wisiorku. To on opowiedział mi jego krwawą historię. Przez ten kamień Maria Antonina straciła głowę. - Myślałam, że to moja wina... że to ze mną jest coś nie tak, bo zawsze czułam się przy babci taka nerwowa i skrepowana. Nigdy nie ukrywała, że nie jestem dla niej dość dobra, bo nie jestem taka bystra i ładna jak moja mama, i że muszę się o wiele bardziej starać, jeśli mam zająć w życiu



równie daleko. - Głos utknął mi w gardle. Po raz pierwszy powiedziałam o tym wszystkim głośno. I czułam się fatalnie, że mówię o tym przy Johnie. Nie chciałam, żeby to o mnie wiedział.

Ale moja babcia była Furia, powiedziałam sobie. Nawet nie wiedziała, co mówi. Była wcielonym złem. A przynajmniej była przez nie opętana.

- Teraz już znam prawdę - ciągnęłam pewniejszym głosem - i wiem, że to wcale nie chodziło o mnie, tylko o nią. W głębi duszy jest potworem, dosłownie, który od lat pragnie tylko krzywdzić Johna, a teraz i mnie.

- Pierce - powiedział cicho John, wyciągając rękę, by dotknąć mojego ramienia. Ciekawe, czy poczuł drżenie przez materiał kurtki. - Nie musisz mu mówić ani słowa więcej. Zresztą nie mamy na to czasu. Chodźmy...

- Nie - przerwał mu pan Smith zmęczonym tonem, opuszczając okulary na miejsce. - John, nie możesz pozwolić sobie na to, by nie wysłuchać, co mam do powiedzenia. Pierce... chętnie napiję się tej wody, którą mi pani proponowała. Albo niech to będzie herbata. Na zapleczu jest mała kuchnia, tam, na końcu tego korytarza. Znajdzie tam pani wszystko, co potrzebne. Zrobi to pani dla mnie, kochana?

Oślupiałam. Do tej pory tylko mama prosiła mnie o zaparzenie herbaty. I nikt nigdy nie mówił do mnie „kochana”. A poza tym byliśmy w połowie rozmowy o moich krewnych, którzy próbowali mnie zabić.

- Teraz? - spytałam.

- Tak - odparł pan Smith, odrobinę rozluźniając krawat. Był starszym panem, który dobierał ubrania bardzo starannie; dziś miał na sobie białe lniane spodnie, seledynową koszulę i różowy dziergany krawat. Musiałam jednak przyznać, że w tej chwili nie wyglądał najlepiej. - Mówiłem

pani już kiedyś, że i ja przeżyłem śmierć kliniczną... choć jak większość ludzi nie miałem tyle szczęścia, by zapamiętać wycieczkę do Świata Podziemi. Oczywiście to obudziło we mnie zainteresowanie wszystkim, co ma związek z życiem po życiu. Ale od tamtej pory moje serce nie jest już tak silne jak kiedyś. Sądzę, że filiżanka ziołowej herbaty byłaby akurat...

- Tak, oczywiście - odparłam i wstałam z krzesła, spoglądając w oczy Johnowi. Pokręcił gwałtownie głową. Nie chciał, żebym wychodziła. Chciał stąd iść.

Ale co miałam zrobić? Odmówić choremu, staremu człowiekowi filiżanki herbaty? Wzruszyłam bezradnie ramionami i potruchtałam korytarzem, który wskazał mi pan Smith.

- Ona nie jest dzieckiem - powiedział John tonem ostrym jak brzytwa, kiedy tylko wyszłam z biura. - Więc nie może jej pan tak po prostu odesłać do kuchni, bo ma pan do powiedzenia coś, czego według pana nie powinna usłyszeć. Cokolwiek chce mi pan powiedzieć, może pan mówić przy niej.

- O, nie sądę, byś chciał, żeby to usłyszała - wypalił pan Smith, na co oczywiście zatrzymałam się jak wryta, zanim dotarłam do kuchni, i przekradłam się z powrotem, trzymając się w cieniu pod ścianą, by nie zobaczyli, że podsłuchuję. Wiedziałam, że źle robię, ale dlaczego pan Smith był taki wściekły? Musiałam się dowiedzieć. - Znam cię od dawna, John, więc chciałbym myśleć, że nie uśmiercisz mnie za to, co powiem, bo jesteśmy przyjaciółmi, a przyjaciele powinni móc rozmawiać ze sobą szczerze. Na wszystko co święte, co ci strzeliło do głowy? To jest dwudziesty pierwszy wiek, i żyjemy w cywilizowanym kraju. W którym obowiązują prawa.

- Na całe szczęście - odparł John spokojnym głosem -nikt nie pyta pana o zdanie, bo to nie jest pańska sprawa.

- To nie jest moja sprawa? Ona ma siedemnaście lat, a ty...

- Dziewiętnaście - odparł głucho John.

- Sto osiemdziesiąt cztery. I porwałś ją... no, może nie poza granice stanu, ale do krainy zmarłych, co z pewnością jeszcze mniej spodobałoby się jej ojcu, gdyby o tym wiedział.

- Nawet gdyby wiedział, że zrobiłem to, by jej własna babka nie mogła jej zabić... po raz drugi?

- Ale dlaczego nie przyszedłeś z tym do mnie, John? -odparł pan Smith błagalnym tonem. - Może zdołałbym pomóc.

- Albo by pan zginął, tak jak Jade czy pan Cabrero, dziadek Pierce - odparł szorstko John. - Naprawdę nie wie pan, że odkrył prawdę o żonie i starał się ją powstrzymać?

- Co? - spytał zszokowany pan Smith. - Chcesz powiedzieć, że ta starsza pani zabiła również swojego męża? Zachowuj się jak dorosły, John. Carlos był moim przyjacielem, wiedziałbym...

- Doprawdy? - Ton Johna był uprzejmy, ale lodowaty. - Przed chwilą powiedział pan, że chodził z nią do kościoła, ale nie miał pojęcia, kim naprawdę była. Nie sądzi pan, że gdybym miał inne wyjście, to bym z niego skorzystał?

- Tak szczerze? Nie. Bo wiem, co czujesz do tej dziewczyny. Więc kiedy nadarzyła się okazja, skorzystałeś z niej aż nazbyt skwapliwie. A jej z pewnością nie było trudno się z tym pogodzić, skoro była już raz w twoim świecie. Ale to wszystko nie usprawiedliwia tego, co zrobiłeś, tak jak nic nie usprawiedliwia tego, co zrobiono tobie. Jestem

pewien, że musi być jakiś lepszy sposób. Rozumiem problem Furii. Bo rzeczywiście są problemem...

- Problemem? - John podniósł głos z niedowierzaniem.

- Pozwól, że dokładniej zbadam tę sprawę. Może coś przegapiłem, może jest jakiś sposób, żeby się ich pozbyć, na który nikt jeszcze nie wpadł. A tymczasem, jej ojciec jest bogaty, mógłby wystać ją wszędzie, byle dalej od babki...

Nagle zrozumiałam, dlaczego pan Smith odesłał mnie z biura. Nie chodziło tylko o to, że był zły na Johna, który porwał mnie do krainy zmarłych, jak Hades Persefonę. On próbował przekonać Johna, by mnie wypuścił.

- Powiedz mi, że postąpisz jak trzeba i oddasz ją matce - ciągnął pan Smith cichym, nagłym głosem. - To jedyny sposób. Jej rodzice odchodzą od zmysłów... tak jak z pewnością twoja matka, kiedy dowiedziała się o twoim zaginięciu, John. Zrobisz matce Pierce to samo, co zrobiono twojej? Nie wierzę w to.

A ja nie mogłam uwierzyć, że pan Smith mówi o mnie w taki sposób, jakbym była jakimś zabłąkanym kociątkiem i sama nie miała nic do powiedzenia na temat tego, co chcę robić i gdzie chcę żyć. Choć właściwie naprawdę nie miałam, jako że Mojry - i John - w zasadzie zdecydowali za mnie.

Ale prawda była taka, że moja babka i pozostałe Furie zdecydowały o tym jeszcze wcześniej.

Zamierzałam wpaść z powrotem do biura i powiedzieć o tym... ale wtedy oczywiście dowiedzieliby się, że podsłuchiwałam. A poza tym John powiedział to za mnie.

- Z tej pańskiej gazety wynika, że szkoda już się stała - stwierdził chłodno. - Więc nie wiem, co dobrego miałyby wynikać z jej powrotu teraz. A poza tym, na tej ziemi nie ma takiego miejsca, do którego mógłby ją wysłać

ojciec i gdzie nie znalazłyby jej Furie... i gdzie ja bym jej nie znalazł, dopóki będzie mnie chciała.

- Dopóki będzie cię chciała - powtórzył powoli pan Smith. - A jak sądzisz, długo będzie cię chciała? Czy ona w ogóle wie, jakim sposobem wylądowałaś na swoim stanowisku?

Choć wyęczałam słuch, by usłyszeć odpowiedź Johna, zapanowała głucha cisza. Aż nagle:

- Jak pani idzie z herbatą, panno Oliviera? - zawołał pan Smith.

Przestraszona popędziłam korytarzem tak cicho, jak się dało; na szczęście moje baletki były bezgłośne na biurowej wykładzinie.

- Dobrze - odkrzyknęłam, kiedy byłam już w kuchni. Tyle tylko, że wciąż się trzęsłam, i było mi jeszcze zimniej, mimo dżinsowej kurtki.

Oczywiście okłamałam pana Smitha. Nie szło mi dobrze. I nie wiedziałam, czy jeszcze kiedykolwiek będzie dobrze.

*„Tak racz nam wykryć, przez jakie przędzywa  
Duch wasz się wplata w te zakłete sęki  
I czyli kiedy więzy swe rozrywa?”*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń XIII

Kiedy grzałam dłonie nad czajnikiem, czekając, aż woda się zagotuje - bo gdzieżby pan Smith miał mikrofalówkę czy elektryczny czajnik, czy jakiegokolwiek inne nowoczesne sprzęty? - wyjrzałam przez okno i zobaczyłam ją.

Hope pojawiła się znikąd - po prostu sfrunęła z nieba - i wylądowała na małym podwórku za biurem zarządcy.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to nie może być ona.

Ale kiedy zobaczyłam, jak człapie po ziemi i podnosi suche liście w poszukiwaniu jedzenia, zrozumiałam, że to nie może być żaden inny ptak. Ile białych gołębi z czarnymi skrzydłami i wilczym apetytem mogło być na Isla Huesos? Szczególnie takich, które latają za mną?

Dlaczego opuściła Świat Podziemi? I w jaki sposób?

Rozejrzałam się po maleńkiej kuchni, która ewidentnie służyła wyłącznie do przygotowywania napojów zrozpaczonym krewnym zmarłych, i może jeszcze do składowania pułapek na mrówki, i osłupiałam na widok worka z ziarnem dla ptaków. Chociaż nie powinnam się dziwić. Cmentarz miał prawie osiem hektarów i zapewne był przystankiem

dla najróżniejszych ptaków migrujących co roku na południe. Założę się, że pan Smith mógłby urządzić sobie z mamą zawody w rozpoznawaniu gatunków.

Wzięłam ze sobą worek i otworzyłam przeszklone drzwi prowadzące na schodki na podwórko. Usiadłam na najwyższym, sięgnęłam do worka i rzuciłam kilka hojnych garści na schodek poniżej.

Hope mnie zauważyła, ale nie podeszła od razu. Najwyraźniej była obrażona, że ją zostawiłam, i strzeliła focha.

- No chodź - zachęciłam. - Przecież chcesz tego ziarna.

Podwórko było raczej ogrodzonym składzikiem różnych cmentarnych gratów - była tu szopa na narzędzia i całe sterty uszkodzonych nagrobków i rzeźb, w różnych stadiach naprawy.

Było już dość późno i wszystko dookoła zapowiadało huragan - od ciemnofioletowych chmur na niebie, po hiszpańskie limonki strącone przez wiatr z pobliskiego drzewa, które leżały teraz rozkwaszone po całym podwórku. Wilgoć w powietrzu zmusiła mnie do zdjęcia kurtki. Zawiązałam ją w pasie.

Więc w pobliżu nie było nikogo, kto słyszałby, że rozmawiam z ptakiem.

- Wyruszyliśmy w pośpiechu - zaczęłam się tłumaczyć przed Hope. - Poza tym tam jesteś bezpieczniejsza niż tu. Nie powinnaś być za nami lecieć.

Zagruchała bez przekonania i przyczłapała, by obejrzeć nasiona. Ale swoją chłodną postawą wyraźnie dała mi do zrozumienia, że chodzi jej o jedzenie, nie o mnie.

Sekundę później przeszklone drzwi otworzyły się i na schodku za mną pojawiła się stopa w czarnym mokasynie i białej nogawce. Mokasyn miał chwościki. Przez pana Muellera czułam awersję do męskiego obuwia z chwościkami.

Ale mokasyny pana Smitha, do których nosił różowe skarpetki, nie przeszkadzały mi... może dlatego, że nigdy nie miał romansu z moją przyjaciółką i nie doprowadził jej do samobójstwa.

- O! - Pana Smitha zaskoczył widok gołębia dziobiącego ziarno ze schodków na jego podwórku. - Znalazła pani sobie przyjaciółkę.

- John mi ją podarował - odparłam. - Ma na imię Hope. Wiem, że to głupie imię, ale mnie się podoba, i ona już na nie reaguje. Proszę spojrzeć. Hope!

Ptak uniósł głowę, zirytowany, że przeszkadzam mu w ucztach. Kiedy do niej pomachałam, otrząsnęła się jak kaczka, pozbywająca się wody z grzbietu, i wróciła do jedzenia.

Pan Smith zrobił jeszcze bardziej zaskoczoną minę.

- No cóż - powiedział. - Czy to nie miło ze strony Johna? Ale zdaje sobie pani sprawę, że gołębie żałobniki otrzymały nazwę od płaczliwego, niemal pogrzebowego brzmienia ich krzyku?

Chyba nie było na świecie wielu zarządców cmentarzy lepiej dostosowanych do posady niż pan Smith z jego obsesją na punkcie śmierci.

- Dlatego taki gołębek jest bardzo odpowiednim towarzyszem dla wybranki władcy Świata Podziemi - ciągnął pan Smith, siadając na schodku obok mnie. - Słyszałem też, że gołębie żałobniki są monogamiczne, dobierają się w pary na całe życie.

- Pięknie - odparłam, patrząc z lekkim smutkiem na Hope. Ciekawe, co się stało z jej partnerem. Miałam nadzieję, że jeszcze go nie spotkała i nie jest zrozpaczoną wdową. W sumie nie wyglądała na nieszczęśliwą, kiedy tak obżerała się garściami ptasiej karmy, które jej rzucałam. - Myślałam, że to po prostu zwykły gołęb.



- Jej upierzenie jest wyjątkowo jasne jak na żałobnika. Ale to można poznać po ubarwieniu - wyjaśnił pan Smith. -Po tych czarnych piórkach pod skrzydłami i ogonem.

- Więc ma ciemną stronę - mruknęłam. Zupełnie jak człowiek, który mi ją dał. Powinnam była się domyślić. Odwróciłam się do pana Smitha i powiedziałam: - Nie spytał pan o swoją herbatę. Wiem, że odesłał mnie pan tylko po to, żeby porozmawiać z Johnem w cztery oczy. Ale proszę go nie obwiniać o to, co się stało. To wszystko nie jest jego wina. A w ogóle, gdzie on jest?

- W środku. Powiedziałem mu, że chcę porozmawiać przez chwilę i z panią. Chyba nie bardzo mu się podobał ten pomysł... szczerze mówiąc, pewnie w tej chwili zastanawia się, jak przyspieszyć moje zejście z tego padołu. Jest bardzo... opiekuńczy wobec pani, prawda?

- No wie pan, dopiero co się zesłiśmy - przypomniałam mu. - Po latach nieporozumień i kłótni, które nie pozwalały nam być razem. A teraz okazuje się, że ktoś z mojej rodziny próbuje mnie zabić. Myślę, że John chce mnie po prostu ochronić, żebym nie skończyła z rozwaloną głową, jak Jade. Albo jeszcze gorzej, jak mi to ciągle powtarza. -Chociaż wciąż nie wierzyłam, że może być coś gorszego niż to, co spotkało Jade.

- To moja wina - powiedział ponuro pan Smith. - Zawsze wiedziałem, że pani babcia nie pochwała zainteresowania pani dziadka bóstwami śmierci ani jego przekonania, że pod Isla Huesos może istnieć Świat Podziemi. Zakładałem, że Angela Cabrero jest po prostu głęboko religijna. Że jak wiele osób chce wierzyć, że istnieje tylko piekło i niebo, i na tym koniec. Nie zdawałem sobie sprawy, że jej niechęć do tego, co pomiędzy, może mieć... podłoże osobiste.

- I podobno tak nie jest. To Furia, która ją opętała, chce się zemścić na Johnie i zmusza ją, żeby mnie w tym celu wykorzystywała. Ale nie wiem, czy w to wierzę. Babcia pozwoliła tej Furii się opętać, więc podejrzewam, że nienawiść do mnie była w niej cały czas.

- Dobry Boże - powiedział pan Smith. - Teraz rozmawiamy o tym, czy zwykła istota ludzka ma dość silnej woli, by oprzeć się Furii. Właśnie o takich sprawach ja i pani dziadek potrafiliśmy debatować całe popołudnia, a John powiedział mi, że mam na tę rozmowę zaledwie pięć minut. Mówi, że jesteście tu tylko po to, by się upewnić, czy pani nieszczęsny kuzyn jest cały i zdrowy.

Zauważył, że zmarszczyłam czoło przy słowie „nieszczęsny”, i mówił dalej.

- Proszę wybaczyć, ale poznałem tego chłopaka. Pani kuzyn jest nieszczęsny, co mówiąc, mam na myśli „nieszczęśliwy”, a nie „biedny” pod jakimkolwiek względem. Owszem, Alex dostał aż za wiele kuksańców od życia, ale moim zdaniem każdy sam buduje własne szczęście. Proszę mi nie mówić, że wierzy pani w te nonsensy o przeznaczeniu, o istotach kierujących naszym losem. Nie, rodzice dają nam życie, ale co z nim zrobimy, to już wyłącznie nasza własna sprawa.

- Co do istot, o których pan mówi - wtrąciłam, myśląc o śniadaniu, które pojawiło się dzisiaj rano, gorące i nieznośnie kuszące - to Mojry istnieją. Zetknęłam się z nimi osobiście. Niestety, żadnej nie widziałam, ale bardzo bym chciała.

- Nie powiedziałem, że nie wierzę w Mojry - odparł pan Smith. - Z moich badań nad życiem po życiu wynika, że Mojry to istoty duchowe, takie same jak Furie. Trochę podobne do bytów, które niektórzy nazywają Aniołami, ale

z rodzaju tych, co chodzą po ziemi, nie tych ze skrzydłami. Wierzę, że kiedy ludzie postępują dobrze, wiedzeni wrodzoną ludzką dobrocią, to właśnie dzieło Mojry... tak jak niektórych Furie popychają do złych uczynków. Zmarszczyłam nos.

- Więc sądzi pan, że Mojry to coś jakby siła modlitwy? -Może był na dobrym tropie. Przecież John powiedział, że rzeczy, których bardzo pragnął, w granicach rozsądku oczywiście, zwykle się pojawiały.

- Coś w tym rodzaju - powiedział pan Smith ze śmiechem. - Tak czy inaczej, John chce odnaleźć pani kuzyna i zabrać panią z powrotem przed nocą, co potrafię zrozumieć. .. a szkoda, bo mamy dzisiaj Festyn Trumien, jeśli nie zostanie odwołany z powodu deszczu, a to impreza, którą szkoda przegapić...

- Festyn Trumien? - Słyszałam o Nocy Trumien, ale Festyn Trumien to była dla mnie nowość. Na wyspie kości naprawdę kochali swoich zmarłych.

- O, po prostu uliczna zabawa, urządzana zwykle o tej porze roku - wyjaśnił z lekceważącym machnięciem ręki. - Nic imponującego, rozumie pani, bo to raczej tradycja kultywowana wyłącznie przez miejscowych. Nie umieszcza się jej w kalendarzu wydarzeń dla turystów, bo władze nie chcą zachęcać do obchodów Nocy Trumien. Ot, paru sprzedawców ustawia stoiska z ulicznym jedzeniem, i oczywiście z nieodzownymi T-shirtami z Isla Huesos, miejscowy zespół gra kubańską muzykę, ludzie tańczą, by uczcić fakt, że żyją. Oczywiście tej fecie daleko do Sylwestra - ciągnął - na którego miasto wydaje dziesiątki tysięcy. Ale nie o tym chciałem mówić. Tak właściwie to chciałem panią spytać, czy jest pani szczęśliwa.

Spojrzałam na niego, zaskoczona.

- Szczęśliwa?

- Tak, szczęśliwa - potwierdził pan Smith, podkreślając to słowo równie mocno, jak wcześniej słowo „nieszczęsny”. - Jestem pewien, że to wszystko wydaje się pani bardzo romantyczne i ekscytujące. Taki wspaniały młodzieniec jak John porwał panią do Świata Podziemi. Kto nie byłoby zachwycony? Ale odsuwając na bok jego dobre intencje, jego chęć ratowania pani przed Furiami i tak dalej, chyba dostrzega pani, że to, co zrobił John, było błędem... ogromnym błędem.

Pomyślałam o tym, jak obudziłam się dziś rano w ramionach Johna, po tym strasznym koszmarze, że go tracę, i o tym, jak stapiałam się z nim, kiedy mnie całował, niemal jakbyśmy byli jedną osobą. I jak później postanowiłam, że się o niego zatroszczę, tak jak on przez lata starał się troszczyć o mnie, chociaż wciąż go odpychałam... i jak wiele trudu sobie zadał, żeby wcielić w życie moje sugestie i lepiej traktować zmarłych...

- Bycie z nim nie wydaje mi się błędem - odparłam z oczami pełnymi łez. - A nieszczęśliwa jestem tylko wtedy, kiedy próbuję sobie wyobrazić życie w świecie, w którym nie ma jego.

Pan Smith trochę szerzej otworzył oczy za szklami okularów.

- No cóż - westchnął. - W takim razie chyba wszystko jest dobrze, skoro, o ile wiem, musi pani pozostać w jego świecie. Przyznaję, że mnie to zaskoczyło, bo byłem pewien, że wiedziała pani, co spotkało Persefonę, kiedy zjadła posiłek w Świecie Podziemi. Szczerze mówiąc, zacząłem niemal podejrzewać, że zrobiła to pani specjalnie, żeby musieć z nim zostać, skoro wiedziała pani doskonale...

- Myślałam, że chodzi tylko o granaty - przerwałam mu. - Tego nas uczyli w szkole. Persefona zjadła nasiona granatu, owocu zmarłych.

Pan Smith uniósł brwi.

- Ach, tak, oczywiście. To bardzo popularna wersja. Bezpieczna, rozwodniona wersja, jakiej można by się spodziewać. .. jeśli nie chce się straszyć dzieci czy skłaniać ich do zbyt intensywnego myślenia. Biedna Persefona zjadła to, co nie trzeba.

Nie miałam pojęcia, o czym on mówi.

- A John, oczywiście, nie powstrzymał pani. Niby dlaczego miałby to zrobić? - ciągnął zarządca cementarza dziwnie łobuzerskim tonem. - Przecież to by nie leżało w jego interesie.

- Sądził, że wiem - powiedziałam. Nagle łzy stanęły mi w oczach. - Dlaczego pan jest taki przeciwny naszemu związkowi? Dlaczego mam wrażenie, że wszyscy chcą, żebyśmy zerwali? Nie tylko Furie i moja babcia, ale wszyscy, nawet pan?

- Ja nie sugeruję, żebyście zerwali - wyjaśnił, przestraszony moimi łzami. Sięgnął do kieszeni, wyjął schludnie poskładaną chustkę i podał mi ją. Była różowa, oczywiście, dopasowana do skarpetek i krawata. - Ale kiedy odwiedziła mnie pani przedwczoraj wieczorem i powiedziałam, że mogłaby pani być dla niego trochę miłsza, nie sugerowałem, że powinna pani z nim zamieszkać i spędzić wieczności w Świecie Podziemi. A w każdym razie nie już następnego dnia. Mój Boże, pani biedni rodzice. A jeśli się dowiedzą, że panią zachęcałem?

- Panie Smith, powiedział pan przecież, że każdy jest odpowiedzialny za to, co robi z własnym życiem - przypomniałam mu, kiedy już osuszyłam łzy. - Pan nie odpowiada

za to, co zrobiłam. Ja odpowiadam, bo się w nim zakochałam. I to się stało na długo zanim pana poznałam. Cała reszta to już wina Furii. Więc może pan przestać mieć do siebie pretensje. - Oddałam mu chusteczkę. - Co do mojej mamy... jeszcze nie wiem, jak to załatwię. W tej chwili martwię się o Alexa.

- Bardzo mi przykro, że pani przeżywa coś takiego -zapewnił ze współczującym uśmiechem. - Wie pani co, spróbuję trochę dokładniej zbadać tę zasadę jedzenia i picia w Świecie Podziemi. Kto wie, może John jest w błędzie? Całkiem możliwe, że mit został przeinaczony z upływem lat. Nie byłby to pierwszy raz. Wielu naukowców głęboko wierzy w teorię owoców granatu, której panią uczono... choć w większości kultur, włączając judaizm, hinduizm i starożytne Chiny, granat, ze względu na mnogość nasion, był raczej kojarzony z płodnością i rozmnażaniem, nie ze śmiercią. Hm, to ciekawa myśl. - Uniósł brwi. - A co, jeśli opowieść o Persefonie została potraktowana zbyt dosłownie i granat to naprawdę symbol...

Uniosłam rękę, by zatamować tę rzekę słów, w obawie, że usłyszę wykład na temat znaczenia granatu w historii i kulturze. Pan Smith pod wieloma względami był równie uciążliwy jak moja mama. Mógł gadać godzinami o najdrobniejszych niuansach mitologii bóstw śmierci, tak jak ona mogła godzinami nawijać o warzęczach różowych.

- Tak naprawdę chcę tylko wiedzieć, jak to jest z dziećmi w Świecie Podziemi - powiedziałam znużonym tonem. -Czy można tam zająć w ciążę?

Pan Smith nagle znów zaczął wyglądać jak człowiek tuż przed wylewem. Czoło zaczęło mu błyszczeć od potu i zrobił się jakby szarawy. Mnie osobiście upał przynosił ulgę po zimnym Świecie Podziemi i klimatyzowanym biu-

rze; panu Smithowi najwyraźniej nie. Otarł twarz chusteczką, którą mu oddałam.

- Właśnie dlatego Patrick i ja nie zdecydowaliśmy się na dzieci - mruknął. - Żeby nie musieć odbywać takich rozmów. A mimo to... przytrafiło mi się.

- Byłoby wspaniale, gdyby mógł mi pan odpowiedzieć na to pytanie - poprosiłam tak grzecznie, jak umiałam. - Naprawdę nie chcę urodzić jakiegoś demonicznego dziwoląga i nie wyobrażam sobie, żeby John tego chciał.

- Tak, no cóż - rzekł pan Smith, zdejmując okulary. Zaczął je polerować, co, jak zauważyłam, robił zawsze, kiedy czuł się zażenowany. - Wyobrażam sobie, że posiadanie demonicznego dziwoląga byłoby niezbyt przyjemne dla wszystkich zainteresowanych. Więc pewnie ucieszy panią, że w trakcie moich badań dotyczących psychopompów nigdy nie natknąłem się na bóstwo śmierci zdolne płodzić jakiegokolwiek potomstwo, nawet demoniczne dziwolągi... zapewne dlatego, że życie jest absolutnym przeciwieństwem śmierci. Hades i Persefona z całą pewnością nie mieli razem dzieci.

- Okej - odparłam z ulgą. Chociaż jedno zmartwienie z głowy.

- Ale rozumie pani moje zaniepokojenie, panno Oliviera? - Pan Smith założył okulary z powrotem i spojrzał na mnie z troską. - Wiem, że John by mnie zabił za przypominanie pani o tym, ale tak wielu spraw jeszcze pani w życiu nie doświadczyła. I już nigdy pani nie doświadczy. Czy może mi pani szczerze powiedzieć, że ani trochę pani tego nie żałuje?

Zerwałam się, zbiegłam po schodkach i zaczęłam chodzić po małym, zagraconym podwórku. Nagle nie mogłam usiedzieć na miejscu. Słońce nareszcie zdołało się przebić

przez pociemniałe niebo na zachodzie; burzowe chmury buchnęły wspaniałym pomarańczowożółtym ogniem, a ozdoby na pobliskich kryptach - anioły, Matki Boskie i cherubiny - zapłonęły złotem.

- Oczywiście że żałuję - przyznałam, wciskając dłonie w kieszenie sukienki. - Ale proszę pomyśleć, jak musi czuć się John? On nie doświadczył niczego przez prawie dwieście lat. Właśnie tego nie rozumiem, panie Smith. Kiedy byłam tu wcześniej, stał pan po stronie Johna. Sprawiał pan nawet wrażenie zawiedzionego, że ja sama nie lubię go bardziej. A teraz pan się martwi, że lubię go za bardzo.

- Ja nie jestem po niczyjej stronie - odparł pan Smith. -Po prostu nie chcę patrzeć, jak pani cierpi. I chcę mieć pewność, że w pełni zdaje sobie pani sprawę z ryzyka, jakie pani podejmuje, że wie pani, co robi...

- To oczywiste, że nie wiem, co robię - wykrzyknęłam, gwałtownie unosząc ręce. Hope, do której podeszłam za blisko, z irytacją zeszła mi z drogi. - Wiem tylko, że jakaś banda nienawidzi mojego chłopaka z powodów, które nie są jego winą i że zginęli przez to niewinni ludzie, łącznie ze mną. To wszystko jest totalnie pokręcone i kompletnie mi się nie podoba, ale jeśli mogę zrobić cokolwiek, żeby to powstrzymać, nie będę siedzieć beczynnym i wygłaszać ludziom pogadanek o owocach granatu. Zamierzam naprawdę coś zrobić. Więc zupełnie nam nie pomaga pańskie gadanie, że John pana ukatrupi za powiedzenie tego czy tamtego. Przecież pan wie, że on taki nie jest. Jest stróżem zmarłych, jego zadaniem nie jest karanie żywych. Więc jeśli pan chce pomóc, proszę pomóc. A jeśli nie, proszę mi oszczędzić wykładów.

Pan Smith zamrugał kilka razy, słysząc mój wybuch.



- Rozumiem - powiedział w końcu zatroskany. - Z pewnością nie owija pani w bawełnę, jeśli chodzi o wyrażanie uczuć. Proszę mi wybaczyć, jeśli powiedziałem coś, co panią uraziło. Wydarzenia ostatniego tygodnia były dla mnie trochę... przytłaczające, choć dla innych na pewno jeszcze bardziej, na przykład dla rodziny Jade Ortegi. - Zniżył głos do ochryplego szeptu. - Ale prawda jest taka, że od kiedy pani się tu pojawiła, na wyspie zapanował taki zamęt, począwszy od huraganu, poprzez śmierć Jade, aż po rewelację, że pani babcia jest Furia, że ja sam już nie wiem, jaki jest John. Byłem zmuszony przewartościować wszystko, co wiedziałem... włącznie z moją opinią na temat Johna Hay-dena. Jak pani powiedziała, jest stróżem zmarłych. A pani wciąż nawet nie wie, co zrobił, że się nim stał, prawda?

- Nie - odparłam, zatrzymując się jak wryta. Nagły wiatr zaszeleścił liśćmi palmy nad naszymi głowami i na nowo spędził chmury, przerywając ten krótki, olśniewający pokaz słonecznych fajerwerków. Niebo znów poczerniało. - Powiedział, że to długa historia. - Powiedział też, że go przez nią zniechęci. Próbowałam o tym nie pamiętać. To nie mogła być prawda. - Wiem, że to ma coś wspólnego ze statkiem. Poznałam już załogę, a w każdym razie jej część. Ten statek nazywał się „Liberty”.

- „Liberty” - powtórzył zadumany pan Smith. - Tak. Proszę tu poczekać, panno Oliviera. - Wstał ze schodka, strzelając stawami. - Mam książkę, którą musi pani przeczytać. Może wyjaśni pani parę kwestii...

Oczywiście. Uciekałam przed Furiami, a teraz, według miejscowej gazety, również przed stróżami prawa, a Richard Smith, zarządca cmentarza i znawca bóstw śmierci, chciał mi dać książkę, żebym sobie ją poczytała w wolnym czasie, którego miałam aż za dużo.

Otworzył szklane drzwi.

Ale to nie ich odgłos sprawił, że Hope rozpostarła skrzydła i odfrunęła. Spłoszył ją zgrzyt gwałtownie otwieranej drewnianej furtki na podwórko.

Pan Smith odwrócił się, równie nerwowy jak Hope, by sprawdzić, kto wszedł na teren składowy. Kiedy przekonał się, że to pracownik porządkowy, którego widziałam, jak szedł z taczkami za rodziną Jade, uspokoił się natychmiast.

Ale ja nie.

- O, Mike - zagaił pan Smith z wesołym uśmiechem, kiedy mężczyzna wpełznął na podwórko taczki, w których było parę narzędzi. - Nie wiedziałem, że jeszcze tu jesteś. Miałeś iść do domu parę godzin temu. Podobno ten sztorm uderzy prosto na nas. Na pewno musisz zabezpieczyć okna...

- Nie - odparł Mike, zerkając na mnie. Był może parę lat starszy od Johna, ale ze swoją rozczochraną brodą i jaskrawymi tatuażami biuściastych kobiet na całych rękach (odciął rękawy roboczego kombinezonu, żeby móc się nimi popisywać), wydawał się starszy o dziesiątki lat. - Nie ma po co. Założę się, że ten huragan wyprztyka się nad Kubą. A kogo my tu mamy?

Nie chodziło tylko o to, jak zareagowała na niego Hope (kiedy pan Smith wyszedł na dwór, nie odfrunęła na bezpieczną gałąź hiszpańskiej limonki). W Mike'u było coś, co natychmiast obudziło moją czujność. Patrzył na mnie dziwnie uważnie... niemal jakby mnie znał.

Uspokój się, powiedziałam sobie. On po prostu planuje, jak wyda ten milion dolarów nagrody, którą ufundował tato za twój bezpieczny powrót.

- Ach tak - mówił pan Smith. Zupełnie nie zauważył mojego niepokoju ani tego, że Mike z całą pewnością wie-

dział, kim jestem. - To jest... moja siostrzenica, Jennifer. Jennifer, to Mike, nasz nowy pracownik.

Mike zaczął wycierać ziemię z palców szmatą wyjętą z taczek, najwyraźniej zamierzając uścisnąć mi dłoń. Więc nie mogłam zrobić nic innego, jak ruszyć w jego stronę z wyciągniętą ręką.

Nie wiem, co kazało mi spojrzeć na naszyjnik schowany za rozsuwany dekolt sukienki. Może instynkt. Albo to, że Hope zaczęła podskakiwać na gałęzi, strosząc piórka tak, że wydawała się dwa razy większa niż normalnie.

Diamant подарowany przez Johna zrobił się tak ciemny jak pióra pod skrzydłami Hope... tak czarny, jak burzowe chmury, które coraz wyżej piętrzyły się na niebie.

I nagle olśniło mnie, że Mike nie chce wcale odebrać nagrody mojego ojca. Chce odebrać mi życie.

Kiedy znów na niego spojrzałam, rzucił szmatę i sięgnął po szpadel z taczek, wbijając we mnie spojrzenie martwych oczu.

Zaczerpnęłam powietrza. To, co wyrwało się z moich ust, nie było nieartykułowanym wrzaskiem, jakiego się spodziewałam, ale imieniem.

- John!

Mike zamachnął się już szpadlem wysoko nad głową.

*I gdzie od razu nad pąsowe mury  
Trzy krwawe Furie wyrosły pospołu:  
Kobiece kształty miały i postury (...)*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń IX

Odwróciłam się i popędziłam w stronę schodków. Mike blokował furtkę - jedyną drogę ucieczki z podwórka, nie licząc wejścia do domu.

Wiedziałam, że nie zdążę dobiec do domku pana Smitha, zanim ten szpadel roztrzaska mi czaszkę. Już niemal czułam ostry metal, wbijający się aż do kręgów szyjnych. Nawet gdybym zdołała wbiec na schodki, nic by mi z tego nie przyszło, bo w drzwiach stał pan Smith. Miał skołowaną minę.

- Mike, co ty robisz? - spytał.

Zarządca cmentarza był zbyt zszokowany, żeby zwyczajnie otworzyć drzwi i wejść do środka, gdzie oboje bylibyśmy stosunkowo bezpieczni pod warunkiem, że Mike nie użyłby szpadla do rozbicia drzwi.

Richard Smith nie rozumiał, że Mike'a, którego znał, już nie ma. Ze kompletnie i totalnie opętała go siedząca w jego duszy Furia.

Zrozumiałam, że oboje zaraz zginiemy.

Ale to niesamowite, co potrafi zrobić człowiek broniący życia. Kiedy odwróciłam się, by wbiec po schodkach,

doskonale świadoma, że nie uda mi się uciec bez pomocy cudu, poświęciłam ostatnie cenne sekundy życia na szukanie broni, której mogłabym użyć. Omiotłam wzrokiem połamane rzeźby aniołów i sterty potrzaskanych kamieni nagrobnych zawałających podwórko, uszkodzone wazony i donice - z rodzaju tych, jakie ludzie zostawiają na grobach bliskich - usunięte z cmentarza i pełne zasuszonych, zniszczonych roślin.

Schyliłam się po donicę z terakoty dokładnie w chwili, kiedy Mike machnął szpadlem...

...i w tej samej chwili z domku wypadł John, odepchnął pana Smitha z drogi i zbiegł po schodach tak błyskawicznie, że poczułam tylko przelotny, pachnący dymem podmuch wiatru, kiedy minęła mnie rozmazana smuga jego ciała.

Jedną ręką chwycił szpadel i wykręcił go z dłoni Mike<sup>^</sup>, zanim metalowa łyżka zagłębiła się w mojej czaszce. Drugą ręką odepchnął Mike'a ode mnie tak mocno, że ten poleciał do tyłu i wylądował plecami na drewnianym płocie.

Jego ciało grzmotnęło o deski z taką siłą, że omal nie wyrwało ich z posad. Mike odbił się od płotu i padł na miękką ziemię.

- Wejź do środka, zanim coś ci się stanie - powiedział do mnie John, nie odrywając wzroku od mężczyzny, który zbierał się już chwiejnie z ziemi.

Rozpoznałam ten niebezpieczny, niemal dziki błysk w oczach Johna. Jego pierś wznosiła się i opadała tak gwałtownie, jakby właśnie przebiegł maraton, a nie korytarz niewielkiego domku.

Wyglądał dokładnie tak samo jak ostatnim razem, kiedy próbował zabić człowieka. Wtedy nie zrobił tego tylko dlatego, że ja go powstrzymałam.

- John - powiedziałam. Stałam jak wrośnięta w ziemię, wciąż trzymając w rękach donicę. - Nie rób tego.

Nawet na mnie nie spojrzał. Wbijał wzrok w oczy Mike'a.

- Wszystko w porządku - zapewnił. - Wejdź do środka.

Mike też nie wyglądał, jakby był gotów się poddać. Wyszczrzył zęby w szyderczym uśmiechu i spojrzał na krew na nadgarstku, którym otarł usta.

- Nic ci z tego nie przyjdzie - rzucił jadowicie do Johna. - Któraś z nas w końcu ją dorwie. A jeśli nie ją, to kogoś z jej bliskich. Jesteś opiekunem zmarłych, nie żywych. Niby jak chcesz nas powstrzymać?

- Mam pomysł - odparł John. Uderzył szpadlem o biały, marmurowy posąg anioła, przyniesiony tu do naprawy, bo jakimś cudem stracił głowę. Trzonek złamał się i Johnowi została w dłoni zabójczo ostra broń. - Może po prostu cię zabiję?

Mike znów wyszczrzył zęby.

- Proszę, spróbuj.

- John - krzyknęłam głośnie. - Nie rób tego!

Ale John zignorował mnie i ruszył na Mike'a ze swoją włócznią. Tymczasem Mike podniósł drugą połowę szpadla, tę z łyżką, i przybrał obronną postawę, nie przestając się szczyrzyć. Świetnie się bawił.

- Chłopcy - powiedział pan Smith, który nareszcie otrząsnął się z szoku i odżył. - Przestańcie się wygłupiać, obaj. Idę do środka i w tej chwili dzwonię na policję... - Tym razem, kiedy sięgnął do klamki, zdołał jej dosięgnąć.

Moje serce, które i tak pracowało już nierówno, załomotało mocniej, bo dotarło do mnie, że pan Smith wciąż czepia się życia sprzed - jak to nazwał - zamętu, który spowodowało moje przybycie na Isla Huesos. Wciąż żył w czasach, kiedy znał Furie tylko w teorii, a jego spotkania

z Johnem były miłymi pogawędkami, kiedy wpadali na siebie przypadkiem na cmentarzu, a nie kłótniami i bójkami z powodu porwanej dziewczyny. Pan Smith naprawdę nie rozumiał, co się dzieje. Policja nie potrafiłaby nic zdziałać. Ja byłam jedyną osobą, która mogła to powstrzymać. Ale jak?

Wymyśliłam sposób ułamek sekundy później, gdy John ruszył na Mike'a, który, obracając się, by uniknąć ciosu, przypadkiem skoczył w moją stronę. Nie zastanawiałam się, po prostu zadziałałam. Cisnęłam w głowę Mike'a donicę, którą wciąż trzymałam w rękach. Trafiła go w czaszkę z obrzydliwym odgłosem.

Nigdy wcześniej nie ogłuszyłam nikogo ciosem w głowę. Kiedy uderzyłam babcię, byłam wściekła. Teraz byłam tylko przerażona. I czułam się okropnie, nawet jeśli Mike na to zasługiwał. Serce łomotało mi w piersi i zrobiło mi się trochę niedobrze, kiedy patrzyłam, jak pada. Zresztą nie padł tak od razu jak ludzie w filmach, kiedy ktoś zdzieli ich po głowie. Najpierw trochę się zataczał, jakby był pijany i nogi nie mogły utrzymać ciężaru jego ciała.

W końcu osunął się w błoto i znieruchomiał... choć na szczęście wciąż oddychał.

Ani John, ani pan Smith nie byli ze mnie zadowoleni.

- Z... z pewnością doznał wstrząsu mózgu. Lepiej zadzwonię po karetkę - wyjąkał pan Smith, po czym wbiegł do domku.

Chciałam mu wyjaśnić, że Mike mógł doznać czegoś o wiele gorszego niż wstrząs mózgu, gdybym pozwoliła Johnowi zrobić z nim to, co zamierzał, ale za bardzo się trzęsłam, żeby mówić. A lodowaty chłód, który czułam, nie miał nic wspólnego z nagłą falą zimnego powietrza, które buchnęło z biura zarządcy, kiedy gwałtownie otworzył drzwi.

John gniewał się z zupełnie innych powodów niż pan Smith.

- Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego nie pozwoliłaś, żebym ja to załatwił?  
- spytał gniewnie, chwytając mnie za nadgarstek i odciągając z miejsca, gdzie u stóp schodów, wśród terakotowych skorup i ptasiej karmy Hope, leżał nieprzytomny człowiek.

John wciąż gwałtownie dyszał. Długie ciemne włosy opadały mu na twarz, srebrne oczy płonęły. Pod obcisłą koszulką wyczuwałam, jak szybko bije mu serce. Był niemal tak wzburzony jak Hope, tyle że on nie nadał się do dwukrotnie większego rozmiaru... chociaż niewiele mu brakowało. Nie wiedziałam, które zacząć uspokajać pierwsze. Wybrałam Johna, bo Hope raczej nie zamierzała przebić serca nieprzytomnego Mike'a za pomocą trzonka szpadla.

- Pan Smith poszedł wezwać policję - powiedziałam. -Chcesz, żeby cię aresztowali?

Kąciki jego ust drgnęły, mimo wzburzenia.

- Pierce, pochlebiasz mi, ale naprawdę sądzisz, że jakiś areszt zdoła mnie zatrzymać? - Nagle przypomniał sobie, że jest na mnie zły, i zmarszczył brwi. - Niepotrzebnie się wtrąciłaś. Sam bym to załatwił.

Sfrustrowana odgarnęłam włosy z twarzy.

- Wiem, jak „załatwiasz” takie sprawy - przypomniałam mu. - Pamiętasz pana Muellera? Jego też próbowałeś zabić. Powiedziałeś, że słusznie zrobiłam, że cię powstrzymałam. Sam mi powiedziałeś, że zabijanie Furii nic nie daje. Po prostu przenoszą się do kolejnego chętnego gospodarza... do kolejnego ciała.

Widziałam, że jego gorączkowo bijące serce zwalnia, i moje własne też się uspokajało. John wciąż był nachmurzony, ale przynajmniej słuchał.



- A poza tym - ciągnęłam - zaraz przyjedzie tu policja i to bardzo dobrze, że on żyje, bo będą mogli zabrać go na przesłuchanie.

- Po co? - spytał John, marszcząc czarne brwi. - Żeby mógł dostać nagrodę za informację, jak cię znaleźć?

- Nie w sprawie mojego zaginięcia - zbeształam go. -Zastanów się, John. On jest Furią i pracuje na cmentarzu.

Za koroną hiszpańskiej limonki, na niebie ciemnym jak siniec, zygzak błyskawicy przeciął chmury. Zagrzmiało. Grzmot zapowiadał zbliżający się huragan. Nie pochodził od Johna. John zastanawiał się nad moimi słowami.

- Jade powiedziała mi, że została tu zaatakowana przez trzech mężczyzn - rzekł. Oddychał już prawie normalnie. Puścił nawet mój nadgarstek.

- Na ogrodzenie nietrudno się wspiąć. - Wiedziałam to z z doświadczenia. - Ale tamtej nocy ulice wokół cmentarza patrolowały radiowozy i policja zauważyłaby każdego, kto próbowałby się tu przekraść. Więc dwóch pozostałych mógł do środka wpuścić tylko ktoś, kto miał klucz do bramy. Na przykład pracownik porządkowy.

- Czy on ma klucz do bramy? - spytał John pana Smitha, który właśnie wrócił do nas, już trochę bardziej opanowany. Włożył z powrotem marynarkę i wyprostował krawat. Niósł moją szkolną torbę, którą zostawiłam w jego biurze.

Zauważyłam, że John nie użył imienia Mike'a. Powiedział tylko „on” i pogardliwym ruchem głowy wskazał leżące ciało.

- Mike? - spytał pan Smith. - Oczywiście że ma. Nie do głównej bramy, ale do tej bocznej, owszem. To kierownik pracowników porządkowych. Jak inaczej miałby wjeżdżać tu swoim pickupem i wpuszczać samochody firmy

ogrodniczej i deratyzacyjnej? Nie mogę robić wszystkiego sam. - Był wyraźnie rozdrażniony. I kto by mu się dziwił?

- Czy Mike został przesłuchany po morderstwie Jade? - spytałam.

- Nie wydaje mi się - odparł pan Smith z niespokojną miną. I to nie tylko dlatego, że na jego podwórku gospodarczym gościli stróż zmarłych, porwana dziewczyna i nieprzytomny facet. - Nikt mnie nawet nie spytał, czy ktoś oprócz mnie ma klucz. Ale po co mieliby pytać? Przecież już mieli podejrzanego.

Wujka Chrisa. Nikt z nas tego nie powiedział, ale wszyscy to wiedzieliśmy. A przynajmniej ja.

Pan Smith pokręcił głową, patrząc na Mike'a.

- Był takim doskonałym pracownikiem. Przyznaję, że zdarza mu się spóźnić. Podejrzewam, że z powodu kaca. Ale jest młody, a to jest Isla Huesos, rozrywkowe miasto. W tych czasach trudno znaleźć dobrych pracowników... szczególnie do pracy tutaj. - Zerknął ukradkiem na Johna i szybko odwrócił wzrok.

- Morderca Jade uderzył ją od tyłu tak mocno, że narzędzie przebiło się przez jej kask rowerowy - stwierdził ponuro John, patrząc na łyżkę szpadla.

Zadrżałam bezwiednie, przypominając sobie, jak niewiele brakowało, by ten sam kawał żelastwa rozłupał moją własną czaszkę. John zauważył moją reakcję, przyciągnął mnie do siebie i przytulił. Widziałam, że wybaczył mi już, że pozbawiłam go szansy na zdobycie kolejnej duszy.

- Pomyślałem o tym - przyznał z niepokojem pan Smith. - Dlatego kiedy poprosiłem o karetkę, która zresztą już tu jedzie, wspomniałem też, że powinni przysłać policję. Powiedziałem, że był wypadek, że mój pracownik spadł ze schodków i uderzył się w głowę. Zobaczymy, ja-

kiej wersji będzie się trzymał Mike, kiedy się ocknie. Czy upadku w czasie pracy, dzięki czemu dostanie całkiem przyzwoite odszkodowanie od miasta, czy tej, że widział pannę Oliviera, dzięki której może zarobić milion dolarów. Ja oczywiście nie potwierdzę tej drugiej wersji.

Przełknęłam ślinę. Słowa Mike'a tłukły mi się po głowie. „Któraś z nas w końcu ją dorwie. A jeśli nie ją, to kogoś z jej bliskich”. Czy miał na myśli Alexa?

Musiałam zapewnić bezpieczeństwo mojemu kuzynowi. Nie mogłam wcześniej wrócić do Świata Podziemi.

Ale biorąc pod uwagę fakt, że tato wyznaczył okup za moją głowę, no i spotkanie z Mikiem, wiedziałam, że John będzie miał swoje zdanie w tej sprawie...

Usłyszałam w oddali syrenę.

- Lepiej już idźmy. Bo jak to wytłumaczymy? - Wskazałam złamany szpadel. - Czy policja nie znajdzie na nim odcisków palców Johna i nie pomyśli, że to on jest mordercą? A jeśli Mike powie, że tu byliśmy, będą wiedzieli, że mówi prawdę. Odciski naszych stóp są na całym podwórku.

- O nie, dopóki ja mam tu coś do powiedzenia - odparł pan Smith. Ostrożnie wybierał drogę po błotnistej ziemi (nie chciał sobie zabrudzić błyszczących mokasynów), by podać mi torbę z książkami. Potem rozwinął wąż ogrodniczy, wiszący na ścianie domku. Odkręcił wodę i zaczął polewać silnym strumieniem każde miejsce, na które stąpaliśmy.

Ślady naszych stóp zaczęły znikać. Niedługo zostanie tylko miękkie błoto, hiszpańskie limonki, suche liście i Mike... który wyglądał jak martwy, ale nie był. Oddychał i cicho pojękiwał.

- Panno Oliviera, powiedziała pani, że jeśli chcę pomóc, to powinienem skończyć z wykładami i zacząć pomagać - powiedział pan Smith. - Może właśnie to robią Mojry.

Zdumiona pokręciłam głową.

- Słucham?

- Może Mojry to ludzie tacy jak my... zwyczajni obywatele, którzy przypadkiem zaplątali się w walkę dobra ze złem i postanowili opowiedzieć się po stronie dobra i pomóc. - Pan Smith znów wygłaszał wykład i tym razem jego przemowa była skierowana również do Johna. Ale jego ton brzmiał łagodnie. - Może dlatego odcisków palców Johna nie ma jeszcze w bazie danych policji Isla Huesos, i dlatego nikt nie znajdzie tutaj jego śladów stóp. Drobne sprawy, które nie zabierają dużo czasu, ale w ostatecznym rozrachunku mogą uczynić ogromną różnicę. Co pani na to powie, panno OHviera?

- N... nie wiem - odparłam. Byłam lekko oszołomiona. Ale on chyba miał rację. To by z pewnością wyjaśniało, dlaczego John mógł krążyć po cmentarzu Isla Huesos, pojawiać się i znikać jak duch, odwiedzać moje kolejne szkoły, nie zostawiając po sobie śladu oprócz plotek, zamazanych plam na nagraniach wideo, porozrywanych kłódek i łańcuchów.

Nie miałam tylko pojęcia, w jaki sposób te drobne fakty mają pomóc w wojnie z Furiami.

Kiedy spojrzałam na Johna, by przekonać się, co on o tym wszystkim myśli, zobaczyłam, że patrzy na starszego pana ze zmarszczonymi brwiami; był to jawny znak, że zarządca cmentarza powiedział coś, co mu się nie spodobało. Ale co?

- Musimy iść - stwierdził John szorstko. Syrena karetki brzmiała, jakby była tuż za rogiem.

- Tak, rzeczywiście - przytaknął mu pan Smith i zaczął polewać wodą schodki przed tylnym wejściem do domku. Musiał jakoś uwiarygodnić teorię, że Mike się poślizgnął.

John chwycił mnie za ramię. Wiedziałam, co się teraz stanie: zabierał mnie z powrotem do swojego świata.

Nie było sensu się sprzeciwiać. Przecież o mało nie zostałam zabita... i John o mało kogoś nie zabił. To błotniste podwórko, pełne połamanych aniołów i nagrobków, było moim ostatnim widokiem Isla Huesos i ziemi.

Spojrzałam w górę, na gałąź drzewa, gdzie siedziała Hope, i stwierdziłam ze strachem, że już odleciała, prawdopodobnie z powrotem do Świata Podziemi. Ale to nie miało znaczenia. Przecież za kilka sekund i tak ją tam zobaczę.

Widok pustej gałęzi zasmucił mnie. Myśl, że zostawię Alexa samego i bezbronnego, zasmuciła mnie jeszcze bardziej.

- John - rzuciłam rozpaczliwie, odwracając się do niego.-A gdybyśmy...

- Pierce - przerwał mi nagłym tonem. Syrena umilkła. Usłyszałam trzask drzwiczek za płotem, męskie głosy. - Już za późno.

Miał rację. Z ciężkim sercem spojrzałam na pana Smitha.

- Bardzo pana proszę - powiedziałam. - Sprawdź pan, co u Alexa? A jeśli spotka pan moją mamę, proszę jej powiedzieć, że... że...

Urwałam. Jakie ostatnie słowa można przekazać swojej matce?

Pan Smith zakręcił wodę.

- Sama jej to pani powie - odparł z ciepłym uśmiechem. I nagle stałam w moim własnym ogrodzie.

*Poeto - rzekłem - oto chęć mię bierze  
Przemówić do tych dwojga, co się miecą  
Na wietrze tam i sam, jak lotne pierze.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń V

Odwróciłam się na pięcie i zagapiłam zdumiona na Johna. - Co my tu robimy?

John przyłożył palec do ust, po czym wskazał tarasowe drzwi, prowadzące z tylnej werandy do salonu mojej mamy.

Byłam w takim szoku, że znalazłam się w miejscu, w którym najmniej spodziewałam się znaleźć - i które przypadkiem było pierwszym miejscem, w którym całowałam się z Johnem - że chyba po raz pierwszy nie sprawdziłam, czy doleciałam ze wszystkimi palcami i nie zwróciłam uwagi na mdłości. Stałam tylko i rozglądałam się dookoła, osłupiała.

Wszystko w ogrodzie mamy wyglądało dokładnie tak, jak ostatnio. Wujek Chris schował meble z patia i werandy, przygotowując dom do nadciągającego sztormu, ale wodospad w basenie wciąż działał. Odgłos łagodnej kaskady był kojący, podobnie jak aromat kwiatów drzewa ylang-ylang, płynący do nas ze splecionej jak w dżungli roślin wyrastających tuż za ścieżką, na której staliśmy.

- Byłam pewna, że wracamy do Świata Podziemi -szepnęłam, kiedy John wciągnął mnie głębiej w cień tropikalnych krzewów. - Po tym wszystkim, co się stało...

- Powiedz, że chcesz wracać, a zabiorę cię tam w mgnieniu oka - odparł John, chwytając mnie za ramiona. - Proszę, powiedz. Nic mnie tak nie uszczęśliwi.

- Ale co z Alexem? - Nie mogłam powstrzymać tęsknego spojrzenia w stronę drzwi tarasowych. Mama była tak blisko... prawdopodobnie tuż za nimi, rozmawiała przez telefon albo siedziała na tej okropnej białej kanapie (której kupno doradził jej dekorator wnętrz, chociaż strasznie łatwo się plamiła i wcale nie była wygodna) i płakała. - Słyszałeś, co powiedział Mike. Jeśli Furie nie dopadną mnie, to dopadną kogoś z moich bliskich...

Byle nie mamę, szepnęło moje serce. Zagrożenie dla Alexa było wystarczająco koszmarnie, ale błagam, tylko nie mamę.

John jakby trochę oklapł.

- Wiedziałem, że to powiesz. Pan Smith miał rację. -Był zrezygnowany... pełen goryczy, ale zrezygnowany. -Powiedział mi, że źle to wszystko załatwiłem.

Nie musiałam pytać, o czym mówi, bo przecież podsłuchałam całą jego rozmowę z zarządcą cementarza. Mówił o tym, w jaki sposób mnie porwał. Pan Smith tego nie pochwałał.

Położyłam obie dłonie na twardej jak mur piersi Johna, szukając właściwych słów, by go pocieszyć.

- Zrobiłeś to, co uznałeś za słuszne w tamtej chwili. Tylko widzisz...

Nie chciałam być pesymistką, ale jeśli John miał po swojej stronie tylko niedobitków załogi „Liberty” i te istoty,

które pan Smith nazywał Mojrami, to nic dziwnego, że Furie wygrywały.

Ale wiedziałam też, że gadanie o tym w niczym mu nie pomoże.

- Chodzi o to, że walczysz z czymś bardzo potężnym -dokończyłam. I poprawiłam się szybko: - My. My walczymy z czymś bardzo potężnym.

- My z niczym nie walczymy - odparł ponuro John. -To moja walka, nie twoja. Jeśli zrobi się niebezpiecznie, to nie chcę, żebyś się znów wtrącała, tak jak w biurze pana...

Wysunęłam wojowniczo podbródek.

- Och, no tak, bo przecież w ogóle mnie to wszystko nie dotyczy - zadrwiłam. - A poza tym zdawało mi się, że całkiem zręcznie posłużyłam się tą donicą. Dziękuję.

Spojrzał na mnie spod zmrużonych powiek, niezbyt zachwycony moim wybuchem.

- Otóż - ciągnął - kiedy ty i pan Smith rozmawialiście na schodkach, ja miałem chwilę na przemyślenie tego, co mi powiedział. I uznałem, że być może w pewnych sprawach miał rację.

- A konkretnie w których? - Miał taką tajemniczą minę... a jednocześnie tak zdeterminowaną, jakby żadna siła na świecie nie mogła go powstrzymać przed tym, co zamierzał zrobić.

Więc zdziwiłam się, kiedy wskazał palcem front mojej sukienki.

- Co? - skołowana spojrzałam dół. Suwak trzymał jak należy, więc John raczej nie próbował powiedzieć, że widać mi stanik. Wiedziałam, że woli mnie w bardziej kobiecych, dziewiętnastowiecznych ciuchach, ale nie rozumiałam, o co mu teraz chodzi. A to nie było miejsce i czas na obściskiwanie się.



- Naszyjnik - powiedział. - Twoja babcia tu jest? Możesz sprawdzić?

Zrozumiałam, że chce tylko wiedzieć, czy w domu są Furie, a nie dobrać mi się do biustonosza. Zawstydzona wyciągnęłam diament spod sukienki. Był jednolicie szary, jak chmury pędzące po niebie.

- Nie - odparłam. - Wygląda na to, że teren jest czysty.

John skinął głową i spojrzał na dom. Bez mebli ogrodowych, długich zasłon i lampionów, które go zwykle zdobiły, wydał mi się nagle złowrogi i odpychający.

I nagle przestało mnie obchodzić, czy moja mama jest za tymi tarasowymi drzwiami. Wcale nie miałam ochoty się do nich zbliżyć.

Bo widziałam już ten wyraz twarzy Johna. Dokładnie taki sam jak wtedy, kiedy chwycił mnie i zaciągnął do swojego świata.

- John, co my tutaj robimy? - spytałam podejrzliwie. Dotarło do mnie, że podsłuchałam większość rozmowy Johna z panem Smithem, ale nie wszystko. - Przyszliśmy sprawdzić, czy Alex jest w trumnie w garażu, czy z jakiegoś innego powodu? - Na przykład...

„Sama jej to pani powie” - rzucił na pożegnanie zarządca cmentarza, kiedy próbowałam wyjąkać, co ma przekazać mojej mamie.

Wyciągnęłam rękę i chwyciłam przód koszulki Johna, bo nagle brakło mi słów.

Ale John oderwał moje palce od materiału, chwycił mnie za ramię i poprowadził z determinacją w stronę werandy z tyłu domu.

- Powiedziałaś, że tego chcesz - przypomniał mi lodowatym tonem, ciągnąc mnie chodniczkiem.

Serce zamarło mi w piersi.

Miał rację. Oczywiście, jeszcze wczoraj wrzeszczałam i wierzgałam, i błagałam właśnie o to. Żeby odstawił mnie do domu.

Ale teraz, kiedy to się naprawdę działo, okazało się, że chcę czegoś absolutnie przeciwnego. Tak jak w nocnym koszmarze, poczułam się, jakby coś we mnie umierało.

Powinłam się cieszyć, oczywiście. Powinłam nie posiadać się ze szczęścia. Ale mogłam myśleć tylko: jak to możliwe?

- Myślałam, że skoro zjadłam tam posiłek - wypaliłam nieskładnie - nigdy nie będę mogła opuścić Świata Podziemi, jak Persefona.

- Co? - John obejrzał się na mnie. Patrzył na mnie z taką miną, jakby myślał, że zwariowałam. Ale nie zwolnił.

- John. - Nie chciałam być jedną z tych dziewczyn, które błagają chłopaka, żeby nie odchodził. Ale ta sytuacja z wielu powodów była poważniejsza niż zwykle zerwanie. - Zwolnij. Może powinniśmy o tym porozmawiać...

Byłam tak zdenerwowana, że moje uczucia musiały zmanifestować się jakoś w wymiarze duchowym, bo nagle pojawiła się Hope. Z furkotem skrzydeł zawisła nad głową Johna, bijąc go końcami czarnych skrzydeł i głośnymi gwizdami wyrażając dezaprobatę dla jego postępowania. Pomimo wzburzenia, poczułam się wzruszona. Nie miałam pojęcia, że już zdążyła tak bardzo mnie polubić.

- Co... - John puścił mnie, by osłonić rękami twarz. -Co ją ugryzło?

- Może się zdenerwowała - odparłam z odrobiną uszczypliwości - bo słuchasz pana Smitha zamiast własnego serca.

Odwrócił się i spojrzał na mnie. Wciąż miał tę zdeterminowaną, zaciętą minę, niemal jakby wyzywał mnie,

bym wybiła mu z głowy jego zamierzenia. Ktokolwiek by jednak tego spróbował, skończyłby w gorszym stanie niż Mike, to było jasne. Ale w jego szarych oczach widziałam też zaskoczenie.

- Myślałem, że tego chcesz. Pan Smith powiedział, że muszę...

- A kto powiedział, że pan Smith jest wszechwiedzący?

- ...pozwolić ci na pożegnanie z matką. Przecież sama mówiłaś, że tego chcesz, prawda?

Wpatrywałam się w niego, a krew w moich żyłach znów zaczęła płynąć. Zaświtało mi wreszcie.

- To dlatego tu jesteśmy? Ściągnąłeś mnie tu, żebym mogła pożegnać się z mamą?

- Tak, oczywiście - odparł. Zauważyłam znajome drganie mięśnia na zuchwie. John wyglądał, jakby miał ochotę walnąć w coś pięścią. Gdyby miał pod ręką cokolwiek oprócz mnie, co dałoby się wrzucić do basenu, to pewnie by wrzucił. Na szczęście wujek Chris bardzo starannie opróżnił werandę ze wszystkich ruchomych przedmiotów. - A niby jaki miałyby być powód? - spytał gniewnie. - Poza poszukiwaniem twojego piekielnego kuzyna. Pan Smith powiedział, że nie mam prawa zabraniać ci spotkania z matką i pewnie w normalnym świecie miałyby rację. Ale on chyba nie rozumie, że to nie jest normalny świat...

Nie. Bo w normalnym świecie mogłabym widywać się z mamą, kiedy by mi się zachciało. I żadnej normalnej istocie ludzkiej nie przyszłoby nawet do głowy zabraniać mi odwiedzin.

Ale to nie był normalny świat. To był świat, w którym pozwolenie na odwiedziny u matki było ogromnym, kolosalnym krokiem dla mojego chłopaka, który, tak się przypadkiem złożyło, był maniakiem kontroli i bóstwem śmierci.

John, który źle zinterpretował łzy w moich oczach, patrzył na mnie z przerażeniem.

- Och, nie. - W jego niskim głosie słyszałam ostrzegawczą nutę. - Nie płacz. Ta wizyta musi być szybka, nie mamy czasu na długie płaczliwe pożegnania, okej? Zresztą, tak naprawdę nie możesz się z nią pożegnać, Pierce. Bo mama nigdy cię nie puści. Może Furii jeszcze tu nie ma, ale z pewnością wiedzą, że jesteśmy w mieście i już są w drodze. Musimy się stąd wynosić, zanim nadejdą. Powiedz tylko mamie, że nic ci nie jest, sprawdź, co z Alexem i trumną, i powiedz, że musisz już lecieć. I żadnego płaczu. - Był niemal boleśnie zażenowany, jak wtedy, kiedy siedzieliśmy w tym samym ogrodzie i wyznawaliśmy sobie uczucia, a on nie wiedział, co zrobić z nogami. - Wiesz, co się ze mną dzieje, kiedy płaczesz.

Nie rozumiał, że tak się wzruszyłam, bo jestem szczęśliwa, a nie zrozpaczona. Pewnie w normalnym świecie nie stałabym tu i nie płakała z ulgi, że chłopak zabrał mnie do domu, żebym zobaczyła się z matką, a nie żeby mnie tu porzucić, bo jakiś wścibski zarządca cmentarza przekonał go, że „tak trzeba”.

Ale właśnie tego się bałam.

- Nie będę płakać - zapewniłam go. - Myślałam tylko... że... - Teraz krew w moich żyłach krążyła trochę za szybko. I sporo napływało mi do policzków. Czułam, że się czerwienię. - ...Myślałam, że mnie tu zostawisz. Na zawsze.

Zrobił zdziwioną minę.

- Dlaczego miałbym cię zostawić, skoro czekałem na ciebie prawie dwa stulecia?

Mówiąc to, objął mnie w pasie i przyciągnął do siebie, a potem przycisnął usta do moich ust i pocałował tak żarli-

wie, że nie miałam już żadnych wątpliwości. Nie zamierzał nigdzie mnie zostawiać.

- John - powiedziała trochę zdyszana, kiedy wreszcie pozwolił mi zaczerpnąć powietrza. - Może będzie lepiej, jeśli tu na mnie zaczekasz.

- Nie - odparł bez ogródek. Chwycił mnie za rękę i znów pociągnął w stronę tarasowych drzwi, prowadzących do domu.

Uderzyło mnie, że gdyby moja matka usłyszała choć słowo z naszej rozmowy - a co dopiero gdyby zobaczyła, jak się całujemy - zabiłaby mnie, zanim babcia zdążyłaby mnie dorwać. Ojciec zresztą też. Rola wybranki władcy Świata Podziemi na Isla Huesos to nie była kariera, jaką dla mnie planowali.

Choć z pewnością miała swoje plusy.

O ironio, właśnie kiedy o tym myślałam, drzwi rozsunęły się i na werandę wyszedł wujek Chris. Zagapił się na ogród, jakby zobaczył ducha. Zresztą, może w pewnym sensie tak było.

Tyle że tym duchem byłam ja.

- Piercey? - zawołał w ciemność, która szybko gęstniała wokół nas. - To naprawdę ty?

Było mi trudniej, niż się spodziewałam, dotrzymać obietnicy, że się nie rozplaczę. Tylko wujek Chris nazywał mnie Piercey... i nie bez powodu, bo brzmiało to koszmarnie. Jaka dziewczyna chciałaby być nazywana „Pirsi”? Ale w jego wykonaniu jakoś nigdy mi to nie przeszkadzało.

Puściłam dłoń Johna i wbiegłam po schodkach na werandę.

- Och, wujku - powiedziała, zarzucając mu ręce na szyję. Dopóki nie poczułam jego ciepłego, solidnego ciała (żartował, że jest jednym z niewielu skazańców,

którzy nabrali w więzieniu więcej tłuszczu niż muskulatury - wszystko przez nadmierne zamiłowanie do napojów gazowanych) nie mogłam uwierzyć, że naprawdę go widzę.

- Piercey. - Poglaskał mnie po włosach, jakby on też chciał sprawdzić, czy jestem prawdziwa. - Skąd się tu wzięłaś? Mama potwornie się o ciebie martwi.

Odsunęłam się od niego i ukradkiem otarłam łzy z oczu. Miałam nadzieję, że John nie patrzy.

- Byłam niedaleko - odparłam wymijająco. - Wiem, powinnam była zadzwonić. Mama naprawdę jest taka zdenerwowana?

- Jeszcze jak. Nie spała, od kiedy zniknęłaś. Spojrzenie wujka zsunęło się ze mnie i padło na Johna,

który wszedł za mną po schodkach i stał parę kroków dalej. Niestety, wrogość wręcz od niego buchała, palce miał zwinięte w pięści u boków, a jego mina była wyzywająca, jakby w każdej chwili gotów był do bójk.

Tak samo zachowuje się każde dzikie zwierzę przyniesione z lasu - maskuje swój strach i bezbronność wrogą postawą. Nie byłam pewna, czy ktokolwiek oprócz mnie to wiedział i czy ktokolwiek zdoła przejrzeć zadziorną postawę Johna.

- Kto to jest? - spytał gniewnie wujek Chris, głosem równie spiętym jak barki Johna. - Mam nadzieję, że nie ten młodzieniec, o którym mówiła mi babcia? Ten, który ją uderzył?

John zrobił krok do przodu, twarz pociemniała mu z oburzenia.

- Ja nie biję kobiet.

- No cóż, mojej siostrzenicy z pewnością coś zrobiłeś - odparł wujek Chris z równie złowrogim wyrazem

twarży - bo dopóki się nie pojawiłeś, nigdy nie znikala bez słowa na całe dnie.

Chciałam powiedzieć, że nie było mnie zaledwie dwa dni i jedną noc. Nie dajmy się zwariować.

Ale John stanął nos w nos z wujkiem. Dopiero wtedy zauważyłam, że wujek Chris ustawił ciało niemal w identycznej pozycji jak John. W sumie mieli ze sobą sporo wspólnego... obaj spędzili wiele, wiele lat uwięzieni, tyle tylko, że odsiadawali zupełnie różne wyroki.

- Gdybym tego nie zrobił - odparł John, niebezpiecznie zniżając głos - pańska siostrzenica już by nie żyła.

*„W dół spojrzysz: oto krwi rzeka już bliska,  
Gdzie w kotłujące zanurzon jest piany,  
Kto gwałtem bliźnich na ziemi uciska”.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń XII

Wcisnęłam się między wujka i chłopaka, zanim zrobiło się jeszcze paskudniej.

- Okej - powiedziałam drżącym głosem. Byłam w szoku, jak szybko skądinąd rozsądni mężczyźni potrafili cofnąć się do poziomu swoich jaskiniowych przodków. - Wujku, nie przyszliśmy tutaj, żeby się kłócić, wpadliśmy tylko, żeby dać wam znać, że nic mi nie jest...

Wujek zaczerpnął powietrza, żeby mi przerwać, ale uciszyłam go uniesioną ręką. Jeszcze nie skończyłam.

- Wiem, że babcia naopowiadała wam różnych rzeczy, ale spójrzmy prawdzie w oczy, babcia często przesadza... czasem nawet bardzo. - Poznałam po minie wujka, że bierze moje słowa pod rozwagę. Była to prawda i dobrze o tym wiedział. - Mój przyjaciel ma na imię John i naprawdę nie powinieneś go osądzać, dopóki go nie poznasz. Myślę, że właśnie ty powinieneś wiedzieć, że takie osądy są nie fair, prawda, wujku?

Wujek Chris mrugnął parę razy, jak to on. Zmarszczka na jego czole się pogłębiła.



Ale nie dlatego, że przypominałam mu, że i on nie ma kryształowej reputacji, a większość życia swojego jedyne dziecko przesiedział w więzieniu za przestępstwo, o którym uparcie nie chciał mówić.

W tej chwili obchodził go wyłącznie John.

- Dlaczego? - spytał. - Dlaczego by nie żyła, gdyby nie ty? Kto chciałby skrzywdzić Pierce?

Nagle dotarło do mnie, dlaczego John tak bardzo nie chciał mnie tu zabierać, nawet jeśli mieliśmy uratować komuś życie...

Kiedy umarłam i ożyłam po reanimacji, wszyscy bardzo chcieli wiedzieć, jak to jest po drugiej stronie.

Ale ci nieliczni, którym powiedziałam prawdę, jak się okazało, wcale nie chcieli jej znać. Chcieli słuchać tylko

o świetle, które rzekomo widywali wszyscy inni.

Wujek Chris był jedną z tych osób.

Jak miałam mu wytłumaczyć, że jego matka jest Furią

i od lat usiłowała mnie zabić, i być może zabiła też jego ojca? Jak miałam powiedzieć mu coś tak strasznego, co zmieniłoby jego życie na zawsze?

John wiedział, że tak będzie. I dlatego nie chciał mnie tu zabierać. I może właśnie dlatego nie chciał mi powiedzieć prawdy o sobie.

Mimo to, kiedy wujek Chris spytał go, kto chciałby mi zrobić krzywdę, nie skłamał. Powiedział tylko:

- Źli ludzie. Bardzo źli ludzie.

Wujek Chris zacisnął usta w cienką kreskę. Kiwnął głową. Spotykał już w życiu złych ludzi. John mówił językiem, który rozumiał.

- Chodzi o narkotyki? - spytał ściszym głosem. Spojrzałam na Johna, na jego czarne dżinsy i koszulkę, jego długie, ciemne włosy, nabijane ćwiekami skórzane

opaski na nadgarstkach. Rozumiałam, dlaczego wujek Chris zadał to pytanie. Dla kogoś z jego pokolenia musiały to być albo narkotyki, albo... hm, zespół rockowy.

John ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Nie, błagały mnie jego oczy. Nie rób tego.

- Tak - powiedziałam, spoglądając na wujka Chrisa. -Chodzi o narkotyki.

John przewrócił oczami.

- Piercey - powiedział wujek Chris, wzdychając ciężko i przesuając dłonią po włosach. - Rozmawialiśmy o tym. Myślałem, że akurat o ciebie nie muszę się martwić.

Pamiętałam, że przeprowadziliśmy jakąś taką rozmowę tu, przed tym domem, wieczorem przed śmiercią Jade. Ale sądziłam, że wujek Chris mówił o nauce jazdy samochodem. Nie przypomniałam sobie, żeby padła wzmianka o narkotykach.

- No więc - ciągnęłam - wszystko się trochę pochrzaniło. Dlatego tu jesteśmy. Chcemy sprawdzić, czy Alexowi nic nie jest.

- Alexowi? - Wujek Chris spojrzał na mnie, zaniepokojony. - Nie mów, że Alex bierze narkotyki.

Teraz zrozumiałam, dlaczego John nie chciał, żebym kłamała w sprawie narkotyków. Myślałam, że to wszystko uprości. Ale tylko pogorszyło sprawę.

- Nie bierze - rzuciłam pospiesznie. Pomyślałam, że jeśli Alex wyjdzie z tego żywy, to mnie zabije. - Po prostu ludzie, z którymi się zadaje...

- Rector - powiedział głuchym głosem wujek Chris. -To ten młody Rector, który przywiózł cię kiedyś ze szkoły swoim pickupem...

- Co? - spytałam, zaskoczona. Tym bardziej, że John poderwał głowę na dźwięk nazwiska Rector, tak jak na

omentarzu. Czemu ludzie na tej wyspie tak na nie reagowali? - Nie, to nie Seth... - Choć oczywiście jeśli Alex naprawdę był uwięziony w trumnie najstarszych klas, to prawdopodobnie z inicjatywy Seta. - To... takie dzieciaki z wyspy...

Wujek Chris pokręcił głową. Nie uwierzył mi.

- Już ja wiem, kto to jest. Bo niby dlaczego twoja terapeutica została zabita?

John kręcił głową z miną „A nie mówiłem?”

- Wujku - powiedziałam, obawiając się, że niepotrzebnie narobiłam zamieszania, w które mój wujek nie powinien się angażować. - Raczej nie ma żadnych dowodów, że Jade zginęła przez narkotyki...

Ale wujek Chris już się nakręcił i mówił niemal jak do siebie:

- Seth i jego ojciec byli tu dziś rano.

- Tak? - Nie potrafiłam ukryć zaskoczenia. - Po co?

- Wzięli plik ulotek o twoim zaginięciu, które przygotowała mama. Powiedziała, że bardzo chcieli pomóc je porozwieszać. Ale ja sobie pomyślałam... - Wujek Chris spojrzał na mnie, potem na Johna, i jakby zapanował nad sobą z wysiłkiem. - Zresztą, to, co sobie pomyślałam, jest zupełnie nieważne. Chciałbym tylko, żeby twój ojciec szybciej tu dotarł. Bo ciągle jest w drodze, wiesz. Jego samolot nie mógł wylądować na naszym lotnisku, bo zostało zamknięte na czas huraganu, więc jedzie tu samochodem z miejsca, gdzie kazali mu lądować. Czy raczej jest więziony, bo wynajął na miejscu samochód z kierowcą. Zdaje się, że w Fort Lauderdale.

- Ach tak. - W odróżnieniu od wujka Chrisa, ja wcale nie miałam ochoty oglądać mojego ojca. Już sobie wyobrażałam, co pomyśli o Johnie. Miałam przeczucie, że

spotkanie Johna z tatą będzie wyglądać o wiele gorzej niż z wujkiem Chrisem.

- Gdzie jest teraz Alex, panie Cabrero? - spytał łagodnie John. Chyba wyczuwał, że wujek nie radzi sobie najlepiej.

- Alex? Wyszedł z koleżanką z Nowych Dróg. Z Kaylą. Spojrzałam na niego zdziwiona. Lubiłam Kaylę. Była jedną z moich nielicznych przyjaciółek w Liceum Isla Huesos. Jedną z przyjaciółek? Chyba raczej jedyną...

- Alex bardzo się o ciebie martwi, Piercey - powiedział wujek Chris z przeproszającą miną - ale siedział tu cały dzień i w końcu zapytał, czy nie mógłby wyjść na chwilę, i się zgodziłem. Głupio zrobiłem, wiem, ale jeszcze nie wiedziałem o narkotykach...

- A babcia Pierce? - spytał John, zanim zdążyłam jeszcze raz zapewnić wujka, że Alex nie bierze.

- Poszła do domu odpocząć - odparł wujek Chris, przyglądając mu się z ciekawością. - Miała ciężki dzień. Dlaczego pytasz?

- No pewnie - rzuciłam, nie potrafiąc powstrzymać gorzkiego śmiechu. - Te rany na twarzy bardzo jej dokuczają?

- Hej. - Wujek Chris spojrzał na mnie surowo. A przynajmniej tak surowo, jak potrafił spoglądać, czyli nie za bardzo. Lepiej szło mu oglądanie telewizji. - To jest twoja babcia. Okaż jej trochę szacunku. Nie wiem, co zaszło między wami wczoraj w szkole, ale prawdopodobnie próbowała zrobić to, co dla ciebie najlepsze. Może sądziła, że to twój przyjaciel bierze narkotyki. - Zerknął na Johna. - Nie obraż się, ale jeśli chcesz chodzić z moją siostrzenicą, powinieneś pomyśleć o stryżeniu. Moja matka jest bardzo konserwatywna.

- Nic nie szkodzi - odparł potulnie John. - A co z policją? Czy w domu są jacyś policjanci?

- Hej, dlaczego tak o wszystko wypytyujesz?

- Pierce chciałyby się zobaczyć z mamą - wyjaśnił John. - I wolałbym, żeby nie natknęła się na... żadne przeszkody.

- Ach tak. - Wujek Chris natychmiast znów zrobił się przyjazny. Nietrudno było zrozumieć, jak przez tyle lat radził sobie w więzieniu. - Przed domem stoi radiowóz. Nie mam pojęcia, jakim cudem was nie zatrzymali przy wejściu. Do telefonu jest podpięta taka fikuśna maszyna, żeby nagrać porywaczy, kiedy zadzwonią. Ale ty nie zostałeś porwana, co? Powinniśmy powiedzieć twojemu tacie. Jutro ma tu ściągnąć kogoś z terenowego oddziału FBI w Miami...

- Z FBI? - Zdziwiłam się, że ojciec nie zadzwonił też do swoich kolegów z CIA. - Cudownie. Ale mama jest w domu?

- Powiedziała, że idzie na górę wziąć prysznic - odparł wujek Chris. - Przysięgam, że od kiedy się dowiedziała o twoim zniknięciu, nie robiła nic, tylko się martwiła. Właśnie miałem zamówić chińszczyznę, ale wyrząłem przez okno i zobaczyłem was. No właśnie, chcecie zostać na kolację? Jemy mu-szu.

To było takie w stylu wujka Chrisa - w jednej chwili chciał bić Johna, a w następnej zapraszał go na mu-szu.

- Hm, może. - Wskazałam drzwi tarasowe i spojrzałam pytająco na Johna. Skinął głową. - Zobaczymy, jak to będzie, okej, wujku?

- Fajnie by było - odparł wujek Chris. - Moglibyśmy to wszystko obgadać.

John wszedł za mną do domu; wujek Chris ruszył za nami z miną raczej zaciekawioną niż podejrzliwą.

- Nie cierpię, kiedy w rodzinie są kłótnie - mówił. -Robi się tak nieprzyjemnie...

Chyba powinnam uznać to za fart, że po przyjeździe do domu natknęłam się akurat na wujka Chrisa, a nie na innego dorosłego. Nie wiem, czy to przez te wszystkie lata, które spędził poza głównym nurtem życia (wciąż nie miał pojęcia, jak się esemesuje ani co to jest Google), czy też sam z siebie miał tak dziecinną osobowość. Kiedy poszedł siedzieć, ja dopiero co się urodziłam.

Na parterze nie było nikogo oprócz nas. Ale słyszałam wodę szumiącą w łazience przy sypialni mamy.

Sporo się tu zmieniło, od kiedy zniknęłam. Wszędzie leżały sterty ulotek o moim zaginięciu. W salonie, który zwykle był pedantycznie czysty, panował bałagan. Gospościa mamy dostałaby zawału na widok tych wszystkich zgniecionych poduszek na kanapie i kubków, i filiżanek stojących bez podkładek na stoliku.

Ale największe zmiany zaszły w garażu. Kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam, że staranny stosik płyt sklejk, którą Seth Rector i jego kumple przynieśli tu na przechowanie, zniknął. Zniknęła też farba i wszystkie inne rzeczy potrzebne do budowania trumny.

- Niedobrze - stwierdziłam, rozglądając się po meblach ogrodowych, zgromadzonych w garażu, by nie porwał ich huragan. Myślałam jeszcze, że może coś przegapiłam. Ale nie.

- Co jest niedobrze? - spytał wujek Chris. - Piercey, w co ty się wpakowałaś?

Nie było powodu, żeby mu nie powiedzieć. I on, i mama chodzili do Liceum Isla Huesos. Widziałam wszystkie ich sportowe trofea, które wciąż stały na wystawce w skrzydle administracji. Wujek wiedział wszystko o Nocy Trumien,

bo miała związek z futbolem, a on należał do jednej z najlepszych drużyn w historii Isla Huesos.

Ale wujek Chris miał już dość zmartwień jako podejrzany o zamordowanie Jade i tak dalej.

Więc powiedziałam tylko:

- To nic ważnego. Seth Rector i jego koledzy poprosili o dostęp do garażu, żeby przechować tu parę rzeczy, a teraz ich nie ma. Widocznie je zabrali. I tyle.

A jednak powiedziałam coś nie tak. Wujek Chris natychmiast się najeżył. Wyglądał jak mama niedźwiedzica, kiedy turyści drażnią jej dzieci.

- Przechować parę rzeczy? - powtórzył takim tonem, jakby nie wierzył własnym uszom. - Pozwoliłaś Sethowi Rectorowi przechować parę rzeczy w domu twojej matki? Co to były za rzeczy?

Przełknęłam ślinę. Wujek Chris nigdy nie krzyczał na mnie tyle razy w ciągu jednego dnia... prawdę mówiąc, nigdy na mnie nie krzyczał. Czułam się paskudnie.

- Trumnę najstarszych klas - pisnęłam słabym głosem. Chciałam go zapewnić, że miałam bardzo ważny powód,

by zrobić coś tak głupiego... że od śmierci mojej przyjaciółki Hannah wyznaczyłam się na kogoś w rodzaju stróża bliskich mi osób, w tym również jego syna Alexa.

Ale wujek Chris nie dał mi powiedzieć ani słowa na swoją obronę.

- Pierce, wiesz, co zrobili młodszy uczniowie z trumną, kiedy twoja mama kończyła liceum? - spytał mnie z przejęciem. - Podpalili ją. I dom, w którym stała, też się zajął. Spalił się do gołej ziemi.

Spuściłam wzrok, zbyt zawstydzona, by spojrzeć mu w oczy. Podobnie jak zbrodnia Johna, za którą skazano go na posadę strażnika zmarłych z Isla Huesos, przestępstwo

wujka Chrisa, przez które dostał dwudziestoletni wyrok, nigdy nie było przedmiotem rozmów... a przynajmniej w naszej rodzinie. Wiedziałam jednak, że było to coś poważniejszego niż przypadkowe podpalenie czyjegoś domu.

- Więc może - powiedział cicho John, który stał oparty o futrynę drzwi, z rękami założonymi na piersi - to dobrze, że ta trumna stąd zniknęła.

Spojrzałam na niego. Uniósł czarną brew. Nie potrafiłam się zorientować, czy żartuje, czy mówi poważnie.

- No tak - zgodził się wujek Chris, też chyba niezbyt przekonany. Zaczął szukać czegoś w kieszeniach džinsów. - To się jeszcze okaże. Ale powiedz mi, Pierce. - Nie byłam już jego Piercey. To zabolalo. - Czy Alex też w tym bierze udział? W tej Nocy Trumien?

- Hm. - Czułam, że nie mam wyboru. Musiałam powiedzieć mu prawdę. - No więc wiedział, że rzeczy do budowy trumny są tutaj. Alex z jakiegoś powodu bardzo nie lubi Setha. - Tego powodu nietrudno się domyślić, tylko nie chciałam tego mówić na głos przy wujku Chrisie. Seth Rector, przystojny przewodniczący ostatnich klas i syn najbogatszego człowieka na Isla Huesos miał wszystko, włącznie z nowiutkim błyszczącym fordem F-150, którego dostał na urodziny. Alex Cabrero, świeżo zapisany do Nowych Dróg i syn byłego więźnia, nie miał nic. Jego samochód był kupą złomu, a jego babka Furia wiecznie się odgrażała, że mu go zabierze, by nie musieć za niego płacić. - Może to on zabrał rzeczy, żeby odegrać się na Secie. A jeśli tak, to Seth i reszta nieźle się wściekną, kiedy się dowiedzą...

Może wściekną się na tyle, by wsadzić Alexa do nowej trumny.

Zanim zdążyłam dokończyć zdanie, wujek wciskał już guziku telefonu, który wyciągnął z kieszeni.



- Dzwonię do Alexa - powiedział. Ale nie wyglądał na rozgniewanego. Wydawał się zrezygnowany, jak ktoś, kto dowiedział się, że zostało mu parę miesięcy życia. Był blady i wciąż przeczesywał włosy palcami. Sterczały mu na wszystkie strony; po pierwsze, były sztywne i gęste, a po drugie, ostrzygła go babcia. Wielki błąd.

John położył mi dłoń na ramieniu.

- Idź do mamy - szepnął mi do ucha.

- Chcę wiedzieć, czy Alexowi nic nie jest - odszepnęłam, przyglądając się uważnie wujkowi Chrisowi. Wyglądało na to, że Alex nie odbiera.

- Ja się tym zajmę - odparł John. - Idź. Wiedziałam, że ma rację. Odwróciłam się i weszłam

po schodach na piętro; po drodze usłyszałam jeszcze, jak wujek mówi:

- Alex? Tu tata.

Ramiona oklapły mi z ulgi. Więc chociaż ta sprawa była załatwiona. Wujek Chris każe Alexowi wracać do domu i nie będę musiała się już o niego martwić... na głowie będę miała tylko swoje nowe życie jako królowa Świata Podziemi. Cudownie.

Na górze usłyszałam, że prysznic w łazience mamy wciąż szumi. Tata i ja zawsze żartowaliśmy, że jak na tak proekologiczną osobę, mama marnuje strasznie dużo gorącej wody. Brała najdłuższe prysznice świata.

Stałam w drzwiach swojego pokoju i rozejrzałam się po nim - pewnie ostatni raz w życiu. Miałam jedyną okazję wziąć wszystko, co chciałam ze sobą zabrać do Świata Podziemi.

Co trzeba spakować, kiedy wyjeżdża się na wieczność? Moje spojrzenie błądziło po pokoju. Jedyną biżuterią, jaka miała dla mnie sentymentalną wartość, był wisiorek, który

nosiłam na szyi. Nigdy nie kolekcjonowałam pluszaków, designerskich ciuchów, butów ani niczego w tym rodzaju. W zasadzie mój pokój był pusty, jeśli nie liczyć laptopa i książek na półkach. W Świecie Podziemi nie było Internetu, a John już zapowiedział, że dostarczy mi wszystkie książki, jakich potrzebowałam.

Podeszłam do szafy i zajrzałam do środka. Była tu jedna rzecz... biała sukienka, którą miałam na sobie na przyjęciu powitalnym wydanym przez mamę z okazji mojego przyjazdu na Isla Huesos. Johnowi tak bardzo się w niej podobałam, że poprosił, bym ją włożyła na naszą pierwszą randkę... randkę, której nie mieliśmy, bo Jade została zamordowana, a potem ja o mało nie zginęłam z rąk babci.

Wyjęłam sukienkę z szafy.

Moje spojrzenie padło na zdjęcie w srebrnej ramce, stojące na nocnej szafce. Ja, mama i tata w szczęśliwszych czasach, jeszcze przed rozwodem, przed wypadkiem, który, jak teraz wiedziałam, wcale nie był wypadkiem.

Podniosłam je. Postanowiłam, że wezmę tylko sukienkę i zdjęcie. Prawdę mówiąc...

Usiadłam na łóżku i otworzyłam torbę z książkami. To był dobry moment, by pozbyć się wszystkich rzeczy, których nie potrzebowałam, które tylko by mi ciążyły w nowym życiu, jak na przykład zeszyty czy podręcznik ekonomii. Nie potrzebowałam też pudełeczka na leki. Tuzin doktorów, u których byłam po wypadku, powtarzało mi, że muszę brać pigułki łagodzące skutki tego, co zrobiła mi babcia - pigułki na przebudzenie, pigułki na sen, pigułki na bóle głowy powodowane przez te poprzednie.

Ale od kiedy znalazłam się w Świecie Podziemi, nie wzięłam ani jednej i jakoś nie miałam problemu z przebudzeniem ani zasypianiem.

Może tak naprawdę wcale nie potrzebowałam brać pigułek, tylko odnaleźć swoje miejsce w świecie... i to w zupełnie innym świecie niż ten.

Grzebiąc w skórzanej torbie, zorientowałam się, że ktoś jeszcze dorzucił mi klamotów do tych, które ze sobą dźwigałam. Co wyjaśniało, dlaczego torba wydała mi się trochę cięższa, kiedy pan Smith podał mi ją na podwórku za swoim biurem.

Ze zdumieniem wyciągnęłam z torby worek z ziarnem dla ptaków, który znalazłam w kuchence biura. Ja go tam nie włożyłam. Musiał to zrobić pan Smith.

Ale to nie wszystko. Oprócz ziarna była też książka.

Mała, ale gruba, w brązowej twardej oprawie, po której widać było, że ma swoje lata. Tytuł wypisany był łuszczącymi się złotymi literami: *Historia Wyspy Kości*. Kiedy ją otworzyłam, ze stronic koloru sepii uniósł się zapach odrobinę przypominający waniliowe wafelki - zapach, który uwielbiałam, bo przypominał mi wycieczki do biblioteki, kiedy byłam mała, do działu literatury dziecięcej, na czytanie bajek. Był to zapach książek.

No tak, pan Smith mówił przecież, że da mi książkę o „Liberty”. Widocznie schował mi ją do torby razem z workiem ziarna, kiedy poszedł zadzwonić po karetkę. Pewnie uważał się za Mojrę - w swoim przekonaniu robił coś dobrego.

*Historia Wyspy Kości* miała czterysta pięćdziesiąt sześć stron.

- Serio? - rzuciłam załamana, zapominając, gdzie jestem. - Nie mógł mi dać skróconej wersji?

- Pierce?

To była moja mama.

*Ja znowu: „Mistrzu, co im to dokucza,  
Że tak biadają głosami rozpaczy?”  
A on wysłuchał mię, i tak poucza (...)*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń III

Głos mamy dobiegał z drugiej strony korytarza.

Dotarło do mnie, że nie słyszę już płynącej wody. Zerwałam się z łóżka i wybiegam na korytarz. Drzwi pokoju mamy były uchylone; przez szparę widziałam, że ma na sobie miękki, puchaty szlafrok, który dałam jej ostatnio na Dzień Matki. Serce mi się ścisnęło, kiedy go zobaczyłam, i musiałam się powstrzymać, by nie pobiec do niej i nie rzucić się jej w ramiona.

Bo jej następne słowa wmurowały mnie w ziemię.

- Zack, jak możesz mówić takie rzeczy? - spytała mama wzburzonym głosem, wyciskając w ręcznik końce swoich długich ciemnych włosów. - Nigdy nie uwierzę, że Pierce mogłaby uciec, i to jeszcze z chłopakiem.

Rozmawiała przez telefon. Z moim ojcem. A właściwie kłóciła się z nim. O mnie.

Czyli wszystko było po staremu. Ich kłótnie o mnie, począwszy od dnia mojego wypadku, za który mama, nie wiedząc czemu, zupełnie irracjonalnie obwiniała tatę (choć umarłam wyłącznie z własnej winy. Ach, i jesz-

cze z winy babci.) doprowadziły do rozpadu ich małżeństwa.

Ale skąd mój tato wziął pomysł, że uciekłam?

- Kiedy? Kiedy to było? - spytała mama, siadając na łóżku. Wyglądała na bardzo poruszoną. - Kiedy Pierce powiedziała ci, że chce wyjechać z Isla Huesos?

Serce na moment mi zamarło. Boże, oczywiście... przecież parę wieczorów temu zadzwoniłam do taty, kiedy zobaczyłam sprzęt do budowy trumny w naszym garażu... i dowiedziałam się prawdy o swoim naszyjniku.

I o Johnie.

Ale to było przedtem, kiedy byłam nieszczęśliwa, przytłoczona wszystkim, i - mogę się przyznać, co mi tam -śmiertelnie przerażona. Teraz wciąż byłam przerażona, jasne, i trochę przytłoczona, i z całą pewnością nie w każdej chwili czułam się szczęśliwa.

Ale nie chciałam już uciekać z Isla Huesos... ani od Johna.

Na szczęście mama chyba była po mojej stronie.

- Zack, to był jej pierwszy dzień w całkiem nowej szkole - powiedziała do słuchawki. - To naturalne, że zadzwoniła i zapytała, czy może wrócić do domu. Nawet terapeuci z Nowych Dróg mówili, że może się to zdarzyć. Każdy uczeń pierwszego dnia w nowej szkole czuje się niepewny i nieszczęśliwy. Ale to nie znaczy, że Pierce uciekła. No i co z tym chłopakiem z nagrania kamer monitoringu? Nie wyglądało na to, że szła z nim z własnej woli. W dodatku dał pięścią w twarz mojej matce.

Ojciec widocznie rzucił jakąś barwną uwagę na ten temat - on i babcia nigdy za sobą nie przepadali - bo usłyszałam gwałtowny wdech mamy i jej sarkastyczną odpowiedź:

- Tak, no cóż, rozumiem, że sam zawsze chciałeś dać pięścią w twarz mojej matce, ale to nie znaczy, że Pierce by się z kimś takim zadawała. Widziałeś go? Wiem, że zdjęcie jest ziarniste, ale on wygląda na jednego z tych meta-logotyków, czy jak oni się tam nazywają. Cały ubrany na czarno, długie włosy...

Poczułam się urażona, że mama opisała mojego chłopaka w taki sposób. John był władcą Świata Podziemi. Niby jak miał się ubierać?

- A poza tym, dlaczego dopiero teraz mówisz mi o tym telefonie od niej? - spytała mama.

Przełączyła na głośnomówiący. Widocznie uwaga taty

o jej matce tak bardzo ją wzburzyła, że musiała robić coś innego, słuchając, co ojciec ma jeszcze do powiedzenia. Zaczęła energicznie wycierać włosy ręcznikiem. Choć wołała myśleć, że odziedziczyłam swoją nadpobudliwość psychoruchową po tacie, to przecież ona w ogólniaku zdobyła wszystkie możliwe nagrody sprinterskie, tenisowe

i w dziesięcioboju. Doradca szkolny powiedział mi kiedyś, że bardzo wielu wybitnych ludzi miało ADHD. Po prostu nauczyli się ogniskować tę swoją niespożytą energię na konkretnej dziedzinie, tak jak moja mama.

- ...bo nie chciałem cię denerwować. - Pokój wypełnił głos ojca, tubalny, silny i trochę udręczony, jak zawsze. - Wiem, jak bardzo się starałaś, żeby ją z tego wyciągnąć, Deboro. Ale nie ma po nich śladu, nikt ich nie widział, nie było żądania okupu, nic. Jeśli dodać do tego jej telefon do mnie z pytaniem, czy może wrócić do domu, i fakt, że zawsze trochę mętnie tłumaczyła się z tej historii z Muellerem...

Mama wyprostowała się znad ręcznika z osłupiałą miną.

- Mówisz o tym jej żalonym nauczycielu, z którym biedna Hannah Chang miała romans? Zack, to było wieki temu. Co to ma do rzeczy?

- Policja nigdy nie uwierzyła w wersję Muellera, że to Pierce złamała mu rękę. - Głos taty był prawie bez wyrazu. .. ale słyszałam w nim nutę niepokoju. - Facet ma metr osiemdziesiąt wzrostu i dziewięćdziesiąt kilo wagi. Niby jak przeciętna licealistka miała pokonać trzydziestoletniego mężczyznę tych rozmiarów i wyjść z tego bez jednego zadrapania? Gliniarze zawsze uważali, że był w to zamieszany chłopak.

- Chłopak? - Mama się roześmiała. Poczulałam się trochę urażona jej pełnym niedowierzania tonem. - Pierce nie ma chłopaka, Zack.

- To oczywiste, że nigdy się do tego nie przyzna - odparł tato - bo chce go chronić, ale musimy spojrzeć w oczy faktom. Być może zawsze w grę wchodził chłopak.

Słyszając to, mama upuściła ręcznik, klapnęła na łóżko i podparła głowę dłonią.

- O Boże - jęknęła.

Miałam ochotę wpaść do pokoju i krzyknąć: To prawda! Mam chłopaka! Ale on nie jest żadnym metalogotykiem, czy jak to nazwałaś. Jest opiekunem zmarłych, więc owszem, nie jest ideałem, ale kto jest? Kiedy już go poznacie, bardzo go polubicie.

Ale jak miałam to zrobić? Tym bardziej, że przecież mówiłam im o Johnie, kiedy tylko przywrócono mnie do życia, i nie był to zbyt pochlebny opis. Powiedziałam im, że był tam chłopak - koszmarny chłopak - który próbował mnie uwięzić w Świecie Podziemi. Rodzice oczywiście pomyśleli, że zwariowałam, i posłali mnie do miliona

psychiatrów, którzy również brali mnie za wariatkę... tyle że oni nazywali to trochę grzeczniej: śnieniem na jawie.

Więc co rodzice sobie teraz pomyślą, jeśli im powiem, że jestem w tym chłopaku zakochana? To dopiero było szaleństwo. Och, dlaczego nie trzymałam wtedy buzi na kłódkę?

- Kojarzysz, że policja stworzyła portret pamięciowy tego chłopaka, który rzekomo uderzył twoją matkę - ciągnął tato. - Moi informatorzy twierdzą, że nikt go nie rozpoznaje. On nie jest z wyspy... a przynajmniej nie chodzi do liceum ani do miejskiego college'u, nie składał ostatnio żadnych wizyt w areszcie i nie był widziany w żadnej z okolicznych melin.

- Co to oznacza? - spytała moja matka, skołowana.

- To oznacza, że wszystko pasuje - odparł tato. - Może Pierce poznała go w Connecticut, kto wie gdzie, i przyjechał za nią na Florydę. A kiedy nie zaaklimatyzowała się w tej publicznej szkole, do której ją posłałaś... ostrzegłem cię przed tym, Deboro... postanowiła z nim uciec. I teraz ukrywają się we dwójkę w jakimś tanim motelu, bo wiedzą, w jakie kłopoty się wpakowali. To jedyny logiczny scenariusz.

Ukrywam się w motelu z chłopakiem? Moi rodzice naprawdę myśleli, że mogłabym zrobić coś tak absolutnie niedojrzałego, i, przepraszam za wyrażenie, tak się zeszmacić?

- Posłuchaj mnie - ciągnął mój ojciec. - Jeśli to prawda, to w tej samej sekundzie, kiedy Pierce się pojawi, wysyłam ją do tej szkoły z internatem. I nie obchodzi mnie, co powiesz. Tej w Szwajcarii, którą ci pokazywałem, pamiętasz broszurę? To by się teraz nie działo, gdybyś pozwoliła mi ją tam posłać, tak jak chciałem.

- Teraz zdaję sobie z tego sprawę - zgodziła się mama... i było to z jej strony ogromne ustępstwo. Rzadko



przyznawała, że tato mógł w czymkolwiek mieć rację. -A gdzie ty w ogóle jesteś?

Rozległy się stłumione odgłosy, jakby ktoś się wychylał, by wyrzec przez okno samochodu... albo limuzyny. W końcu tato powiedział:

- Dwudziesty piąty słupek kilometrowy. Więc będę tam za jakieś pół godziny.

- Och, Zack - powiedziała mama z przygnębioną miną. - Pospiesz się. W tej chwili mogę tylko mieć nadzieję, że naprawdę uciekła z chłopakiem, a nie leży gdzieś zamordowana pośród mangrowców. Bo jeśli tak... to nie wiem, jak będę dalej... jak...

- Wiem. - Głos taty się zmienił. Mówił teraz tonem, którego nie słyszałam u niego od bardzo, bardzo dawna. Był niemal... czuły. - Ja też bym wolał tę pierwszą opcję, Debbie.

Zobaczyłam, że mama, zdumiona, odwraca głowę w stronę telefonu. Nikt nie nazywał jej Debbie. Nie cierpiała być nazywana Debbie. Tylko ojcu pozwalała tak do siebie mówić, było to pieszczotliwe zdrobnienie tylko dla nich, w czułych chwilach.

Ale tato nie nazywał jej Debbie od... hm, nie pamiętałam ostatniego razu. Od czasów przed moim wypadkiem, kiedy zaczęły się kłótnie.

Mama ze łzami w oczach podeszła do telefonu, wyłączyła głośnik i przyłożyła słuchawkę do ucha, wreszcie skupiając całą uwagę na rozmowie.

- Och, Zack - powiedziała i zaczęła mruczeć czułe słówka, które nie były przeznaczone dla moich uszu. Znaczący, cała ta rozmowa nie była przeznaczona dla moich uszu, ale słowa, które wypowiadała teraz, były bardzo intymne.

Przekradłam się powoli do swojego pokoju, uważając, by nie wydać dźwięku, wdzięczna za grube chodniki - ręcznie tkane przez kobietą spółdzielnię rzemieślniczą - które dekorator mamy sprowadził aż z Kabulu.

Więc tak to wyglądało. Rodzice byli o włos od ponownego zejścia się, zbliżali się do siebie przez wspólne zmartwienie. Mogłam wpaść do pokoju z radosnym: „A kuku! Wróciłam!” i to wszystko zepsuć.

Mogłam też pozostać zaginiona, skoro rodzice i tak planowali mnie wysłać do szkoły w Szwajcarii, i pozwolić, by wszystko samo się jakoś ułożyło.

Wolałam tę drugą możliwość.

Wujek Chris już mnie widział. Ale wujek Chris nie był taki jak inni dorośli. Nie żądał wyjaśnień, tak jak moi rodzice, bo wujek był zbyt skrzywiony przez lata więzienia, by myśleć jak normalni rodzice.

Bardzo, bardzo chciałam wejść do pokoju mamy, uściskać ją mocno na pociechę i powiedzieć jej, że wszystko będzie dobrze. Ale wiedziałam - tak jak przewidział John - że zechce mnie zatrzymać, a ja nie mogłam zostać. Nie mogłam jej też powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, bo wcale tego nie wiedziałam.

Więc może lepiej dla wszystkich - skoro ojciec przyjedzie za pół godziny i skoro rodzice tak dobrze się dogadują - jeśli pozostanę zaginiona.

Podeszłam więc do swojego łóżka, otworzyłam zeszyt i napisałam krótki list.

*Mamo, przepraszam za wszystko. Wyjaśnienia byłyby zbyt skomplikowane, ale jestem cała i zdrowa, i jestem z kimś, kogo kocham. Proszę, pozdrów ode mnie tatę i po-*

*wiedz mu, że to ja uderzyłam babcię. Miał rację co do niej. Powinnaś go posłuchać. To kłamczucha, i nie jest taka wspaniała, jak ci się wydaje. Kocham Was oboje i tęsknię. Bądźcie szczęśliwi.*

*Buziaki Pierce*

*PS Mój chłopak ma na imię John i jest bardzo miły.*

Wiedziałam, że postępuję okropnie, zostawiając list, zamiast pożegnać się osobiście. Ale czułam też, że takie pożegnanie będzie mniej okrutne... i szybsze. Długie wyjaśnienia - na przykład na temat babci - byłyby bezcelowe. Mama była naukowcem. Wierzyła w rzeczy, które mogła przeanalizować, takie jak zwyczaje godowe i wędrówki ptaków. Drapieżnictwo i konkurencja, zagrożenie i wymieranie gatunków - oto sprawy, które rozumiała.

Tego nie zrozumiałaby nigdy.

Zostawiłam list na środku łóżka, żeby na pewno go znalazła, po czym upchnęłam sukienkę i zdjęcie w ramce do torby. Kiedy skradałam się już po schodach na dół, wpadłam na Johna, który szedł po mnie na górę.

Przyłożyłam palec do ust i wskazałam pokój mamy. Drzwi wciąż były uchylone. Zapadł już wieczór i parter domu pograżył się w ciemności. Mama zapaliła w sypialni lampę, która rzucała ciepły pasek żółtego światła na czerwone afgańskie chodniki.

- I jak poszło? - szepnął John.

- Nie potrafiłam spojrzeć jej w oczy - odszepnęłam. -Zostawiłam list. Myślę, że jakoś to przetrwa. - Wiedziałam, że tato się o to zatroszczy. - Wujek Chris znalazł Alexa?

John kiwnął głową i wziął mnie za rękę; dżentelmeński odruch kazał mu sprowadzić mnie po schodach. Pewnie

zapomniał, że nie jestem ubrana w długą suknię z trenem, o którą mogłabym się potknąć.

- Tak - powiedział. - Jest na werandzie, jeszcze z nim rozmawia przez telefon. Zdaje się, że będziemy musieli po niego pójść. Nie chce wracać do domu.

Zatrzymałam się na schodach.

- Jak to, Alex nie chce wracać do domu?

- Twój wujek powiedział mu, że przyszłaś, i że chce, żeby wrócił do domu. - John patrzył na mnie ze śmiertelnie poważną miną. - Wspomniał też, że dzisiaj po północy będzie bardzo niebezpiecznie z powodu sztormu. - Musiałam siłą powstrzymać uśmiech. Wujek Chris miał obsesję na punkcie pogody. - Ale twój kuzyn powiedział ojcu, że nie chce wracać do domu - ciągnął John. - A twój wujek na to, że w porządku.

- W porządku? - Pokręciłam głową. - Niby dlaczego? John wzruszył ramionami; wciąż miał tę ponurą minę.

- Mówi, że nie chce go rozgniewać. Coś zaczęło mi świtać.

- Wujek Chris długo siedział w więzieniu. Ma poczucie winy, że przegapił dzieciństwo Alexa. Nie chce wyjść na złego ojca...

- Ma ciekawy sposób, żeby to okazywać - odparł kwaśno John. - Tak czy inaczej, twój kuzyn mówi, że jest na...

Hope wybrała sobie ten moment, żeby się pojawić -sfrunęła nie wiadomo skąd z hałaśliwym furkotem skrzydeł i zaczęła latać przed naszymi twarzami jak wściekły szerszeń.

Wyciągnęłam ręce i delikatnie chwyciłam ją w dłonie, zaskoczona, że w ogóle dała się złapać i się nie szamotała. Tylko gorączkowy łomot jej serduszka pod delikatnymi żebrami zdradzał jej poruszenie całą tą sytuacją.

Coś było nie w porządku. Bardzo nie w porządku. Dopiero kiedy usłyszałam u stóp schodów aż nazbyt dobrze znany głos, zrozumiałam, o co chodzi.

- Pierce - powiedziała moja babcia. Jej głos był pełen jadu.

Poczułam, że John odruchowo zacisnął palce na moim ramieniu. Nie musiałam patrzeć na naszyjnik, by wiedzieć, że zrobił się tak czarny jak serce pulchnej staruszki stojącej przy balustradzie, która w jednej ręce ścisnęła torebkę, a w drugiej zapasowe klucze do naszego domu.

- Babcia. - Poczułam, że serce Hope zatrzepotało panicznie pod moimi palcami. Gołębica zaczęła się szamotać, chcąc uciec jak najdalej od zła, które wyczuwała wokół siebie...

...a może od strachu, który buchał ze mnie. Frontowe drzwi za plecami babci stały otworem. Nie miałam pojęcia, dlaczego nie usłyszeliśmy, jak wchodziła. Ale nie zamierzałam uciekać.

- Kiedy usłyszałam, że wróciłaś, pomyślałam: nie, nawet ona nie byłaby tak głupia, by przyjść w najbardziej oczywiste miejsce, w którym każdy by jej szukał - powiedziała babcia. - Ale nie rozczarowałam się. To jedyna zaleta głupiej wnuczki. Jest taka przewidywalna.

- Lepiej się stąd wynoś - rzuciłam ostrzegawczo, mrużąc oczy. - Tato już tu jedzie, a wiesz, co on o tobie myśli. W życiu nie uwierzy w to wszystko, co o mnie opowiadasz.

- Nie? - Jej usta wygięły się w uśmiechu, który wszyscy inni nazwaliby anielskim... ale ja nie dałam się nabrać. -A jak tam twój chłopak? - Jej jaszczurcze spojrzenie padło na Johna. - Owinęła cię sobie wokół palca, co? Co zrobiła, rozplakała się? Więc oczywiście pozwoliłeś jej na wszystko, czego chciała, czyli...? odwiedziny u mamusi. - Roześmiała

się szyderczo i sięgnęła do swojej ogromnej torebki. - Ale dzięki temu jest jeszcze zabawniej.

Miała opatrunek na policzku, w miejscu, gdzie ją uderzyłam. W półmroku holu niewiele było widać, ale skóra wokół opatrunku wydawała się czerwiejsza niż na drugim policzku - przypominało to raczej zbyt grubą warstwę różu niż siniak po mojej pięści. Wstrętna oszustka.

- Nie zbliżaj się - ostrzegł John, przyciągając mnie do siebie.

- Pierce - powiedziała babcia, posyłając mi zbulwersowane spojrzenie.  
- Co jest nie tak z tym twoim chłopakiem? Jest taki gwałtowny! Ja tylko próbowałam ci przemówić do rozumu... i nie po raz pierwszy. Całe szczęście, że ci mili policjanci siedzą w radiowozie przed domem, więc kiedy się na mnie rzuci, co zapewne zamierza zrobić, a ja spróbuję się bronić, usłyszą krzyki i przybiegną go aresztować... a ty, Pierce, cóż, obawiam się, że spudłuje, i oberwie się tobie. To wojskowy sprzęt. Podobno pieczenie mija po dwudziestu czterech godzinach. Ale jest nieznośne.

Wyciągnęła z torebki pojemnik z gazem pieprzowym i wycelowała dyszę prosto w moją twarz.

Nim zdążyła przycisnąć spust - i zanim John zdążył mnie porwać w bezpieczne miejsce - do salonu wszedł wujek Chris, wołając:

- Hej, widzieliście ptaka? Jak słowo daję, otworzyłem drzwi, żeby wejść, i do domu wpadł ptak. - Zobaczyliśmy jego zwalistą sylwetkę. Zatrzymał się, widząc nas na schodach. - O, tu jest. - Zauważył Hope w moich dłoniach. -Brawo, Piercey, złapałaś go. - Nagle dostrzegł babcię. -Mamo, co ty tu robisz? - spytał zaciekawiony. - Myślałem, że poszłaś do domu odpocząć.

- Tak było - odparła babcia głosem słabej starej kobiety. Szybko schowała gaz do torebki. - Ale usłyszałam, że Pierce wróciła. Nie do wiary, że nie zadzwoniłeś do mnie od razu i nie zawiadomiłeś o tak radosnym wydarzeniu. Alleluja.

Z piętra dobiegł nas głos mamy.

- Christopher? To ty? Do kogo mówisz? Rozmawiam przez telefon.

Pasek żółtego światła, padający z drzwi pokoju mamy, poszerzył się. Szła korytarzem w stronę schodów, cicho stąpając bosymi stopami po grubych chodnikach.

To, co stało się w następnej chwili, można chyba najtrafniej opisać jako eksplozję... tyle że nie było ognia ani żaru, więc nikomu nie stała się krzywda.

Po fakcie pewnie zwalili wszystko na spięcie spowodowane uderzeniem pioruna. Ale już mnie tam nie było, więc nie wiem. Kiedy babcia krzyknęła:

- Pierce wróciła! - mama spytała zdumiona:

- Pierce? Gdzie? - i uniosła rękę, by zapalić ozdobny żyrandol ze srebra i żelaza, wiszący w holu; w tej samej sekundzie John objął mnie mocno...

I hol wypełnił jaskrawy błysk, który mnie oślepił i wystraszył mamę tak, że aż krzyknęła.

*Tak racz nam wykryć, przez jakie przedziwa  
Duch wasz się wplata w te zakłete sęki,  
I czyli kiedy więzy swe rozrywa?*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń XIII

Kiedy znów otworzyłam oczy, stałam obok Johna w ciemnym, cichym zaułku.

Po obu stronach mieliśmy wysokie drewniane płoty, zza których wyglądały tylko dachy domów. Przez szczyty płotów przelewały się tak gęste kaskady bugenwilli, jakich nigdy nie widziałam. Tworzyły kolorowe tęcze żółtych, czerwonych i różowych kwiatów wzdłuż całej uliczki. Zapach jaśminu jeszcze bardziej zagęszczał ciepłe, wilgotne powietrze, a sine, pełne wody chmury pędziły nad naszymi głowami. Niemal czułam smak deszczu. Żaby kumkały hałaśliwie, grały cykady, a gdzieś kawałek dalej słyszałam muzykę.

- Co to było? - spytałam oszołomiona.

Hope, by pokazać, że też wcale jej się nie podobało to, co zrobił John, kilka razy gwizdnęła ze złością i wbiła mi w skórę pazurki, aż z krzykiem otworzyłam dłonie i ją wypuściłam. Odfrunęła, ale niedaleko. Zobaczyłam, że usadowiła się na szczycie drzewa poincjany, którego gałęzie wychylały się z czyjegoś ogródka i sięgały przez uliczkę. Bez trudu ją dostrzegłam, bo była biała, a poincjana zrzu-



ciła już prawie wszystkie kwiaty. Zaścielały zaułek jak wędnący dywan. Hope zaczęła ze złością czyścić piórka, by okazać nam swoje oburzenie z powodu tak obcesowego potraktowania.

John uniósł brwi, robiąc skruszoną minę... ale w jego oczach nie widziałam ani śladu skruchy.

- Przepraszam - rzucił bez zająknięcia. - Przyznaję, że była to tandetna magiczna sztuczka. Ale nie mogłem pozwolić, żeby twoja mama zobaczyła, jak po prostu znikamy jej z oczu. Z pewnością jest już wystarczająco wytrącona z równowagi.

- To jest nas dwie - odparłam, wciąż jeszcze roztrzęsiona po bliskim spotkaniu z babcią i po ratunkowej akcji Johna. Miejsce, gdzie zadrapała mnie Hope, zaczęło szczytać. Rozejrzałam się po uliczce, zastanawiając się, gdzie jesteśmy... i jak szybko tym razem znajdą nas Furie.

- Pierce - powiedział John odmienionym głosem. Dziwnie miękkim. Chwycił moją twarz w obie dłonie i spojrzał mi w oczy. - Przepraszam. Nie powinienem był słuchać rady pana Smitha i zabierać cię do matki. Pan Smith chciał dobrze, ale w tych okolicznościach twoja babcia miała trochę racji... Powinienem był wiedzieć, że to pierwsze miejsce, w którym Furie będą cię szukać, jak tylko się dowiedzą, że wróciłaś.

Pomyślałam o podsłuchanej rozmowie rodziców, o tym, jak głos mamy zmiażdżył, kiedy prosiła go, żeby się pospieszył, i jak on nazywał ją Debbie. Od lat nie słyszałam, żeby rozmawiali ze sobą tak czule.

- Było warto - powiedziałam wzruszona. John opuścił ręce, wciąż patrząc mi w oczy.

- W takim razie cieszę się. Ale i tak mi przykro, że się z nią nie pożegnałaś. Zdajesz sobie sprawę, że twój

wujek opowie babci o naszej wizycie... również o tym, że szukamy Alexa?

Kiwnęłam głową i wzdrygnęłam się lekko, i to nie tylko z powodu błyskawicy, która rozświetliła chmury nad drutami telefonicznymi.

- Gdzie właściwie jesteśmy? - spytałam, odruchowo unosząc skaleczoną dłoń do ust.

- Na Festynie Trumien - odparł John. - Zabawa jest na ulicy, za rogiem. Twój wujek twierdzi, że Alex jest właśnie tutaj. Mam nadzieję, że go znajdziemy i przekonamy do rezygnacji z wszelkich planów związanych z trumną, odstawimy go do ojca, zanim twoja babcia roztrąbi na całe miasto, gdzie jesteśmy, a potem wrócimy do domu. Ale nie róbmy sobie wielkich nadziei. Pokaż rękę.

- To nic - zapewniłam, odsuwając dłoń od ust. Trochę za bardzo bolało jak na tak małe skaleczenie. - To tylko zadrapanie. - Ale w głowie miałam tylko jedno słowo: dom. John nazwał domem Świat Podziemi, gdzie teraz mieszkałam... z nim. Serce zaczęło mi nieprzyjemnie mocno łomotać pod zamkiem sukienki.

Przecież wszystko jest w porządku, mówiłam sobie. Podoba mi się tam. Nie ma tam bugenwilli, ale są czarne lilie i grzyby. Jest zimno, ale zawsze można usiąść przy ogniu. Tylko że...

Silny podmuch wiatru poruszył bugenwillą i zafurkotał moją sukienką. Przez moment muzyka dobiegająca z ulicy brzmiała głośniejsz. Hiszpańska muzyka, pulsująca życiem i energią.

Całkowite przeciwieństwo tego, co czekało mnie po drugiej stronie krypty Johna.

- Pierce - powiedział i pociągnął mnie za rękę. - Pokaż mi to.

Poddałam się. Nie wiedziałam nawet, jakim cudem w gęstniejącej ciemności wypatrzył drobne różowe zadraśnięcie. Latarnie w drugim końcu zaułka zapaliły się, ale ich blask do nas nie docierał. John znalazł ranę i lekko przesunął po niej kciukiem. Przepęłniło mnie dziwne ciepło... niemęczące, przytłaczające ciepło dusznego powietrza, ale przyjemne mrowienie, które zaczęło się w dłoni i powoli rozeszło w górę, po rękę. Ranka nie zniknęła, ale przestała boleć.

- Jak to zrobiłeś? - szepnęłam zadziwiona.

- Ciągle ci powtarzam. - Uniósł moją dłoń i przycisnął do ust. - Z tą posadą wiążą się pewne przywileje.

Mrowienie przybrało na sile... ale jego usta zawsze tak na mnie działały.

- John. - Serce biło mi mocno i nie wiedziałam, czy to od jego dotyku, od elektrycznego ładunku błyskawicy w chmurach kłębiących się nad naszymi głowami, czy od hiszpańskiej muzyki. Być może nawet ze strachu, który wciąż nie słabł po spotkaniu z babcią. - A co by było, gdybyśmy uciekli?

- Uciekli? - powtórzył z cichym śmiechem. Opuścił moją dłoń i zaczął się przyglądać błękitnym żyłkom na jej grzbiecie. - A konkretnie dokąd?

- Wszystko mi jedno - rzuciłam brawurowo. - Gdzieś daleko stąd, gdzie Furie nas nie znajdą. Po co mamy tam wracać? Możemy pojechać wszędzie. Mam całą tonę kart kredytowych od taty. I nadal działają, dopóki mi ich nie zablokuje. Rodzice i tak myślą, że właśnie to zrobiliśmy, więc dlaczego naprawdę tego nie zrobić?

Nie spojrzał mi w oczy - dalej bawił się moją dłonią, rozkładał palce, jakby porównywał jej rozmiar ze swoją, o wiele większą.

- Aż tak bardzo nienawidzisz tego, kim jestem? - spytał tonem, w którym usłyszałam najzwyklejszą ciekawość, jakby moja odpowiedź nie miała dla niego wielkiego znaczenia. Dobrze wiedziałam, co oznacza taki ton: tak naprawdę moja odpowiedź bardzo go obchodziła.

- Nie - odparłam szybko. - To nie tak. Twoja praca jest ważna, rozumiem to. Nie rozumiem tylko, dlaczego ty musisz ją wykonywać. To nie fair. Dlaczego Frank nie może tego robić? Serio, myślę, że on by to lubił.

- Powiedziałaś, że zostaniesz - przypomniał mi John. Zauważyłam, że jak zwykle zignorował moje pytanie, dlaczego to on musi być władcą Świata Podziemi pod Isla Huesos.

- Powiedziałam, że zostanę z tobą - sprostowałam.

- A co z Alexem? - spytał.

- Poradzi sobie - odparłam, już trochę mniej pewnie. - Jeśli jest dość dorosły, by uważać, że nie musi wracać do domu, kiedy ojciec go prosi, to chyba jest też dość dorosły żeby samemu o siebie zadbać.

- Sama w to nie wierzysz - powiedział John. - Objął palcami moje palce. - Tak jak nie wierzysz naprawdę w to, co mi proponujesz. Prawda?

- Nie - przyznałam cicho. Ale nie potrafiłam się wyzbyć tej rozpaczliwej desperacji. - John, czy ty nie chcesz czasami uciec, zapomnieć o wszystkim, co musisz robić, i dla odmiany robić to, co chcesz? I co by się takiego stało, gdybyśmy uciekli? Nie licząc tej trupiej zarazy, o której mówi pan Graves? - Myśl, że na Isla Huesos mogłoby zaroić się od zmarłych, nie niepokoiła mnie już tak bardzo, kiedy wiedziałam, że tato jest w drodze. On się zaopiekuje mamą i Alexem, i wujkiem Chrisem... a nie obchodziło mnie, co się stanie z babcią. Taty też to nie obchodziło.

Nie chciałam myśleć o tym, że ludzie, którzy byli dla mnie mili po przyjeździe na Isla Huesos, tacy jak pan Smith czy Kayla, raczej nie zasługiwali na to, by ginąć od trupiej zarazy. Odepchnęłam od siebie myśli o nich.

John wreszcie uniósł wzrok i przyjrzał mi się spod zmrużonych powiek.

- Nic nie jadłaś od śniadania - powiedział i pociągnął mnie w stronę muzyki. - Chodźmy. Jak się pospieszymy, nie widzę przeszkód, żebyśmy, szukając twojego kuzyna, kupili ci przy okazji coś do jedzenia.

Rzeczywiście, byłam głodna. Było mi nawet trochę słabo. Zaraz...

- Próbujesz zmienić temat - rzuciłam oskarżycielsko.

- Mówiłem ci, że z moją pracą wiążą się pewne przywileje - powiedział, obejmując mnie ramieniem, bo najwyraźniej nie szłam dość szybko jak na jego gust. W następnej chwili moje stopy niemal leciały nad chodnikiem. - Ale są też kary dla tych, którzy łamią zasady.

Już wcześniej mówił o karach. O konsekwencjach.

- Ale jeśli będziemy w jakimś miejscu, gdzie Furie nas nie znajdą - upierałam się - to jak mogą nas ukarać?

- Ilekroć Świat Podziemi opuszcza ktoś, kto nie powinien - odparł John - zaburza to równowagę w krainie zmarłych. Jeśli Furie nie ukarzą osoby, która uciekła, z radością wyładują gniew na tych, którzy pozostali.

Odwróciłam głowę i kątem oka zerknęłam na dłoń, którą obejmował moje ramię. I znów je zobaczyłam - blizny, pamiątkę po tym, co zrobiłam jako piętnastolatka. Były konsekwencją moich nieprzemyślanych działań.

Przerażona zatrzymałam się u wylotu zaułka. Muzyka była głośna i radosna, widziałam jasne światła i tłumy na

ulicznym festynie. Czułam nawet cudownie oszałamiający zapach grillowanego mięsa.

Ale to wszystko nie miało już znaczenia.

- Chcesz powiedzieć, że biedny pan Graves i Henry cierpieliby przez nasze uczynki? - spytałam łamiącym się głosem.

John puścił mój bark i popatrzył na mnie z dziwnym wyrazem twarzy... niemal z politowaniem.

- Tak - odparł. - Więc im szybciej wrócimy, tym bezpieczniejsi wszyscy będziemy.

Zaczął do mnie docierać, jakim ogromnym poświęceniem było już to, że w ogóle tu ze mną przyszedł. Kiwnęłam głową i przyspieszyłam kroku... by znów zwolnić na widok ogromnej budowli: latarni morskiej Isla Huesos. Wyrosła nad nami, kiedy tylko wyszliśmy z zaułka. Trzydziestometrowy budynek był jednym z najwyższych na wyspie... i atrakcją turystyczną, do której nie zgodziłam się wejść, kiedy mama zabrała mnie na obowiązkową wycieczkę. Zostałam na dole i przeczytałam wszystkie tabliczki upamiętniające dzielnych mieszkańców, którzy w dziewiętnastym wieku, ryzykując życiem, wypływali w morze, by ratować załogi i ładunki statków rozbitych na płytkich wodach między Isla Huesos i otaczającą wyspę rafą koralową.

Teraz latarnia morska była pusta - przestano jej używać, kiedy huragan w 1846 roku zniszczył ją niemal doszczętnie, a nawet zmienił kształt linii brzegowej. Latarnia nie stała teraz w pobliżu plaży, ale prawie kilometr w głębi lądu.

Dzięki temu ktoś mógł teraz przymocować banner do ściany latarni i zawiesić go nad ulicą, na której odbywał się Festyn Trumien. Krwawoczerwony napis na bannerze głosił:

*Witajcie na Festynie Trumien! Główni sponsorzy: Rum Kapitana Roba*

*Radio Wyspy Kości, 95,5 i Biuro Nieruchomości Rectora Bawcie się, aż pójdziecie na dno!*

John widocznie zauważył, jaką minę zrobiłam na widok banneru, bo spytał:

- Co się stało?

- Nic - odpowiedziałam. - Tylko że... w szkole było nawet specjalne zebranie, na którym ogłoszono, że Noc Trumien jest odwołana.

Przyszedł nawet sam komendant policji Santos, by przypomnieć, że jego departament stara się ze wszystkich sił ostudzić entuzjizm społeczności dla tej tradycji i że wprowadził w sklepach budowlanych zakaz sprzedawania nieletnim dużych ilości drewna, by nie mieli z czego budować stosów i trumien.

A jednak z tej okazji odbywał się tu publiczny festyn (to prawda, poza terenem szkoły, ale mimo wszystko) sponsorowany przez duże firmy.

- Robią tak co roku - powiedział John. - I to nigdy nie działa.

Najwyraźniej. Pod bannerem przelewały się hordy ludzi. Większość była ubrana normalnie, ale niektórzy mieli na sobie kostiumy piratów, zombie, duchów, przedsiębiorców pogrzebowych i seksownych kościotrupów. I niemal wszyscy mieli w rękach czerwone kubki na napoje, choć koło przejścia dla pieszych zaparkowany był radiowóz. Opierali się o niego dwaj bardzo znudzeni policjanci, flirtujący z dwiema seksownymi piratkami w obcisłych gorsetach i na obcasach.

Wszyscy, których widziałam, byli uśmiechnięci, chociaż na niebie huczały grzmoty i czułam już na skórze pierwsze krople deszczu.

Spojrzałam na Johna. Byłam już teraz niemal pewna, że zginął w katastrofie statku i cała ta impreza wydała mi się... hm, niesmaczna. Choć oczywiście organizatorzy festynu nie mogli wiedzieć, że pojawi się na nim główny bohater Nocy Trumien we własnej osobie.

- To okropne - stwierdziłam żarliwie, wskazując ruchem głowy banner. Fakt, że litery ociekały sztuczną krwią, szczególnie ranił moje uczucia. Na Boga, to była sztuczna krew mojego chłopaka, a oni używali jej do promowania swoich firm i produktów.

- Oj tam, nie wiem - odparł John obojętnie. - Jeśli gdzieś na Isla Huesos ma być ukryta trumna, nie licząc cmentarza, oczywiście, to miło wiedzieć, że schowali ją właśnie tutaj.

Nie podzielałam jego pewności. Nie słyszał skomplikowanych planów Setha Rectora, dotyczących ukrywania trumny. Była w nich mowa o hangarze samolotowym. I ani wzmianki o Festynie Trumien.

- Mimo wszystko uważam, że to okropne - powtórzyłam. - Teraz nie tylko moja babcia wie, że jesteśmy na wyspie, ale z pewnością wie już cała tutejsza populacja Furii. A na dodatek byliśmy na pierwszej stronie dzisiejszej gazety. Jak mamy wejść w ten tłum? Wszyscy nas rozpoznają.

- O tak - powiedział z enigmatycznym uśmiechem i wziął mnie za rękę.

W następnej sekundzie prowadził mnie już przez ulicę. Uskakiwaliśmy z drogi roześmianym parom, ludziom poprzebieranym za wampiry, a nawet młodym rodzicom z dziećmi w wózkach, aż stanęliśmy przed straganem z mrożonymi ćwiartkami owoców na patyczkach. Przeszliśmy przed samym nosem policjantów, ale oni nawet nie oderwali wzroku od dwóch dziewczyn w pirackich kostiumach.



Spojrzałam na Johna, osłupiała.

- Jak to zrobiłeś?

- Czasami ludzie widzą tylko to, co chcą widzieć - odparł, wzruszając ramionami.

Upiór z cmentarza Isla Huesos chyba wiedział, co mówi. Pan Smith powiedział mi, że „widzenia” Johna Haydena kręcącego się wokół krypty były tak częste i zdarzały się od tak dawna, że zdobył reputację... na tyle skuteczną, że na cmentarzu nie trzeba było instalować monitoringu. Nikt nigdy nie zapuszczał się tam po zmroku, nie licząc mnie, i - niestety - Jade oraz jej zabójców.

Mimo wszystko, tak na wszelki wypadek, sięgnęłam do torby po gumkę do włosów. W razie konieczności mogłam się przebrać w drugą sukienkę. A póki co za przebranie musiały mi wystarczyć zapleciony na szybko warkocz i dżinsowa kurtka.

- Mimo wszystko trudno mi sobie wyobrazić - mruknęłam z gumką w ustach, zaplatając włosy - co takiego zrobiłeś, żeby do tego wszystkiego doprowadzić. - Mówiąc „wszystko”, miałam na myśli całe to szaleństwo ulicznego festynu, głośną muzykę i tłumy ludzi w kostiumach.

Nie spodziewałam się, że mi odpowie, bo już od dawna zadawałam mu to samo pytanie w najróżniejszych wariacjach, i nigdy nie udzielił mi odpowiedzi.

Ku mojemu osłupieniu tym razem odpowiedział, tak szybko i tak cicho, że nie usłyszałabym go, gdybym nie stała tak blisko.

- Zabiłem człowieka - powiedział.

*Podczas gdy mówił, szliśmy dalszym torem,  
Prując się czernią lasu bez ustanku,  
Chcę rzec: przechodząc gęstym duchów borem.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń IV

Gumka upadła mi na chodnik. Wiedziałam, że już jej nie znajdę. Za wielu ludzi przechodziło obok nas, popijając z czerwonych kubków, które kupowali na niedalekim stoisku z Rumem Kapitana Roba.

Oczywiście doszłam do wniosku, że źle usłyszałam. Dlaczego miałby mówić mi coś tak ważnego właśnie teraz, tak od niechcienia, na ulicznym festynie?

Zanim zdążyłam się ugryźć w język, wypaliłam pierwsze zdanie, jakie przyszło mi na myśl:

- Tylko jednego?

Spojrzenie, które mi posłał, było druzgocące.

Ale biorąc pod uwagę wszystko, co o nim wiedziałam, spodziewałam się, że kogoś zabił.

Tak naprawdę zdumiewał mnie fakt, że za odebranie jednego życia został zesłany na całą wieczność do Świata Podziemi.

- Nie miałem pojęcia - powiedział z cierpkim uśmiechem - że jesteś taka krwiożercza, Pierce. Może poszukamy ci kostiumu pirata?

- Nie... nie chodzi o to, że jeden człowiek to mało -wyjąkałam. Przy tej muzyce ledwie słyszałam własne myśli. Latynoskie rytmy zdawały się pulsować razem z moim sercem, które przyspieszyło teraz, kiedy dotarła do mnie w pełni moja bezmyślna gafa. - Chodzi o to, że ja sama już kilka razy musiałam cię powstrzymać przed zamordowaniem człowieka. Więc jestem zaskoczona...

John zobaczył, że potrąca mnie tłum na ulicy, więc chwycił mnie za rękę i pociągnął na chodnik. Stanęliśmy pod niskimi gałęziami drzewa gumbo-limbo, dobrych parę kroków od tej masy ludzi i z dala od świateł. Tu było trochę ciemniej i ciszej. Hope oczywiście przyleciała za nami, usiadła w rynsztoku i zadowolona zaczęła dziobać porzuconą pieczoną kukurydzę.

- Człowiek, którego zabiłem, był kapitanem statku -powiedział John. Z jego głosu zniknęła szorstka nuta, ale wyraz twarzy miał nieobecny, jakby opowiadał historię kogoś innego. - Kapitanem „Liberty”. A ja byłem jego pierwszym oficerem.

To był dla mnie lekki szok, ale milczałam. Patrzyłam na rudego kota, który wysliznął się spod płotu, przy którym staliśmy. Kocie ślepia zabłyśły na widok Hope... ale nagle kot zauważył moje ostrzegawcze spojrzenie i szybko przeczołgał się z powrotem.

- Płynęliśmy z Hawany na Isla Huesos - ciągnął John. -A stąd mieliśmy wracać do Anglii. Niedaleko od wyspy odkryłem coś... niepokojącego na kursie wyznaczonym przez kapitana. Próbowałem przedyskutować to z nim w cztery oczy, ale nie chciał mnie słuchać. Wieść o jego planie rozeszła się wśród załogi i niektórzy marynarze przyznali mi rację. Doszło do buntu. Na pewno słyszałaś, jak wygląda bunt na pokładzie statku.

- Tak - odparłam. Widziałam kiedyś film o takim buncie. Załoga statku skrzyknęła się przeciwko kapitanowi i odebrała mu dowództwo, bo traktował ich niesprawiedliwie i zbyt surowo.

- Więc pewnie wiesz także, że bunt jest uznawany za poważne przestępstwo - powiedział John. Radosna muzyka i wrzaskliwe śmiechy w tle gryzły się z ponurym wyrazem jego twarzy. - Jeśli buntownik zostanie osądzony i uznany za winnego, rozprawiają się z nim szybko... zwykle jest wieszany, ale czasem wyrzuca się takiego delikwenta za burtę.

Nagle znów znalazłam się na skrzypiącym pokładzie statku z mojego snu i patrzyłam na Johna ciskanego przez potężne fale, w strugach deszczu. I nie mogłam w żaden sposób mu pomóc.

Miałam wrażenie, że łód skuł serce w mojej piersi. Ręce też nagle mi zlodowaciały, chociaż powietrze wokół nas było takie ciepłe.

- Część załogi powiedziała kapitanowi, że nie zgadza się na jego plan i zrobiło się paskudnie, szczególnie kiedy stanąłem po ich stronie. Kapitan... kapitan wpadł w szal. I to on zadał pierwszy cios, Pierce, musisz mi uwierzyć. -Patrzył na mnie błagalnym wzrokiem. - Nie chciałem go zabić.

- Oczywiście - przytaknęłam cicho. - Tylko się broniłeś. Jego oczy błysnęły cynicznie.

- No cóż, nie wszyscy widzieli to w ten sposób. Okazało się, że choć plan kapitana był niebezpieczny, popierała go większa część załogi. Tych, którzy się nie godzili, było ledwie kilku. Powiedziałem stanowczo, że skoro to ja jestem głównym podżegaczem, tylko ja zasługuję na karę.

- Więc wyrzucili cię za burtę - odparłam cicho. Wiedziałam już, że tak właśnie się stało.

Wzruszył ramionami, jakby to nie było nic wielkiego. Ale sama widziałam we śnie, jakie to było przerażające.

- Buntownicy, a szczególnie tacy, którzy mordują swoich kapitanów, nie zasługują na trumnę ani na prawdziwy pogrzeb - stwierdził lekkim tonem. - Ale z jakiegoś powodu mieszkańcy Isla Huesos sądzą, że właśnie tego mi potrzeba, żebym spoczął w pokoju. Więc co roku urządzają to. - Powiódł ręką dookoła.

Patrzyłam w jego twarz i tak bardzo pragnęłam znaleźć balsam, by ukoić jego rany. Nie fizyczne rany, ale emocjonalne, które tak bardzo starał się ukryć.

- Więc się utopiłeś - powiedziałam cicho. - Tak jak ja. To kolejna rzecz, która nas łączy, poza okropnymi członkami rodziny.

Jego usta drgnęły.

- Tak właściwie to ty zamarzałaś, zanim zdążyłaś się utopić - sprecyzował. - I nie zapominaj o ranie głowy. Ale rzeczywiście, można uznać, że to nas łączy.

Chwyciłam jego dłoń. Była tak cudownie ciepła i silna.

- A kiedy już utonąłeś, obudziłeś się w Świecie Podziemi? - spytałam.

- Tak - odparł. - W tym, który znasz. Tyle że ja byłem sam. Nie było żadnego podręcznika, żadnego przewodnika, który powiedziałby mi, co robić. Wszystkiego musiałem nauczyć się metodą prób i błędów. Na szczęście niedługo po mnie zjawili się też pan Graves, pan Liu, Frank i Henry. Bardzo mi pomogli.

- Oni też brali udział w... buncie? - spytałam ostrożnie. John skinął głową.

- Słowo daję, wolałbym, żeby się w to nie mieszała. Ale Henry podsłuchał, jak próbowałam przekonywać kapitana. Pobiegł prosto do Gravesa, a Graves zwerbował pana Liu

i Franka, bez mojej wiedzy. Więc nic nie mogłem zrobić. To dobrzy ludzie. Zaslужują na lepszy los.

Kiedy wypowiadał te słowa, po jego twarzy przemknęła chmura tak ciemna, jak te pędzące po niebie. Chyba wiedziałam, co go gnębi. Chwyciłam jego dłoń w obie swoje.

- Kapitan „Liberty” - zaczęłam, myśląc o tym, co powiedział mojemu wujkowi o złych ludziach - musiał być bardzo złym człowiekiem.

- Był najgorszym człowiekiem, jakiego znałem - odparł John bez cienia wahania. Jego spojrzenie stało się równie zimne jak głos... ale wiedziałam, że to nie ma nic wspólnego ze mną. To prześladowające go wspomnienie człowieka, którego zabił.

Poczułam kolejny lodowaty dreszcz.

- Tak też myślałam. Bo inaczej pan Graves nie dopuściłby się tak poważnego przestępstwa jak bunt. A ty po śmierci zostałeś zesłany w miejsce takie jak to, do którego trafiają Furie. Ale zostałeś władcą Świata Podziemi. Widocznie ktoś uznał, że twój czyn był bardzo odważny, i postanowił cię nagrodzić.

Zobaczyłam, że powoli do mnie wraca z tego mrocznego miejsca, w którym przebywał.

- Częściej wydawało mi się, że to kara a nie nagroda -wyznał z goryczą i rezygnacją. Ale nagle spojrzał mi w oczy a w jego tonie pojawiła się nuta wdzięczności i zachwytu. -Przynajmniej dopóki nie znalazłem ciebie.

Żar w jego oczach był niczym w porównaniu z żarem, który ogarnął mnie, kiedy John przyciągnął mnie do siebie i przycisnął usta do moich. Nie opierałam się. Zamknęłam oczy i po raz pierwszy od wielu dni pozwoliłam sobie na chwilę rozluźnienia.

Zabił człowieka. Tylko tyle.

Oczywiście to nie było nic. Zabicie człowieka jest godnym ubolewania, przerażającym postępkim.

A jednak nie była to zbrodnia tak szokująca, jakiej się spodziewałam - przecież wmawiał mi, że go znienawidzę, kiedy dowiem się prawdy. Nie podpalił z rozmysłem worka pełnego kociąt, by stać i patrzeć, jak płoną żywcem. On tylko poprowadził bunt na statku i przy okazji zabił swojego kapitana... w samoobronie.

Oczywiście znałam tylko wersję Johna. Zrozumiałam, że powinnam przeczytać książkę, którą dał mi pan Smith. Nie chodziło o to, że nie wierzę Johnowi, ale zawsze dobrze jest...

Otworzyłam oczy, bo dotarło do mnie, że coś jest nie tak. John przestał mnie całować.

- Proszę. Upuściłaś to. - Zaskakująco znajomy wysoki głos rozbrzmiał przy moim łokciu, i w następnej sekundzie ktoś podał mi na otwartej dłoni gumkę do włosów, która upadła mi na chodnik.

Kiedy spojrzałam w dół, przekonałam się ze zdumieniem, że to Henry. Mały Henry Day ze Świata Podziemi.

Gapiałam się na niego, skołowana, i przez dobre kilka sekund nie rozumiałam, na kogo patrzę. Stał tuż obok mnie, i nawet był w tym samym ubraniu, w którym ostatnio go widziałam.

Tyle że na Festynie Trumien na Isla Huesos nie wydawał się nie na miejscu. Wyglądał po prostu jak chłopiec przebrany za dziesiętnastowiecznego pirata... a było tu takich całkiem sporo. Po prostu ich kostiumy nie wyglądały tak autentycznie jak ubranie Henry'ego.

- Co...? - wykrzyknęłam zdumiona. - Jak...? Odpowiedział mi Frank, którego obecności jakimś cudem do tej chwili nie zauważyłam:

- No, to jest dopiero dobry napitek - pochwalił, salutując mi czerwonym, plastikowym kubkiem. - Musimy powiedzieć panu Gravesowi, żeby nauczył się coś takiego robić.

Pan Liu, stojący obok niego, nie był chyba przekonany. Nie pił. Omiatał tłum krytycznym spojrzeniem.

- Za dużo piratów - stwierdził z dezaprobatą. - Mnie osobiście nie pociąga ten piracki sznyt. I co zrobili z latarnią morską?

Odwróciłam się do Johna.

- Co oni tu robią? - spytałam osłupiała. - Myślałam...

- Witam panów - powiedział John do załogi, unosząc ciemną brew. - Miło z waszej strony, że daliście nam chwilę dla siebie.

- Nie chcieliśmy przeszkadzać - odparł Frank. Do drinka kupił sobie smażoną nóżkę z indyka i teraz wgryzał się w nią ze smakiem. - Wyglądaliście na zajętych.

- Ale Henry miał inne zdanie - dodał pan Liu swoim tubalnym głosem.

- To twoje, prawda? - spytał Henry, podtykając mi gumkę. - Widziałem, jak upuściłaś.

- Tak, to moje, Henry, bardzo ci dziękuję. - Wzięłam gumkę z jego dłoni i znów spojrzałam pytająco na Johna.

- Pomyślałem sobie - wyjaśnił cicho John - że po tym, co się stało u pana Smitha, lepiej wezwać wsparcie. Tak to się chyba dzisiaj nazywa?

- Owszem - przytaknęłam. - Tylko sądziłam, że oni nie mogą tu przyjść...

- Sami nie - potwierdził John. - Kiedy byłaś na piętrze, u mamy, a twój wujek dzwonił do Alexa, skoczyłem do domu i ściągnąłem ich tutaj. Oczywiście bardzo mi zaimponowało, jak dzielenie poradziłaś sobie z Mikiem - dodał z przebiegłym uśmieszkiem. - Ale następnym razem możesz



nie mieć pod ręką donicy. A pan Liu potrafi niejednego zastraszyć samym swoim wyglądem, jeśli tylko mu się chce.

Pan Liu zrobił skromną minę. Za to Frank zaprotestował.

- A ja? Ja też potrafię zastraszać. Powiedz mi, Pierce. Ciebie zastraszyłem, jak tylko mnie zobaczyłaś, prawda?

- Nieprawda - wtrącił Henry. - Tyfon ją zastraszył. Pokręciłam głową, zbyt zdumiona, żeby cokolwiek powiedzieć.

- Szukali twojego kuzyna - wyjaśnił mi John, ignorując ich. - I z przykrością donoszę, że do tej pory bez sukcesu. Filmik w twoim telefonie pokazywał go w opresji, więc całkiem możliwe, że go nie zauważyli, nawet jeśli jest tutaj. Może wyglądać całkiem inaczej.

Przypomniałam sobie twarz Alexa usmarowaną brudem i łzami. Miałam szczerą nadzieję, że wygląda całkiem inaczej... i że znajdziemy go w porę, zanim zacznie wyglądać jak na filmie.

Nagle dotarło do mnie, że w załodze Johna kogoś brakuje.

- A gdzie pan Graves?

- Ktoś musiał zostać - odparł John. Zauważyłam, że ostrożnie dobiera słowa. - I pan Graves się zgłosił. Nigdy nie przepadał za Isla Huesos.

John nie powiedział, że tak naprawdę pan Graves musiał zostać nie przez swoją antypatię do wyspy - ani nawet przez ślepotę (która, odnosiłam wrażenie, zupełnie nie ograniczała jego aktywności) - ale dlatego, że ktoś musiał zająć się duszami zmarłych pod nieobecność Johna... i ponieść konsekwencje, gdybyśmy nie wracali zbyt długo.

Przełknęłam ślinę, wspominając słowa pana Gravcsa o trupiej zarazie.

- Dziękuję - mruknęłam z wdzięcznością, wplatając dłoń w palce Johna.

- Za wcześnie na podziękowania - odparł. - Jeszcze go nie znaleźliśmy. Panie Liu, widzieliście jakąś trumnę?

- Jeszcze nie - odpowiedział pan Liu w swój stoicki, powolny sposób.

- Ale im dalej, tym większe tłumy. Tam gdzie jest muzyka.

- I jedzenie - dodał Frank, unosząc swoją indyczą nóżkę.

John spojrział na mnie pytająco.

Schyliłam się, by oderwać Hope od kukurydzy (głośno protestowała, ale zrobiłam to dla jej dobra, bo rudy kocur wrócił), ściągnęłam włosy gumką i powiedziałam:

- To idziemy. - Zdecydowałam odważnie, choć wcale się tak nie czułam.

Niepotrzebnie się martwiłam, że ktoś zauważy mnie czy Johna. Chociaż, jak słusznie zauważył pan Liu, było tu całe mnóstwo ludzi przebranych za piratów, wszyscy gapili się na niego, Henry'ego i Franka. W szczególności na Franka. Z tymi jego tatuażami i bliznami brakowało mu do ozdoby tylko papugi i klapki na oko.

Może właśnie dlatego pierwsza znajoma osoba przeszła koło mnie, zupełnie mnie nie dostrzegając. Jak oczarowana wpatrywała się we Franka.

- Kayla? - spytałam ostrożnie, bo ja też ledwie ją poznałam. W szkole obowiązywały nas grzeczne stroje. To, co miała na sobie Kayla, z pewnością naruszało wszelkie zasady. Była w długiej białej sukni, która pięknie podkreślała jej oliwkową cerę; talię miała jak osa - nieprawdopodobnie ściśniętą czarnym aksamitnym gorsetem, który wyносił jej spore piersi na niebotyczne wyżyny. Na nagie ramiona zarzuciła liliową aksamitną pelerynę pod kolor pasemek

w jej wściekle kręconych czarnych włosach, a w kącikach teatralnie umalowanych czarnych oczu przykleiła kryształowe gwiazdki.

- Zaraz... - Kayla zatrzymała się jak wryta i zamrugła ze zdumieniem.  
- Niemożliwe. Pierce? O Boże, laska! Uściskaj mnie!

Przytrzymałam jej ręce w dole, zanim zdążyła mi je zarzucić na szyję. Nie chciałam ściągać na nas jeszcze większej uwagi (wystarczyły już jej wrzaski), po czym odciągnęłam ją z ulicy w puste miejsce między dwoma straganami. Na jednym sprzedawano jeszcze więcej mrożonych owoców na patyczkach, a na drugim koszulki z napisem „Przeżyłem Festyn Trumien na Wyspie Kości”.

- Boże, laska - powtórzyła Kayla - chwytając mnie za ramiona. - Gdzieś ty była? Masz pojęcie, jak się wystraszyłam, kiedy nie przyszedł o drugiej na parking, tak jak się umówiliśmy? Kazałaś mi dzwonić na policję, gdybyś nie przyszła, więc zadzwoniłam. A potem twoja babcia zaczęła biegać w kółko i wrzeszczeć, że zostałaś porwana.

Błyszczącymi oczami - bladły przy nich sztuczne kryształki - spojrzała na Johna, który przystanął przed stoiskiem z mrożonymi owocami, żeby na mnie zaczekać. Ukradkowe spojrzenia, które mi posyłał, i rumieńce na moich policzkach widocznie bardzo wyraźnie mówiły, że się znamy.

- Czekaj, to on? - krzyknęła zachwycona Kayla. - To ten gość? Boże, mnie by mógł porywać codziennie. Ależ z ciebie szczę... ścia... ra.

Podkreśliła każdą sylabę mocnym kuksańcem w ramię, po czym wyszczerzyła się do Johna i zaczęła nawijać na palec pasemko włosów. Paznokcie miała pomalowane w czarno-białą zeberkę.

- Kayla - zaczęłam, rozmasowując bark. Walnęła mnie dość mocno. - On mnie nie porwał. On...

- Jasne. A jego kolega to kto? - spytała. Mówiła o Franku, który udawał, że nie zauważa jej spojrzeń, bardzo zajęty kupowaniem mrożonych owoców na patyczkach dla Hen-ry'ego. - Zobaczyłam go z daleka i od razu sobie pomyślałam: rany, co to za ciacho z blizną? Serio, taki przystojniak też mógłby mnie porwać, nie miałabym nic przeciwko.

- Kayla - powtórzyłam. Nie chciałam psuć jej zabawy (choć sądząc po wyglądzie nieba, lada chwila miał mnie w tym wyrećzyć deszcz), ale musiałam na parę minut odciągnąć jej uwagę od chłopaków, żeby wyjaśnić kilka rodzinnych spraw. - Jak się już pewnie domyśliłaś, mam w tej chwili... drobne problemy osobiste. I bardzo potrzebuję twojej pomocy.

- Tak? - Kayla nie odrywała spojrzenia od Franka. - Przedstaw mnie koledze piratowi, to zaraz ci pomogę.

- Myślałam, że lubisz Alexa - powiedziałam trochę rozczarowana.

Kayla wyjęła palec z włosów, przestała robić maślane oczy do Franka i wreszcie spojrzała na mnie.

- Serio? Myślisz, że ty jedna masz problemy? Twojemu kuzynowi zwyczajnie odwała. Umówił się ze mną na tej imprezie, no więc przyszedł, ale czy ze mną zatańczył albo chociaż postawił mi drinka? Nie. Nawet się nie przebrał, a na tym balu to tradycja. Zupełnie jakby tylko potrzebował kogoś, kto by z nim posiedział, żeby nie wyglądać na kompletnego głąba bez towarzystwa. Normalnie powtórka ze szkolnego lunchu. Po prostu siedzi...

Otworzyłam szeroko oczy.

- Zaraz. Wiesz, gdzie jest teraz Alex?

- Jasne, że wiem - odparła Kayla. - Właśnie go zostawiłam. Chociaż pewnie nawet nie zauważył, że sobie poszłam. Jeśli to miała być randka, to twój kuzyn Alex cierpi na urojenia...

Chwyciłam ją za nadgarstek.

- Kayla - powiedziałam. - Jak zaprowadzisz nas do Alexa, przedstawię ci Franka. Proszę cię, to bardzo ważne. Myślę, że Alex ma poważne kłopoty. Może nawet większe niż ja.

Kayla obejrzała mnie sobie od stóp do głów.

- No, to znaczy spore - stwierdziła. - Bo z tego, co piszą w gazecie, twoje kłopoty są warte miliona dolarów. Ty wiesz, co bym kupiła za milion dolarów? Oczywiście nigdy na ciebie nie doniosę, ale mogłabym otworzyć własny salon stylizacji włosów i paznokci... nie, z taką kasą to chyba dziesięć salonów...

- Błagam cię. - Rozpaczliwie ścisnęłam jej nadgarstek.

- Dobra, dobra - odparła Kayla, wzruszając ramionami. - Jezu, uspokój się. Zresztą, czemu nie? Rzadko zabieram dziewczyny na miasto. - Mówiła o swoich piersiach, które po osiemnastce zamierzała sobie chirurgicznie zmniejszyć, bo, jak mówiła, jeżdżąc na rowerze, tłukła w nie kolanami. - Więc jak już z nimi wychodzę, ktoś powinien je docenić. Twój kuzyn niestety nie potrafi. - Obejrzała się na Franka. Zobaczyłam, że Frank zapłacił za owoce dla Henry'ego hiszpańskim srebrnym dolarem, który wygrzebał z kieszeni skórzanych spodni.

- Oczywiście, że jest prawdziwy, ty dupku żołądny - powiedział Frank do chłopaka stojącego za wózkiem z owocami; sprzedawca najwidoczniej zakwestionował legalność takiej waluty. - To prawdziwe srebro, warte osiem reah. Mógłbym za to kupić cały wózek.

Cudownie, pomyślałam drwiąco. John i jego załoga wspaniale wtapiali się w tłum.

Kayla chyba myślała podobnie, bo zapytała:

- Skąd oni właściwie są?

- Stąd - zapewniłam ją.

- Naprawdę? - Miała raczej sceptyczną minę. Sprzedawca owoców uznał chyba, że hiszpański dolar wygląda autentycznie i dawał Henry'emu tyle owoców na patyczkach, że mały nie wiedział już, jak je pomieścić w dłoniach. - Bo na pewno bym tego gościa zapamiętała. A nie chcę się wpuszczać w jakąś akcję na odległość. Z tego nigdy nic nie wychodzi.

Uśmiechnęłam się i spojrzałam Johnowi w oczy.

- Oj tam - powiedziałam. - Nigdy nic nie wiadomo.

*Zielenią gadów opasane w polu;  
Z żmij i padalców ukręcone bicze  
Za włos pokładły surowemu czołu.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń IX

Kayla, trzymając Franka pod rękę, poprowadziła nas zatłoczoną ulicą.

- Nie wiem, czy to najlepszy pomysł - powiedział John, patrząc, jak Frank unosi dłoń Kayli, przyciska do ust i mówi:

- Jesteś naprawdę czarująca, nadobna panienko.

- Założę się, że wy, piraci - odparła Kayla, chichocząc - mówicie to wszystkim nadobnym panienom.

- Nie przejmuj się - uspokoiłam Johna. - Kayla potrafi sobie radzić z facetami. Nawet takimi jak Frank.

- Ale co z Furiami? - spytał, patrząc na mnie z powagą. - Z nimi też sobie poradzi?

- Och. - O tym nie pomyślałam. - Szczerze mówiąc, znając ją, pewnie tak.

- W każdym razie obserwuj swój naszyjnik - poradził. - Nie podoba mi się, że tak długo jesteśmy na widoku, a po Furiach ciągle nie ma śladu. Na pewno już wiedzą, gdzie jesteśmy. Więc gdzie są one?

Rozejrzałam się. Wszędzie dokoła widziałam radosnych imprezowiczów, bawiących się w najlepsze. Nad ich

głowami błyskawice wciąż rozświeślały chmury, wciąż pomrukiwały grzmoty.

- Może właśnie o to chodzi - odparłam. - Jesteśmy na widoku. Furie nie chcą ryzykować, że ściągną na siebie uwagę.

- Może - przyznał John. - A może to tylko cisza przed burzą.

Spojrzałam w górę, w nocne niebo, a potem na swój naszyjnik. Diament miał ten sam fioletowawy, ciemnoszary odcień co ciężkie chmury. Być może John miał rację.

- Pierce?

Przed nami stała atrakcyjna młoda parka, obejmująca się w pasie. On miał całą twarz usmarowaną upiornym szarym makijażem i był ubrany w futbolowy uniform drużyny Wrakarzy z Liceum Isla Huesos wyposażony w poduszki na ramionach. Ona wyglądała jak cheerleaderka LIH, miała czerwono-białe pompony, a z namalowanej rany po „ugryzieniu wampira” na jej szyi ciekła sztuczna krew.

- O Boże, Pierce! - wykrzyknęła dziewczyna. - To ja, Farah, Farah Endicott, i Seth Rector. - Wskazała ze śmiechem swojego chłopaka. - Nie wierzę, że nasze kostiumy są aż tak dobre! Ty wierzysz, kocie? - Spojrzała na Seta. - Pierce nas nie poznała. A przecież to ona podobno zaginęła!

Farah i Seth roześmiali się na całe gardło. Oboje trzymali w dłoniach czerwone kubki i choć nie miałam pewności, to sądząc po ich niemal histerycznym śmiechu, pili raczej coś mocniejszego niż cola. Kiedy John i ja stanęliśmy przed nimi, Kayla i Frank, idący parę kroków z przodu, też przystanęli i obejrzelili się z zaciekawieniem. Pan Liu, który również obserwował to spotkanie, odprowadził Henry'ego na skraj ulicy; zatrzymali się tam, udając, że oglądają



stragan z grawerowanymi muszlami, ale tak naprawdę nie spuszczała z oka Farah i Setha.

- Taak - powiedziałam, udając, że ta sytuacja bawi mnie tak samo jak ją. - Całe to zaginięcie to jedno wielkie nieporozumienie. Jak sama widzisz. Bo przecież stoję tu przed wami.

- Aha! - krzyknęła Farah, zaśmiewając się do łez. -No nie mogę! Jasne, że już nie jesteś zaginiona. A twój przyjaciel to kto?

- To jest John - powiedziałam, celowo pomijając jego nazwisko. Nie wiedziałam przecież, czy Farah i Seth nie zadzwonią w te pędy do mojego taty i nie spróbują zarobić tego miliona dolarów, które oferował za mój bezpieczny powrót. Im mniej informacji, tym lepiej. - John, to moi koledzy, Farah Endicott i Seth Rector.

Twarz Johna, jak zwykle, spochmurniała na dźwięk nazwiska Rector. Patrzył na nich oboje ponuro, bez uśmiechu.

- Cześć, jak się macie? - przywitał się sztywno, nawet nie wyciągając ręki. Zresztą dłoń miał pełną mrożonych owoców na patyczkach; zaproponował, że potrzyzyma je Henry'emu, co, moim zdaniem, było strasznie słodkie. Drugą ręką obejmował mnie w pasie.

- No, ja się miewam bardzo dobrze, dziękuję - powiedział Seth z nadętym brytyjskim akcentem, który, zdaje się, miał być imitacją akcentu Johna, i który wcale nie wydał mi się zabawny. Nawet nie wiedziałam, że John mówi z akcentem, czy to dlatego, że już do niego przywykłam, czy dlatego, że on sam spędzał za dużo czasu w towarzystwie Amerykanów... i moim.

Ale odpowiedź Setha bardzo rozśmieszyła Farah i oboje chichotali przez jakieś pół minuty, aż w końcu Seth odzyskał panowanie nad sobą i zwrócił się do Johna.

- Nie, serio, stary, spoko. Miło cię poznać. Nie wyglądasz na seryjnego zabójcę, czy kogo tam próbują z ciebie zrobić w wiadomościach.

Farah plasnęła go żartobliwie w pierś i powiedziała:

- Kocie, kidnapera. On jest kidnaporem!

- Sorry - powiedział Seth.

- O Boziu - jęknęła Farah, wybałuszając oczy. - Dziewczyno, masz piękny wisiorek. Gdzie to kupiłaś? - Sięgnęła, by podnieść diament, a ja poczułam, że ręka Johna tężeje wokół mojej talii. Odciągnął mnie krok do tyłu, zanim Farah zdążyła dotknąć kamienia.

I bardzo dobrze, bo przecież był przeklęty, tak jak powiedział Henry. Ostatnią żywą osobą, która go dotykała, był pan Curry, jubiler, który oskarżył mnie o jego kradzież i próbował wpakować do aresztu.

Nie skończyło się to dla niego najlepiej, za sprawą Johna, któremu bardzo się to nie spodobało i zatrzymał jubilerowi serce.

- Oj, nawet nie wiem - odpowiedziałam szybko. - Chyba mam go od dziecka. To sztuczny kamień.

- No ba - odparła Farah ze śmiechem. - Gdyby był prawdziwy, byłby wart, bo ja wiem, pewnie tyle, ile twój ojciec oferuje za ciebie...

Prawdę mówiąc, według pana Curry'ego, diament Persefony był wart siedemdziesiąt pięć razy tyle. Ale nie powiedziałam jej tego.

- To zabawne, bo żartowaliśmy sobie z resztą paczki, że gdybyśmy cię spotkali, to totalnie byśmy na ciebie donieśli za te pieniądze - ciągnęła Farah z chichotem. - Ale potem się dowiedzieliśmy, że twój tato odwołał nagrodę.

- Rzeczywiście, zabawne - powiedziałam, ale wcale nie dlatego, że naprawdę wydawało mi się to zabawne. -Kiedy się dowiedzieliście?

- Boże - odparła Farah - cały net o tym trąbi. Zdaje się, że mama znalazła mój list i powiedziała tacie. A on zadziałał szybko. Jak zawsze.

- No dobrze - wtrącił John. - My już będziemy szli... Farah zrobiła skołowaną minę.

- Zaraz. - Seth zastąpił nam drogę. John zdjął rękę z mojej talii i upuścił mrożone owoce Henry'ego. Teraz luźno zwinięte pięści wisiały w gotowości u jego boków.

Ale Seth raczej nie chciał się bić. I był zajęty mną.

- Farah żartowała z tą nagrodą - powiedział. - Nigdy byśmy tego nie zrobili. I z tym kidnaperem to też żarty. Mam nadzieję, że się nie gniewasz, że zabraliśmy z twojego domu rzeczy do budowy trumny - dodał, lekko bełkocząc. - Ale, no wiesz, nie wiedzieliśmy, kiedy wrócisz, a twoja mama... hm, trochę świrowała. I wiesz, chociaż wygląda na to, że mecz zostanie odwołany przez ten huragan, to i tak chcemy zbudować trumnę. To jest... no, tradycja, czy co tam.

Zagapiłam się na niego, osłupiała.

- Zaraz. To wy zabraliście drewno i resztę rzeczy z garażu mamy? - Byłam przekonana, że zrobił to Alex... i za karę miał zostać zamknięty w trumnie i się udusić.

- No tak - odparł Seth. - Ja i mój tato. Przyszliśmy dzisiaj rano.

Oczywiście. Wujek Chris wspominał, że Seth i jego ojciec byli dzisiaj u nas...

- Czy będzie mecz, czy nie, i tak urządzimy Noc Trumien - powtórzyła Farah z szeroko otwartymi z przejęcia oczami. - Bo jak się tego nie robi, dzieją się różne złe rzeczy. A przynajmniej tak mówią.

Seth kiwnął głową.

- No właśnie - potwierdził. - A twoja mama nie miała nic przeciwko.

- O Boże. - Farah wśliznęła się pod ramię Seta i znów objęła go w pasie. - Powiedz Pierce o twoim tacie i jej mamie. Czeka, Pierce, musisz to usłyszeć. Powiedz jej, kocie.

- Kocie, nie teraz - odparł Seth, spoglądając na nią z irytacją. Czuł się chyba coraz bardziej nieswojo pod twardym spojrzeniem Johna. Był wielkim facetem, zwłaszcza z wypchanymi ramionami.

Ale nie był tak wielki jak John.

- Dobra - Farah trochę się nadała. - To ja jej powiem. Twoja mama i tato Seta kiedyś ze sobą chodzili, jeszcze w ogólniaku. Byli królem i królową balu najstarszych klas, i tak dalej. Wszyscy myśleli, że się hajtną. Wiedziałaś o tym?

Błyskawicznie spojrzałam na Seta, i znów na nią. Odgłosy festynu jakby przycichły. Ledwie czułam dłoń Johna zaciskającą się na mojej, silną i dodającą otuchy.

A w głowie miałam tylko rozmowę moich rodziców, którą kiedyś podsłuchałam - nie tę ostatnią, ale wcześniejszą, zaraz po moich ostatnich nakazanych przez sąd odwiedzinach u taty, przed przeprowadzką na Florydę. Tato strasznie złościł się na mamę, że postanowiła wrócić do rodzinnego miasta, i żartował, że to dlatego, że „on” znów jest wolny.

„Myślałam, że masz teraz do roboty lepsze rzeczy niż sprawdzanie w internecie stanu cywilnego moich byłych chłopaków” - powiedziała mu mama jadownicie.

„Lubię obserwować ich zwyczaje godowe” - odparł drwiąco tato.

Wtedy nie rozumiałam, o kim mówią.

Ale nagle stało się to jasne: o ojcu Seta.

Farah wyszczerzyła się triumfalnie i znów plasnęła swojego chłopaka w pierś.

- Widzisz, kocie? - rzuciła. - Mówiłam ci, że nie wiedziała. Obłąd, nie? Okazuje się, że wszyscy nasi rodzice trzymali się ze sobą. Twoja mama, tato Setha, i mój tato, i twój wujek Chris. Moja mama też chodziła do LIH, ale była parę lat młodsza. Mówi, że byli jak czwórka muszkieterów, czy coś. To najfajniejsza rzecz, jaką słyszałam. Znaczy, było fajnie, dopóki... - Urwała, po czym uniosła rękę, próbując pokazać nam, jaka jest taktowna. - No wiesz przecież. Do tej historii z twoim wujkiem.

Nie chciałam jej się przyznawać, że mam bardzo blade pojęcie na temat historii z moim wujkiem - wiedziałam tylko tyle, że oskarżenie miało jakiś związek z narkotykami i że wujek przesiedział w więzieniu niemal całe życie Alexa.

Farah wzruszyła ramionami.

- Zdaje się, że to wtedy twoja mama przestała przyjeżdżać na Isla Huesos, no wiesz, z college'u, i zerwała z tatą Setha. Ale w sumie fajnie, bo poznała twojego tatę i urodziła ciebie, nie? Ale miałam trochę nadziei, że twoja mama i tato Setha zejdą się znowu, skoro oboje są rozwiedzeni...

Zdaje się, że mój tato też tak myślał.

- Kocie - przerwał Seth, coraz bardziej zirytowany paplaniną Farah. - Skończ już.

- Kocie - odparła Farah, robiąc na niego wielkie oczy. - Sam skończ.

Mijająca nas grupka ludzi, również ubranych w barwy Liceum Isla Huesos, czerwień i biel, zauważyła Setha i Farah:

- Wrakarze rządzą! - krzyknęli. Kilku chłopaków zaczęło boksować powietrze. Seth odmachnął im w podobny sposób i wrzasnął - Jeaaa! - a potem wszyscy zaczęli tłuc

się w klatki piersiowe i gadać z entuzjazmem o jakiejś imprezie, która będzie totalnie wywalona w kosmos.

Nagle zrozumiałam, dlaczego wujkowi Chrisowi tak ulżyło na wieść, że mój tato przyjeżdża. Nigdy wcześniej jakoś za nim nie przepadał, ale jeszcze mniej mu się podobało, że pan Rector zaczął się kręcić koło domu mamy.

Teraz zrozumiałam dziwną reakcję mamy tamtego dnia, kiedy jeździłyśmy na rowerach po wyspie i stwierdziłam, że mauzoleum Rectorów jest takie wielkie i pretensjonalne. Przecież niewiele brakowało, by sama nazywała się Rector. A ja żartowałam sobie, że niektórzy ludzie chyba mają za dużo pieniędzy.

Jasne. Na przykład jej były chłopak z ogólniaka.

Dlaczego o niczym nie wspomniała? Przecież nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby powiedziała: Pierce, kiedy chodziłam do liceum i miałam jeszcze fatalny gust, byłam z totalnie obciachowym gościem.

Czyżby coś ukrywała? A może chciała się zdystansować do licealnych czasów?

- Dobrze się czujesz? - spytał John. Jego głos przebił się przez skłębioną chmurę zadziwienia, zasnuwającą mi mózg.

- Tak - odparłam. - Tylko po prostu... zaczynam rozumieć pewne sprawy, których wcześniej nie rozumiałam.

- Jakie sprawy? - spytał zaintrygowany.

- W sumie chyba nic ważnego. - Pokręciłam głową. - Sprawy dotyczące mojej mamy. - Obiema rękami objęłam jego biceps. - Obiecuj mi, że nigdy nie będziemy tacy jak oni, okej? - poprosiłam go, wskazując ruchem głowy Setha i Farah. Wzdrygnęłam się. - Ze nie będziemy tak wkurzająco mówić do siebie „kocie”?

- Nie moglibyśmy być tacy jak oni - odparł John, prowadząc mnie dalej ulicą. Pożegnał Seta jeszcze jednym kamiennym spojrzeniem.

- Dlaczego tak go nienawidzisz? - spytałam rozbawiona.

- Nienawidzę go? - John zrobił zaskoczoną minę. - Przecież dopiero go poznałem. A zresztą ty sama też chyba za nim nie przepadasz.

- Prawda, ale za każdym razem, kiedy wypowiadam przy tobie nazwisko Rector, robisz taką minę. - Zilustrowałam swoje słowa, ponuro ściągając brwi i wykrzywiając usta.

John się roześmiał.

- Naprawdę? Nie miałem pojęcia.

- Alex robi to samo za każdym razem, kiedy widzi Seta.

- Hm, w takim razie chyba polubię twojego kuzyna - stwierdził John.

- Też tak sądzę - przyznałam. - Ale dlaczego...?

Przerwał mi tupot lekkich stóp za plecami. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy biegnącą za nami Farah, zdyszana i zarumieniona.

- Ale ze mnie idiotka - powiedziała z chichotem. - Zapomniałabym. Jutro wieczorem mamy imprezę z okazji Nocy Trumien. I oczywiście jesteście zaproszeni.

- Rany - odparłam. - Dzięki, Farah. To bardzo miłe. Ale raczej nie będziemy mogli...

- Oj, no przestań. - Farah zrobiła rozczarowaną minę. - Spróbujcie przyjść. Są zaproszeni wszyscy ze starszych klas... tylko nie mówcie żadnym młodszym. Spróbujemy skończyć trumnę, żeby była na miejscu. Chcemy, żeby wszyscy się na niej podpisali. No wiesz, na pamiątkę ostatniego roku szkoły.

- Trumna będzie na imprezie? - Nagle zaproszenie wydało mi się o wiele bardziej kuszące. - A gdzie będzie impreza?

- Na nowym osiedlu, które budują nasi ojcowie, na Reef Key. Pamiętasz, Pierce, pokazywaliśmy ci je.

Owszem, pamiętałam. Pan Rector i pan Endicott kupili piękny wyspiarski raj i rozjechali go buldożerami, zmieniając w paskudne zamknięte osiedle z kortami tenisowymi i barem na plaży.

- Nie możesz tego przegapić - ciągnęła Farah. - Impreza będzie w pokazowym domu, jedynym ukończonym. Mam nadzieję, że ten huragan jednak nie przyjdzie, chociaż wszyscy straszą, bo będziemy musieli wszystko odwołać. Dzisiaj po południu obniżyli mu kategorię na dwójkę, ale właśnie słyszałam, że znowu jest trójką. Więc nawet jeśli tylko nas zahaczy, nikt na pewno nie będzie...

Ktoś krzyknął:

- Farah! - Dziewczyna popatrzyła w stronę grupki, od której się oderwała, żeby przekazać nam zaproszenie.

- Oj - jęknęła, przygryzając wiśniową wargę. - Muszę lecieć. - Ale postarajcie się przyjść, dobra? To będzie mega.

I pobiegła do Setha, machając nam radośnie. Stałam przez chwilę, oszołomiona. Całkiem niedawno ktoś inny powiedział mi, że „to będzie mega.” Była to Jade.

Uczucie niepokoju w moim sercu nagle jakby przybrało na sile... i nie tylko dlatego, że dowiedziałam się o szkolnej miłości mojej mamy i pana Rectora. Kropla deszczu trafiła mnie prosto w policzek. Wyciągnęłam rękę. Kolejna kropla spadła mi na środek dłoni.

Grupki ludzi wokół nas zaczęły się szybciej przemieszczać w poszukiwaniu schronienia. Henry zaczął pożerać



watę cukrową wielkimi kęsami, wystraszony, że deszcz mu ją rozpuści, zanim zdąży się nią nacieszyć.

- Nie jest aż tak źle - stwierdził John, szczerząc się w uśmiechu na widok mojej miny. - To tylko deszcz. I przynajmniej wiemy już, gdzie jest trumna.

- Gdzie będzie jutro - poprawiłam go. Nie potrafiłam ukryć niepokoju, który mnie nie opuszczał. - Jeszcze jej nawet nie zbudowali. A jeśli miałeś rację co do filmiku w telefonie? Jeśli to przyszłość... odległa przyszłość? Nie możemy co noc łązić za Alexem tak jak dzisiaj.

Przypomniało mi się, jak rano spytałam Johna, czy mogłabym dostać taki tablet jak jego, i odpowiedział: absolutnie nie. Teraz wiedziałam, dlaczego odprawił mnie z kwitkiem.

- Jeśli to twoje magiczne lustro pokazuje ci cierpienie ludzi, ale nie możesz im w żaden sposób pomóc, to po co ci ono? - spytałam z goryczą.

- One pokazują nie tylko to - odparł John. - Pokazują też twoje pragnienia... rzeczy i ludzi, których aktualnie szukasz.

- Więc moje chyba jest zepsute - odparłam zdegustowana. Naprawdę zaczynałam już myśleć, że nie jestem stworzona do roli królowej Świata Podziemi.

- Nie jest zepsute. To ziemski telefon komórkowy. Żadne takie urządzenie nigdy wcześniej nie działało w Świecie Podziemi, więc naprawdę nie rozumiem... jeszcze. - Patrzył na mnie zamyślony. - Ale zadziałał dokładnie tak samo, jak nasze lustro. Chciałaś wiedzieć, co z rodziną, więc pokazał ci twoje pragnienie: tego członka rodziny, który jest w niebezpieczeństwie, i potrzebuje twojej...

- Czekał no - przerwałam mu. Coś mi zaświtało. - Czy to w taki sposób zawsze się dowiadywałeś, że ja mam kłopoty i potrzebuję pomocy? Jak wtedy z panem Muellerem?

I u jubilera? Bo to mnie najbardziej pragnąłeś zobaczyć, kiedy patrzyłeś w swoje...

- O, spójrz - powiedział John, któremu chyba bardzo ulżyło, że może mi przerwać. - Idzie Frank.

Rzeczywiście, Frank szedł do nas spacerowym krokiem.

- Znalazłem go - rzucił nonszalancko.

Serce zabiło mi żywiej. Tylko coś tak doniosłego jak fakt, że wreszcie znaleźliśmy Alexa, mogło odwrócić moją uwagę od odkrycia, że mój chłopak podglądał mnie ze Świata Podziemi za pomocą mobilnego urządzenia działającego dzięki magii.

- Gdzie?

- Dokładnie tam, gdzie zostawiła go panna Kayla. - Frank poprowadził nas kilka straganów dalej, do ciemnego pasażu odchodzącego od ulicy. Nad pasażem był łuk z kutego żelaza, przyozdobiony migoczącymi lampkami i krętymi gałęziami jaskrawożółtej bugenwilli.

Na szczycie łuku siedziała Hope, gruchając do siebie. Kiedy mnie zauważyła, uniosła skrzydła i sfrunęła niżej.

Pod łukiem przechodziło się na duży dziedziniec osłonięty gęstym baldachimem gałęzi; powieszono na nich jeszcze więcej lampek i kolorowych lampionów, które tworzyły bardzo romantyczną atmosferę.

Zorientowałam się, że to z tego dziedzińca dobiega żywa hiszpańska muzyka, którą przez cały czas słyszeliśmy. Ujrzałam niewielką scenę oświetloną reflektorami; stało na niej kilkoro muzyków, w tym paru gitarzystów i piękna śpiewaczka w obcisłej, czerwonej sukni, z kwiatem hibiskusa we włosach. Pod sceną tańczyły pary w najróżniejszym wieku. Cały dziedziniec zastawiono stolikami; wiele było pustych. Pewnie dlatego, że większość ludzi wolała żywiołową zabawę na ulicy.

Za to tutaj było jedzenie. Na długim stole z boku dziedzińca zorganizowano bufet. Hope usadowiła się tuż przy nim i zaczęła sprzątać z ziemi kąski, które spadły jedzącym z talerzy. Nie dziwiłam się jej. Czulałam smakowite zapachy kurczaka w marynacie i owoców morza, i przypomniałam sobie, jaka jestem głodna. Mrożone owoce, które zjadłam, to stanowczo za mało.

- Madame. - Kayla zaskoczyła mnie, wychodząc z głębokiego cienia pod żelaznym łukiem i teatralnie zamiatając fioletową peleryną. - Pani kuzyn Alex czeka. - Wskazała jeden z białych plastikowych stolików, osłonięty gałęziami dużego drzewa.

Trudno byłoby nie poznać przygarbionej postaci, podświetlonej ekranem komórki. Owszem, to był Alex. Jego kciuki szybko biegały po klawiaturze.

- Dzięki, Kayla - powiedziałam. - Zaraz wracam - rzuciłam do Johna, ignorując głodne pomruki własnego żołądka. Ruszyłam do stolika kuzyna.

- Pójdę z tobą - oznajmił John i zrównał ze mną krok. - Jeśli nie masz nic przeciwko.

Zatrzymałam się.

- John. - Byłam rozdrażniona przez głód i smakowite aromaty. Wkurzył mnie też fakt, że tak długo szukałam Alexa, a gdy go w końcu znalazłam, on pisał esemesy na pięknym dziedzińcu, a wszyscy dookoła tak świetnie się bawili, nawet jeśli świętowali dość makabryczną okazję... śmierć i pochówek mojego chłopaka. Ale przynajmniej pod gęstym baldachimem liści nie czułam twardych, rzadkich kropli deszczu. - Wiem, że twoje magiczne lustro pewnie nie działa na ziemi, ale przecież widzisz na własne oczy, że w tej chwili nie jestem w niebezpieczeństwie.

Unióś brwi.

- Że co?

- W tej chwili nie potrzebuję twojej pomocy - wyjaśniłam. - Prawdę mówiąc, tylko byś przeszkadzał. Nie znasz Alexa. A Alex nie zna ciebie. Wie o tobie tylko to, co powiedziała mu babcia... a szczerze wątpię, żeby mówiła o tobie cokolwiek dobrego. On nic przy tobie nie powie.

- Może i nie. - John uśmiechał się uprzejmie. - Ale mylisz się, że nie jesteś w niebezpieczeństwie. - Ruchem głowy wskazał moją pierś.

Spojrzałam w dół i zrozumiałam, co ma na myśli. W różowym świetle lampionów diament na mojej szyi przybrał kolor burzowych chmur, które zbierały się nad nami przez cały wieczór.

Gdzieś niedaleko czaiła się Furia.

*„Poeto - rzekłem - oto chęć mię bierze  
Przemówić do tych dwojga, co się miecą  
Na wietrze tam i sam, jak lotne pierze.”*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń V

Nie martw się - powiedział John. - Zajmiemy się tym... tak, żeby ci nie przeszkadzać.

Pan Liu i Frank już się rozdzielili; bosman obchodził dziedziniec brzegiem, przyglądając się nielicznym gościom przy stolikach, a Frank porwał Kayłę na parkiet, żeby znaleźć się pośród par wirujących przy muzyce. Nawet Henry zostawił swoją watę cukrową i napój na pustym stoliku, i wdrapał się na drzewo, żeby mieć lepszy punkt obserwacyjny.

- Co zrobisz, kiedy znajdziesz tego kogoś? - spytałam Johna nerwowo.  
- Chyba go nie... zabijesz?

Zanim te słowa do końca wyszły z moich ust, już ich pożałowałam. Chmura tak mroczna jak ta w moim wisioru przesłoniła twarz Johna. Odwrócił oczy.

- Nie. To nie powstrzyma Furii... niestety. Ale czują ból ciała, w którym się znajdują, więc przemoc bywa czasem bardzo skutecznym narzędziem.

Przygryzłam wargę. Mówił to żartobliwym tonem... ale i tak słyszałam w nim urażoną dumę.

Położyłam dłoń na jego ramieniu i powiedziałam:

- John. Przepraszam. Ale ty sam mi mówiłeś, że Furie znajdują sobie ciało kolejnego słabego człowieka, kiedy tylko to, w którym mieszkają, zostaje zniszczone. Zabijanie ich nie ma sensu. Sam tak powiedziałeś.

Hm, królowa Świata Podziemi chyba nie powinna być przeciwna zabijaniu, ale na tej ziemi było już dość śmierci i przemocy. I to właśnie Furie siały śmierć. Musiał być jakiś inny sposób, by je pokonać.

John pokręcił głową. Kiedy spojrzał mi w oczy, nie potrafiłam stwierdzić, czy w ogóle mnie słuchał.

- Idź, porozmawiaj z kuzynem - powiedział. - Ja zostanę na straży.

Zacisnęłam usta i podeszłam do Alexa, świadoma, że nie tylko John pełni nade mną straż.

- Alex - zagaiłam, siadając na krześle obok niego.

Nawet na mnie nie spojrzał; wciąż był skupiony na telefonie. Dopiero po paru sekundach zorientowałam się, że ma w uszach słuchawki. Siedział w kawiarni z fantastyczną muzyką na żywo i miał w uszach słuchawki. Niewiarygodne.

Wyciągnęłam mu jedną.

- Alex.

Poderwał głowę znad telefonu i odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Kiedy dotarło do niego, na kogo patrzy, nie uśmiechnął się. Wręcz przeciwnie. Nachmurzył się jeszcze bardziej.

- O, cześć, Pierce. Tato mówił, że wróciłaś. Szczerze mówiąc, przed chwilą dzwonił i powiedział, że w domu jest straszne piekło, bo byłaś tam ze swoim nowym chłopakiem i zostawiłaś jakiś list, że uciekasz, żeby się z nim hajtnąć, czy coś. To prawda? A jeśli tak, to co tutaj robisz?

Hajtnąć? Nie napisałam niczego o ślubie. Dlaczego wszyscy w mojej rodzinie tak uwielbiali dramatyzować?

- A co ty tutaj robisz? - odgryzłam się. - Przecież wujek Chris kazał ci wracać do domu.

- A ty co, zapisałaś się do trójki klasowej? - spytał Alex ze śmiechem. - I kto to mówi. Gdzie byłaś przez dwa dni? Wiesz, że gliny cię szukają? Twój tato już jedzie na Isla Huesos, i słyszałem, że nie jest tobą zachwycony. Lepiej uważaj, bo jeszcze ci obetnie ten tysiąc dolarów kieszonkowego na tydzień.

- Nie dostaję tysiąca dolarów na tydzień - odpaliłam, coraz bardziej wkurzona. - Do kogo piszesz?

Pokazał mi wyświetlacz. Grał w *World of Warcraft*.

- No więc, odłóż to na chwilę. Muszę z tobą porozmawiać.

- A o czym? - Nie odłożył telefonu. - O tym, jak twój nowy chłopak walnął babcię pięścią w twarz? W sumie to było niezłe. - Zachichotał. - Chciałbym go poznać.

W następnej sekundzie jego telefon zniknął. Nie dlatego, że Alex zdecydował się go schować i porozmawiać ze mną jak dorosły, ale dlatego, że John wyjął mu go z dłoni.

- Wygląda na to, że twoje życzenie się spełni - powiedział, siadając na pustym krześle koło mojego kuzyna.

- Stary - zaprotestował Alex, trochę oburzony i osłupiały jednocześnie. - To mój telefon. Co z nim zrobiłeś?

Telefon zniknął bez śladu. John nie trzymał go w ręce.

- Kuzynka poprosiła cię, żebyś go odłożył - wyjaśnił John dość uprzejmym tonem. - I nie mam na imię stary, tylko John. Pierce poświęciła dzisiaj dużo czasu i wysiłku, żeby cię znaleźć. Mógłbyś przynajmniej poświęcić jej trochę uwagi.

Alex patrzył na niego z wściekłością. Nawet w różowym blasku lampionów widziałam, że jest czerwony na twarzy - nie wiedziałam tylko, czy ze złości, czy ze wstydu.

Może z osłupienia. Bo w następnej chwili na środku stołu wylądowała szeroka płytką micha pełna parujących homarowych ogonów, krewetek, kurczaka, chorizo, warzyw i hiszpańskiego ryżu, a obok niej szklany dzban z lodowatą wodą, tak zimny, że aż pokryty rosą, półmisek ze stertą ciepłego kubańskiego chleba, talerze, szklanki i sztucce.

Nie zauważyłam żadnego kelnera. Po prostu w jednej chwili stół był pusty, a w następnej...

Zastawiony ciepłym jedzeniem, oszałamiająco pachnącym, osłoniętym od deszczu gęstymi liśćmi drzew.

- A teraz - oznajmił John, sięgając po serwetkę -przekąsimy coś smacznego. I zapraszamy cię, żebyś zjadł z nami. Kiedy skończymy, oddam ci telefon. Zrozumiałeś, Alexandrze?

Alex nie patrzył już ze złością. Wybałuszał oczy tak, że o mało nie wyskoczyły mu z głowy.

Wiedziałam, co sobie myślał. Jak John to zrobił? Sądziłam, że Mojry pracują tylko w Świecie Podziemi.

Ale nagle przypomniałam sobie ptaka, którego przywrócił do życia tamtego dnia na cmentarzu, i jaskrawy błysk, który wyczarował w domu mojej mamy. Nazwał to tandetną magiczną sztuczką...

Ale w tym nie było nic tandetnego, pomyślałam.

Czułam taki głód, że miałam w nosie, skąd wzięło się jedzenie. Sięgnęłam po serwetkę, rozłożyłam ją sobie na kolanach i przyjąłam potężną porcję paelli, którą John nałożył mi na talerz ze wspólnej michy.

- Jak... jak wy to robicie? - spytał Alex, podejrzliwie zerkając to na mnie, to na Johna. Był zdenerwowany. Głos



trochę mu drżał. - Czego ode mnie chcecie? To jakieś reality show? - Rozejrzał się po dziedzińcu w poszukiwaniu ukrytych kamer. - Jakby co, to znam swoje prawa. Nie możecie pokazać mojej twarzy, dopóki nie podpiszę umowy. A że jestem niepełnoletni, mój ojciec będzie musiał wyrazić zgodę.

- Alex - powiedziała. - To nie jest żadna telewizja. Po prostu chcę porozmawiać.

- Dlaczego? - Nieufnie zmrużył oczy. - Ja nic nie zrobiłem. I nie wiem, w co się wpackowałaś z tym gościem, Pierce, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. - Spojrzał na jedzenie. Było jasne, że myślał, że jest kradzione... albo zaczarowane. Zresztą, może i tak. Byłam tak głodna, że nic mnie to nie obchodziło. - Mam swoje własne problemy na głowie.

- Właśnie o nich chcę z tobą porozmawiać, Alex. - Już czułam się lepiej po kilku kęsach smacznego ryżu i krewetek. Jak na jedzenie wyczarowane z krainy ciemności, smakowało wręcz niebiańsko. - Wiem, jak się martwisz o tatę i jaki jesteś zły, że go wzięli na przesłuchanie w sprawie morderstwa Jade...

Alex zrobił zaczepną minę.

- Był ze mną w domu, kiedy została zabita - stwierdził. - To jakaś ściema, że ktoś go o to oskarżył. Wiesz, kogo powinni przesłuchać w sprawie Jade? Tego gościa. - Wycelował w Johna palec z obgryzionym paznokciem. - Kim on jest, do cholery? Nigdy w życiu go tu nie widziałem.

- Spokojnie - rzekłam ugodowym tonem. Alex pewnie nie chciałby tego słyszeć, ale miał z Johnem sporo wspólnego. Kiedy czuł się zapędzony w koziego róg, rzucał się na ludzi, którzy próbowali mu pomóc, bo przez wiele lat doświadczał tylko obojętności i okrucieństwa. Przecież

wychowywała go babcia. - John był ze mną, kiedy zginęła Jade - wyjaśniłam. - Więc on też tego nie zrobił. Jeszcze nie wiemy, kto to był. Więc wyładowywanie swojej frustracji na Secie Rectorze i ludziach ze skrzydła A nie jest...

Twarz Alexa z czerwonej nagle zrobiła się blada. Był jakby przestraszony... i może nawet odrobinę skruszony.

- Co?

- No właśnie, wiem o wszystkim - oświadczyłam, posyłając mu pełne dezaprobaty spojrzenie starszej kuzynki. Byłam starsza ledwie o parę miesięcy, ale to wystarczy. -Wiem, że chcesz coś zrobić z trumną.

Alex był coraz bardziej osłupiały.

- Z trumną?

- Alex, nie zachowuj się, jakbyś nie wiedział, o czym mówię. - Woda, której John nalał mi do szklanki, była orzeźwiająco zimna, szczególnie po pikantnej paelli. - Sam mi powiedziałeś, że to świetnie, że jestem w komitecie budowy trumny i dzięki temu będziesz cały czas wiedział, gdzie ona jest. To twoje słowa. To oczywiste, że planujesz zniszczyć trumnę, żeby odegrać się na Secie za coś, co ci zrobił.

Alex pokręcił głową. Widocznie szok mu częściowo minął.

- Jasne, Pierce - powiedział tonem ociekającym sarkazmem. - Właśnie dlatego tak się ucieszyłem, że jesteś w komitecie. Żeby wreszcie mógł zniszczyć marzenia Se-tha Rectora, tak jak on zniszczył moje, bijąc mnie w przedszkolu. Mówisz serio? Daj spokój.

Spojrzałam niepewnie na Johna. Ten uważnie przyglądał się Alexowi, ale jego palce poruszały się niespokojnie, nawet kiedy trzymały widelec. Był gotowy na każdy niespodziewany atak.

Obejrzałam się przez ramię. Frank wciąż kręcił Kaylę na parkiecie. Kayla była wniebowzięta, na twarzy miała szeroki uśmiech, głowę odrzuconą do tyłu, jej dzikie loki rozwiewały się jak brązowo-liliowa aureola. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że kiedy tańczyli, Frank, podobnie jak John, obserwował dziedziniec, a przede wszystkim ciemny kąt, w którym znajdował się nasz stolik. Oczywiście to nie miało żadnego znaczenia, że Kayla nie widziała, co się wokół niej dzieje. Nie widziała nawet, że na nią patrzę. I tak nie potrafiłaby mi wyjaśnić, dlaczego Alex tak bardzo nienawidzi Setha Rectora.

Odwrociłam się z powrotem do Alexa.

- Tak - potwierdziłam. - Mówię serio, Alex. Wiem, że planujesz zrobić coś, przez co narazisz się Sethowi. I ja ci na to nie pozwolę.

Twarz Alexa wykrzywił paskudny, drwiący grymas.

- Tak? A to dlaczego? - spytał ze złością. - Tak się boisz, że ta popularna banda przestanie cię lubić? Nie chcesz być kojarzona z nami, podrzędnymi Cabrero? No więc, coś ci powiem, Pierce. Chyba przekreśliłaś swoje szanse na bujanie się z tymi ze skrzydła A, kiedy zaczęłaś się szlajać z tym przypakowanym frikiem...

Dla lepszego efektu Alex wywrócił stolik, rozrzucając dookoła paelle, i skoczył na Johna.

Nie wiem, co sobie wyobrażał. John był prawie trzydzieści centymetrów wyższy od niego i sporo masywniejszy, a do tego solidnie umięśniony. No i jeszcze taki szczegół, że John był stróżem zmarłych i władcą Świata Podziemi... chociaż o tym akurat Alex nie mógł wiedzieć.

Sekundę później mój kuzyn siedział już z powrotem na plastikowym krzeselku, a John przytrzymywał go jedną

ręką. Alex sapał i wił się, usiłując się wyrwać. Wyglądał jak dżdżownica na haczyku.

- Czyś ty zwariował? - spytałam go, osłupiała, strzepując ryż z sukienki. - Co cię ugryzło?

John spojrzał na mnie i spytał:

- Jesteś cała?

- Oczywiście że jestem cała. Ale twoja pyszna kolacja - wpatrywałam się w bałagan na płytach dziedzińca. -Już po niej.

- Tym się nie przejmuj - odparł John i odwrócił się z powrotem do Alexa.

Jak miałam się nie przejmować? Czułam, że wszyscy na nas patrzą - choć na szczęście muzyka nie umilkła. Dziedziniec zaśmiecały skorupy potłuczonych zastawy i odłamki szkła z dzbana. Ryż i homarowe ogony były dosłownie wszędzie.

Pan Liu podszedł do nas tak pewnym krokiem, jakby był właścicielem tego miejsca.

- Wszystko w porządku - obwieścił autorytatywnym tonem, stając przed Johnem i Alexem, i zasłaniając ich przed gapiami swoim masywnym ciałem. - Nic się nie stało.

Ciekawscy odeszli. Tylko Henry zlął z drzewa, a Frank i Kayła szli w naszą stronę przez parkiet.

- Próbujemy ci tylko pomóc - powiedziałam do Alexa. - Nie obchodzi mnie, czy będę popularna, i nie obchodzi mnie żadna głupia trumna. Zależy mi tylko na tobie. I zrobię wszystko, żeby nic ci się nie stało.

- Gdyby ci naprawdę na mnie zależało - rzucił gniewnie Alex, wciąż usiłując wyrwać się Johnowi, który przytrzymał go na krześle - to dałabyś mi spokój. Nie masz pojęcia, przez co przechodzę.

- Nie. - John pochylił się nad nim i zaczął mówić cichym, groźnym głosem, którego miałam nie słyszeć. - To ty nie masz pojęcia, przez co ona przeszła, żeby cię tu znaleźć i z tobą porozmawiać. Oddychasz tylko dlatego, że ona nie lubi, kiedy robię ludziom krzywdę.

Alex posłał mu buntownicze spojrzenie, ale chyba uwierzył, bo zacisnął usta.

Kayla przybiegła do nas z garściami serwetek w dłoniach.

- O Boziu - jęknęła i zaczęła mi wycierać przód sukienki. - Laska, jesteś cała upaprana. Alex, odwaliło ci? Wszystko widziałam, nawet nie próbuj zaprzeczać, że ty zacząłeś. Co się stało z hasłem „odpuść sobie”, którego nas uczyli w programie?

Alex patrzył na nią chmurnie. Chyba nie miał w tej chwili ochoty słuchać sloganów Nowych Dróg.

- Kayla ma rację - potwierdziłam. - Nie wiem, dlaczego tak nienawidzisz Setha Rectora, i co ci zrobił, ale musisz sobie odpuścić. Bo tylko wpakujesz się w kłopoty.

- Pokaż mu - zaproponował ponuro Henry, wskazując moją torbę. - Pokaż mu w magicznym lusterku, o jakich kłopotach mówisz. Wtedy ci uwierzy.

Zobaczyłam, że oczy Johna błysnęły srebrem, jakby złapały światło wiszących dookoła lampionów. Nie byłam pewna, czy aprobeuje pomysł Henry'ego, czy wręcz przeciwnie, ale pomyślałam, że nie mam nic do stracenia, skoro rodzice i tak już wiedzą, że nie jestem przetrzymywana wbrew woli. Jak szybko FBI mogło namierzyć sygnał z komórki, skoro już mnie nie szukało?

Sięgnęłam do torby po telefon i włączyłam go. Niestety, zachowywał się dokładnie tak, jak powinien i pokazywał tylko esemesy - ponad dwieście, z czego większość od

mamy - zamiast upiornego filmiku z Alexem. Którego nigdzie nie mogłam znaleźć.

- Moje, hm, magiczne lustro nie działa tutaj jak w domu, Henry - powiedziałam.

Henry zrobił rozczarowaną minę.

- Tak czy inaczej, lepiej zrób, co ona ci każe - rzekł do Alexa. - Uwierź mi.

Alex nie był w stanie dłużej usiedzieć w milczeniu. Popatrzył na mnie, odrywając spojrzenie od Henry'ego i jego dziwnych ciuchów, i wypalił:

- Jezu, Pierce, co tu jest grane? Co to za ludzie? Rozumiem, że twój tato jest najbogatszym gościem w Stanach, ale żeby zaraz kupować sobie cyrk na własność?

Spojrzałam na Johna i pana Liu, którzy, to prawda, sterczeli nad nim z dość groźnymi minami. Ale to Alex pierwszy zaatakował Johna. To on tu był najbardziej agresywny.

- To moi przyjaciele - odparłam z oburzeniem. - I przyszli tu ze mną, żeby cię szukać, bo się o ciebie martwiłam.

Alexowi łamał się głos.

- Znikasz bez słowa, a potem wracasz, bo martwisz się o mnie? Dlaczego?

- Bo jesteś moim kuzynem - wyjaśniłam, urażona jego niedowierzaniem. - Troszczę się o ciebie. Wyczuwam, że masz kłopoty. Twój tato powiedział ci, że wróciłam, i poprosił, żebyś przyszedł do domu, a ty siedzisz tutaj i grasz w *World of Warcraft*. Nie sądzisz, że to trochę dziwne, Alex? Twoim zdaniem to nie jest sygnał, że dzieje się coś złego?

- Boże, ależ ty jesteś egocentryczką - odparł Alex z gorzkim śmiechem. Nie tylko oczy Johna płonęły. Brązowe oczy Alexa też stały się dziwnie błyszczące. - Zniknęłaś na chwilę, wróciłaś, a ja mam wszystko rzucić i pędzić do domu, żeby się z tobą zobaczyć? A ponieważ tego nie

zrobiłem, ty zwołasz ekipę frików, żeby mnie szukać, bo rzekomo mam jakieś kłopoty?

- To wszystko nie czyni z niej egocentryczki - stwierdził John chłodno.  
- Wręcz przeciwnie, jest jedną z niewielu osób w twoim życiu, które naprawdę obchodzi twój los. I masz kłopoty, Alex. Nawet nie próbuj zaprzeczać.

- To wszystko nie ma nic wspólnego z nią - wybuchnął Alex, celując we mnie palcem. - To się działo ponad dwadzieścia lat temu i to mój ojciec płaci cenę, cały czas, codziennie. Pierce, miło z twojej strony, że nagle chcesz pomóc, i twoja mama też, wróciła sobie tutaj i bawi się w dom, jakby wszystko było cudownie. Ale obie trochę się spóźniłyście na imprezę.

Dopiero pod koniec tej przemowy zorientowałam się, dlaczego jego oczy są takie błyszczące: były pełne łez. Alex płakał.

*„Z wszystkich aż dotąd zjawionych ci rzeczy (...)  
Godniejszej oczy nie spotkały twoje  
Niżli ten strumień, obecnie widomy,  
Na którym gasną ogniopłatków roje”.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń XIV

Oślupiały John puścił Alexa.

Ale mój kuzyn, zamiast próbować natychmiast uciec, zgiął się wpół na krześle i ukrył twarz w dłoniach, płacząc bezgłośnie.

Spojrzałam niepewnie na Kaylę, nie wiedząc, co robić. Miałam nadzieję, że skoro znała go dłużej niż ja, podpowie mi, jak z nim rozmawiać.

Ale jej szeroko otwarte oczy wyraźnie mówiły, że i ona nie ma pojęcia... tak samo jak wszyscy inni, sądząc po ich zmieszanych minach.

Z wyjątkiem Johna, który odezwał się o wiele łagodniejszym głosem niż przed chwilą:

- Chłopak ma dość. Ktoś powinien odprowadzić go do domu. -  
Dostrzegł chyba, że Alex nosi w sobie o wiele więcej bólu, niż podejrzewałam, bo zawsze zachowywał się tak, jakby miał w nosie wszystko i wszystkich.

Ale najwyraźniej tak nie było, bo słysząc sugestię Johna, jęknął:



- Nie. Proszę was. - Nie odsłonił twarzy. - Nie chcę wracać do domu.

- Czekaj - powiedziałam do Johna, stawiając na nogach jedno z wyróconych krzeseł. Usiadłam na nim i położyłam dłoń na plecach kuzyna.

- Alex, dlaczego?

- A ty byś chciała? - spytał niewyraźnie, bo wciąż mówił we własne dłonie. - Gdybyś musiała z nią mieszkać?

Doskonale wiedziałam, kogo miał na myśli. Widziałam ją oczami duszy, stojącą przy słupku schodów i sięgającą do torebki po sprej z gazem pieprzowym. O ile wiedziałam, Alexa nigdy nie potraktowała gazem, ale uwielbiała wygłaszać wykłady na temat jego rzekomych wad.

- Nie - przyznałam. - Ale w domu jest twój tato. I kiedy znajdzie pracę, wprowadzicie się...

- On nie znajdzie pracy - jęknął Alex. - Nikt go nie zatrudni, bo siedział w więzieniu...

Kiedyś nakryłam mamę i wujka Chrisa, jak dyskutowali na ten temat. Mama proponowała mu pożyczkę - chciała nawet kupić mu łódź, żeby czarterował ją na wyprawy wędkarskie - ale odmówił. Powiedział, że docenia gest, ale nie chce jałmużny. Uparł się, że sam sobie poradzi.

- ...i pewnie zostanie oskarżony o morderstwo Jade. Zrozumiałam, że Alex ma rację.

- Pracujemy nad tym - zapewniłam go.

- Pracujecie nad tym? - Wciąż mówił we własne dłonie. - Jak nad tym pracujecie? Jesteś rozpieszczoną bogatą dziewczyną z Connecticut, która umarła i ożyła nie całkiem normalna. Wszyscy to wiedzą. Teraz uciekłaś z tym swoim mięśniakiem na sterydach. Raczej nie jesteś Nancy Drew, do diabła.

To zabolalo. Nie zebym kiedykolwiek chciala byc Nancy Drew - no, moze jako dziesieciolatka. A John nie byl miesniakiem na sterydach.

- Pierce. - Twarz Johna byla jak z kamienia. - Chodzmy stad. On nie chce naszej pomocy.

Wiedzialam, ze John ma racje. Nie mozna pomoc komus, kto nie chce jej przyjac. Ale mimo wszystko...

Dopiero kiedy Hope przyfrunela do nas, wyladowala u stop Alexa i zaczelu mu sie przygladac pytajacym wzrokiem, oderwal wreszcie dlonie od twarzy.

- Jezu kochany - skrzywil sie z niesmakiem. - Dlaczego ten ptak na mnie patrzy?

- To ptak panny Oliwieri - wyjasnil wesoło Henry. -Dostala go w prezencie od kapitana.

Kayla walnela mnie pieścią w ramie.

- John ma patent kapitański? - szepnela. - Ale z ciebie szczesciara. Frank mowi, ze tylko laduje towar.

Spojrzałam na Franka. Ciekawe, czy podobalby sie Kayli tak bardzo, gdyby wiedziala, ze ten „towar” to ludzkie dusze. Zwróciłam sie do Alexa.

- Co miales na myśli, kiedy powiedziales, ze wujek Chris placi za cos, co stalo sie ponad dwadziescia lat temu? Masz na myśli aresztowanie? Co to ma do rzeczy?

- Nic - odparl ponuro. - Zmienilem zdanie. Jednak chce wrócic do domu.

Nie uwierzylam w te nagla odmiane. Wiedzialam, ze po prostu chce sie wymigac od rozmowy. Nigdy nie widzialam Alexa tak rozbitego emocjonalnie, chociaz powinnam byla wiedziec, ze jest wzraliwy. To dlatego byl w programie Nowe Drogi, tak jak ja.

- Wiem - powiedzialam. - Odstawimy cie do domu. Ale najpierw cos mi powiedz. Dowiedzialam sie dzisiaj, ze

moja mama i ojciec Setha Rectora chodzili ze sobą w ogólniaku... i nawet mieli się pobrać. I że oni dwoje, i twój tato, i tato Farah Endicott byli paczką... dopóki twój tato nie został aresztowany. Wtedy moja mama i ojciec Setha zerwali ze sobą. Wiedziałaś o tym?

Alex spojrział na mnie drwiąco, choć oczy wciąż miał czerwone od płaczu.

- Pierce, jesteś chyba ostatnią osobą na tej wyspie, która o tym nie wiedziała.

- Ja też nie wiedziałam - wtrąciła się Kayla. Kiedy wszyscy na nią spojrzeli, dodała zażenowana: - Ale ja i moja mama nie mieszkamy tu zbyt długo.

Posłałam jej przelotny uśmiech i znów spojrzałam na Alexa.

- Wiem, że pan Rector i pan Endicott dalej się przyjaźnią. Budują razem nowe osiedle na Reef Key. Pytali nawet, czy mój tato nie chciałby w nie zainwestować.

Alex zmierzył mnie zimnym wzrokiem.

- No, pięknie - rzucił wciąż tym samym drwiącym tonem. - Nie miałem pojęcia, że moja kuzynka jest tak skutecznym detektywem. To to robiłaś przez ostatnie dwa dni? Śledziłaś potajemnie ludzi? Powiedz mi, jakie jeszcze niesamowite tajemnice odkryłaś ze swoją ekipą CSI?

- Odkryła - wtrącił pan Liu, zbliżając się do niego groźnie - że chłopcy, którzy pyskują damom, często dostają po łapach.

Zamrugałam zdumiona, patrząc na pana Liu. Spodziewałabym się takiej reakcji po Johnie, ale po jego załodze? Nawet John spojrział z wdzięcznością na swojego bosmana.

Alex, lekko wystraszony, powiedział już grzeczniejszym tonem:

- Dwadzieścia lat temu, zanim państwo rozwinęło programy do walki z przemytem, Wyspa Kości była ważnym punktem przerzutowym... nie tylko nieoclonionych rzeczy, ale i narkotyków. Zresztą wciąż przyplływają z Meksyku i Kolumbii łodziami podwodnymi, bo Straż Wybrzeża nie ma jak ich wypatrzeć. Ale na brzegu zawsze musi być ktoś, kto odbierze towar i ukryje go, zanim zostanie bezpiecznie przewieziony do Miami.

- To robił twój tato? - spytałam łagodnie. - Odbierał jakiś... nielegalny towar?

- Był dzieciakiem - odparł z przejęciem Alex. - W naszym wieku, Pierce. Ale ponieważ to były czasy wojny narkotykowej, a on był miejscowym bohaterem boiska, i nazywał się Cabrero, a nie Rector czy Endicott, i ponieważ przyłapanie go narobiło wstydu całej wyspie, postanowili zrobić z niego przykład. Dostał dwadzieścia lat za posiadanie z zamiarem dystrybucji. To było jego pierwsze przestępstwo... nie miał wcześniej zatargów z prawem, nie miał broni, nie użył przemocy, nic z tych rzeczy. Ale nie chciał nikogo wsypać, bo niektórzy ludzie są lojalni wobec przyjaciół. - Pokręcił głową, a w oczach wciąż błyszczały mu łzy. - I tyle z tego miał. Fajni przyjaciele, co?

Muzyka przycichła. Grali jakąś hiszpańską balladę. Kobieta w czerwonej sukni śpiewała, jej głos był łzawy jak deszcz padający na ulicy i spomiędzy gęstych koron drzew. Ale deszczyk był lekki, a liście gęste, więc dziedziniec pozostał suchy. Znów zahuczał grzmot, ale jakby dalej na morzu niż wcześniejsze. Burza chyba odchodziła. A przynajmniej oddalało się to jedno pasmo deszczu.

Prawdziwa burza, jak podejrzewał John, miała dopiero nadejść.

- Więc to nie Seta tak naprawdę nienawidzisz - powiedziałam cicho - tylko jego ojca... i ojca Farah, i wszystkich innych znajomych wujka Chrisa z czasów, kiedy został aresztowany... może nawet mojej mamy. - Ostatnie słowa dodałam z bólem, ale nie mogłam mieć za złe Alexowi, że tak to widzi. Moja mama opuściła go, kiedy potrzebował nas najbardziej. Choć tak jak ja próbowała teraz wszystko naprawić. - Bo myślisz, że byli zamieszani w to, co robił, i pozwolili, żeby sam poniósł odpowiedzialność. O to chodzi?

- Tak, Pierce - odparł Alex z goryczą, przesuwając palcami po ciemnych włosach. - O to chodzi. Pieniądze, które Richard Rector wydaje na osiedle Reef Key i na sponsoring tego głupiego festynu... a nawet na to koszmarnie mauzoleum swojej rodziny. Część tych pieniędzy należy się mojemu tacie. Zarobił je, siedząc tyle czasu w więzieniu i nie zdradzając, kto jeszcze był zamieszany w przemyt, jak prawdziwy przyjaciel. Ale czy dali mu chociaż centa, kiedy wyszedł? Czy dali mu chociaż pracę na tym nowym osiedlu? Czy chociaż zaprosili go na obiad? Nie, po co.

Nie wiedzieć czemu zerknęłam na Kaylę, jedyną postronną osobę, która nie mieszkała w Świecie Podziemi. Nie chodziło o to, że jej nie ufałam, że bałam się, że wszystko wypaple. Wręcz przeciwnie, kiedy byłam przy niej, diament na mojej szyi robił się liliowy, co nie działo się przy nikim innym (nie teraz, oczywiście. W tej chwili wciąż miał odcień błotnistej czerni, który wskazywał, że gdzieś niedaleko czaiło się zło).

Ale wiadomość o tym, że jeden z najbardziej wpływowych ludzi w mieście być może zbudował fortunę dzięki pieniądzom z narkotyków, była dość wybuchowa. Ja na jej miejscu nie utrzymałabym języka za zębami.

Nie rozumiałam tylko, jakim cudem moja mama utrzymała go tak długo.

- Alex - spytałam. - Skąd ty to wszystko wiesz? Czy... czy wujek Chris powiedział ci, że tak było? Że pan Rector i pan Endicott brali w tym udział?

Alex się skrzywił.

- Oczywiście że nie - odparł. - Nie chce mówić o niczym, co ma związek z jego odsiadką. Ale zbadałem tę sprawę. Wiem, że to prawda. Wszyscy myślą, że Rectoro-wie to taka świetna, szacowna rodzina, tak jak myślą, że Isla Huesos to wyspiarski raj. Ale ja znam prawdę o jej ciemnej stronie, która kryje się za fasadą.

Nie mogłam nie zerknąć na Johna. On też spojrział na mnie, zaniepokojony. Alex nie mylił się co do ciemnej strony Isla Huesos.

Nie wiedział tylko, jak głęboko naprawdę sięga.

- .. .kłamstwa, chciwość i morderstwo. Tak, morderstwo. -Oczy Alexa błyszczały gorączkowo. - Nie mów mi, że śmierć Jade nie jest z tym powiązana. To za duży zbieg okoliczności. Zginęła, bo natknęła się na cmentarzu na coś, czego nie powinna była zobaczyć. Jeśli myślisz inaczej, to jesteś nienormalna. Albo ktoś zabił ją, żeby zrobić mego tatę i posłać go z powrotem do więzienia, bo tam będzie dalej milczał...

- Och, Alex. - Serce przepełnił mi lęk o niego. - To na pewno nie jest tak...

- Właśnie że jest, Pierce - upierał się. - I ja to udowodnię. A kiedy już znajdę dowód, wysadzę w powietrze Seta i jego tatusia, i całą tę wyspę.

- I co dobrego z tego przyjdzie? - spytał niespodziewanie pan Liu.

- Co dobrego? - Głos Alexa znów się łamał. - Ludzie poznają prawdę...

- Czasami lepiej chronić ludzi przed prawdą - zauważył John z nieobecny spojrzaniem.

Zaraz... mówiliśmy o ujawnieniu prawdy o Świecie Podziemi, czy o kryminalnym świątku, który według Alexa tutaj istniał? Czy może mówiliśmy o chronieniu mnie przed prawdą o przeszłości Johna? Sama już nie wiedziałam.

Ale w pewnym sensie przyznawałam Johnowi rację. Czasem lepiej nie wiedzieć. Na przykład ci tańczący ludzie. Czy przyszliby się tu bawić tak radośnie, gdyby wiedzieli, że pod ich stopami istnieje ponura stacja przesiadkowa dla dusz niedawno zmarłych ludzi?

- Alex - powiedział John, zanim ja zdążyłam wymyślić, jak o to zapytać: - Czy twój ojciec mówił, że chce czegokolwiek od Rectorów?

- Nie - odrzekł Alex, kręcąc głową. - Właśnie o to chodzi. Nigdy nie wspomniał o tym słowem. Składa tylko niezliczone podania o pracę, której nigdy nie dostanie, odwiedza kuratora i chodzi na mityngi. - Miał na myśli mityngi Anonimowych Alkoholików. - Ale to nie fair. Ja wiem, skąd się wzięły pieniądze ojca Seta. Jest dłużnikiem mojego taty. Ale tato jest zbyt dumny, żeby poprosić.

John pokręcił głową.

- Nie. Twój ojciec nie prosi, bo nie chce tych pieniędzy. Pieniądze Rectora są brudne, skażone... nie wspominając o tym, że zarobione nielegalnie. Twój ojciec wie, że jeśli po nie sięgnie, nie wyniknie z tego nic dobrego. To dlatego nie poprosił, a nie dlatego, że jest zbyt dumny. Uwierz mi.

Nie ja jedna spojrzalam na Johna zaintrygowana. Alex i Kayla też mu się przyglądali. Mówił z takim przejęciem... jakby znał to wszystko z własnego doświadczenia.

Co John mógł wiedzieć o Rectorach i ich pieniądzach?

- Pieniądze to pieniądze - stwierdził twardo Alex. -Szczególnie kiedy ktoś jest ci je winien.

- Mylisz, się, chłopcze. - Tym razem wtrącił się Frank. -Panna Kayla ma rację. Musisz sobie odpuścić.

Panna Kayla była zachwycona, że Frank powołał się na jej mądrość. Odrzuciła do tyłu brzegi peleryny i dosłownie zaczęła się puszyć, jak Hope.

- To prawda - zwróciła się do Alexa.

Alex wstał z krzesła, płosząc Hope, która zatrzepotała z oburzeniem skrzydłami i przefrunęła parę kroków dalej.

- W ogóle nie macie pojęcia, o czym mówicie - rzekł z goryczą. - A szczególnie ty, Pierce. Ty zawsze miałaś kasę. I nie musisz mieszkać z babcią.

Co do tego miał rację. Ale teraz mieszkałam w Świecie Podziemi, ze zmarłymi. Nie wiem, co było gorsze.

- Jeśli chodzi mu tylko o pieniądze... Zobaczyłam, że Frank grzebie w kieszeni. I wiedziałam,

co się zaraz stanie: wręczy Alexowi garść hiszpańskich monet, które nie były w obiegu od ponad stu pięćdziesięciu lat... tak błyszczących i nowiutkich, że będzie jasne, że nie leżały w jakimś wraku, na który Alex natknął się na rafie.

- Nie, Frank - powiedziałam, szybko stając przed nim. - To bardzo miło z twojej strony, ale nie.

Frank spojrział na Kaylę, która przyglądała mu się z ciekawością.

- Dlaczego nie? - spytał. Chciał się przed nią popisać swoim bogactwem.

- Bo ludzie będą zadawać zbyt wiele pytań, skąd to wziął - wyjaśnił mu John, który doskonale rozumiał sytuację. - A jego rodzina jest na cenzurowanym.



Frank wzruszył ramionami i wpuścił monety z powrotem do kieszeni.

- Zaraz. - Kayla obserwowała tę wymianę zdań z wielkim zainteresowaniem; jej czarne oczy błyszczały mocniej niż kryształki, które przykleiła obok nich. - Wy naprawdę jesteście piratami?

- Nie - odpowiedziałam jej szybko. - Nie są. Przyjechałaś tu samochodem?

Przez moment była trochę zdezorientowana zmianą tematu, ale w końcu kiwnęła głową.

- Mama pożyczyła mi auto na wieczór.

- Świetnie - odparłam. - Zawiesz go do domu? - Wskazałam ruchem głowy Alexa.

- Co? - Alex zrobił zaskoczoną minę. - Mam własny samochód.

- Zabierz mu kluczyki - poleciłam Johnowi, który ponuro kiwnął głową i z pomocą pana Liu zaczął przeszukiwać protestującego Alexa.

- Dopilnujesz, żeby Alex dał się odwieźć i żeby Kayla wróciła bezpiecznie do domu? - spytałam Franka.

- Nic nie sprawi mi większej przyjemności - zapewnił Frank i wyszczerzył się do Kayli, która odwzajemniła mu się zalotnym uśmiechem.

Trochę mnie to zaniepokoiło, ale chyba nie miałam wyboru. Musiałabym prosić Johna, żeby odstawił go do domu. A to mogłoby wprowadzić jeszcze większy zamęt w umyśle Alexa, już i tak nadwyreżonego magiczną paellą.

- To nie fair - zaprotestował Alex, kiedy John znalazł jego kluczyki i schował je do kieszeni. - Pierce, jeśli to zrobisz, dzwonię po gliny. Powiem im wszystko o tobie i twoim gangu, a potem odbiorę nagrodę od twojego ojca...

- To powodzenia - odparłam głucho. - Tato odwołał nagrodę. Zdaje się, że już nikt mnie nawet nie szuka.

Gdybyś robił coś więcej niż tylko grał w *World of Warcraft*, może byś to wiedział.

- A poza tym mam twój telefon - zauważył John, przysuwając twarz centymetry do twarzy Alexa. - Pamiętasz? Po nikogo nie zadzwonisz.

Alex zbladł i spojrzał na mnie.

- Pierce - powiedział potulniejszym tonem. - Serio. Opuść sobie tę historię z ojcem Setha Rectora. Przysięgam. Tylko niech on mi odda kluczyki. I telefon. Proszę cię.

- Zastanowię się nad tym - odparłam. - Ale nadal się o ciebie martwię. - Spojrzałam na niego błagalnie. - Nie chcę, żeby coś ci się stało. Więc obiecaj mi, że dasz sobie spokój z tą swoją zemstą na Rectorach za to, co zrobili twojemu tacie. Nie warto przez to umierać. Naprawdę.

i jestem pewna, że twój tato by się ze mną zgodził. On cię kocha. Ja zresztą też.

Zrobił zaskoczoną minę. Nasza rodzina nie była szczególnie wylewna, jeśli chodzi o wyznawanie miłości. Z wyjątkiem wujka Chrisa, z którego po wyjściu z więzienia uczucia wręcz buchały. Nawet listonoszowi powiedział kiedyś, że go kocha.

- O... obiecuję - powiedział Alex zażenowany. Jeszcze bardziej się speszył i zeszywniał jak słup, kiedy podeszłam i uściskałam go. Ale może po części dlatego, że moja sukienka była upaprana paellą, a nie tylko dlatego, że nie był zbyt często przytulany.

- Och - westchnęłam, puszczając go ze śmiechem. -Przepraszam. Śmierzę rybami. Jest tu gdzieś damska toaleta?

- Jasne - odparła Kayla z uśmiechem. - To tylny dziedziniec hotelu. Wejście jest od frontu, ulicę dalej, ale do toalety można wejść przez tylną werandę, tędy. Już tam by-

łam. Całkiem niezła. Mają tylko jedną kabinę, więc trzeba poczekać, jak jest kolejka. Ale przynajmniej we foyer są fotele, można czekać na siedząco...

- Pierce. - Poczulałam dłoń na ramieniu. Odwróciłam się i zobaczyłam Johna, patrzącego na mnie ze zdziwieniem. - Dokąd ty idziesz?

Nagle przypomniałam sobie, że nie jestem zwykłą licealistką która wyszła z przyjaciółką i plotkuje o chłopakach ze szkoły. Chociaż nigdy kimś takim nie byłam. Zawsze interesował mnie tylko jeden chłopak. Opiekun zmarłych.

Jego oczy, kiedy tak na mnie patrzył, pełne były niewypowiedzianych pytań... i ognia.

Kayla nie zauważyła ognia.

- Stary - powiedziała ze śmiechem, który zabrzmiał dziwnie głośno na dziedzińcu. Muzycy zeszli ze sceny, choć nie spakowali jeszcze instrumentów. Chyba po prostu zrobili sobie przerwę. - Wyluzuj. Idziemy do hotelu, żeby się odświeżyć w toalecie.

Wskazała nasz cel - tylne wejście do hotelu. Hope, która chyba rozumiała sytuację lepiej niż John, znalazła już sobie osłonięte od deszczu miejsce do siedzenia w oczkach uroczego, ażurowego wykończenia, zdobiącego dach szerokiej werandy.

- Chcesz pójść z nami i sprawdzić foyer, żeby się upewnić, czy nie czeka tam pan OIMera z dwururką i nie spróbuje jej odbić? - spytała Kayla z nutą rozbawienia w głosie.

Śmiech Johna pewnie wydał się Kayli naturalny i swobodny. Ale ja słyszałam, że jest wymuszony.

- Świetny pomysł - powiedział, obejmując mnie za szyję.

Spojrzałam tam, gdzie patrzył i on: nie na tylne wejście do hotelu, ale na mój diament. Zrobił się hebanowy.

W słabym czerwonym blasku lampionów niemal nie różnił się kolorem od mojej sukienki... nie licząc plam po paelli, oczywiście.

- Nie martw się, kapitanie - mówiła Kayla ze zwykłą pewnością siebie.

- Umiem się opiekować ludźmi. Moją mamą opiekuję się już od lat, od kiedy ojciec odszedł. Jesteśmy tylko we dwie... no i mój brat, ale to straszny gnojek. Odstawię ci Alexa bezpiecznie do domu. Spoko wodzu.

Ta przemowa nie przygasiała płomieni w oczach Johna, ale zobaczyłam, że uśmiechnął się szeroko, kiedy nazwała go kapitanem.

Ale zanim którekolwiek z nas zdążyło jej odpowiedzieć, oślepił mnie jaskrawy błysk, nie wiadomo skąd. Kiedy zgasł, widziałam tylko fioletowe plamy. Przez chwilę nie miałam pojęcia, co się stało - czy to był błysk z lufy broni palnej, czy kolejny fajerwerk towarzyszący teleportacji - wiedziałam tylko, że ręka Johna odruchowo objęła mnie mocniej.

Dopiero kiedy usłyszałam męski szept - który, jak to zazwyczaj szept, niósł się o wiele dalej, niż sądził szepczący - zrozumiałam, co się dzieje.

- Co? Jedno zdjęcie. Komu to zaszkodzi? Zobacz, jacy są uroczy.

Flesz aparatu. Tylko tyle - flesz aparatu. Nic dziwnego, że oślepiłam.

- Schowaj to, do licha - usłyszałam oburzony głos drugiego mężczyzny.

John puścił mój bark. Poczułam jego dłoń na środku pleców.

- Idź - rzucił nagląco i popchnął mnie w ciemność.

*„Wiedzą, że skonu dzień im się nie znaczy,  
A ciemnym bytem tak są tutaj mali,  
Że wszystko inne przenieśliby raczej”.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń III

Boże kochany - powiedziała Kayla, kiedy klapnęła na sofę we foyer, do którego mnie wciągnęła. - Strasznie nadopiekuńczy ten twój chłopak. Ten gość chciał ci tylko zrobić zdjęcie, bo jesteś sławną ofiarą porwania. No dobra, może już nie jesteś. Ale jeszcze parę godzin temu byłaś.

- John nie jest nadopiekuńczy - zaprzeczyłam urażonym tonem, zaniepokojona, że ktoś mógł ją usłyszeć. Ale we foyer nie było nikogo oprócz trochę nierozgarniętego recepcjonisty.

Tylko raz oderwał pełne dezaprobaty spojrzenie od ekranu komputera, kiedy Kayla przeciągnęła mnie koło jego biurka za róg, do drzwi z napisem „Damas”. Były zamknięte. Ktoś był w środku.

- Kayla - powiedziałam do niej, kiedy pchnęła mnie na sofę stojącą naprzeciwko drzwi toalety. - Jestem pewna, że to tylko dla gości hotelowych.

- Nie ma żadnych gości z powodu obowiązkowej ewakuacji turystów przed huraganem, więc o co temu facetowi chodzi? Nikomu nie przeszkadzamy. - Wyjęła lusterko

z torebki dyndającej jej na ramieniu i sprawdziła, czy eyeliner jej się nie rozmazał. - To jak to jest z tym Frankiem? Ma dziewczynę?

Zawahałam się. Chociaż recepcjonista siedział za rogiem i nie było go widać, a hotel wyglądał na ostatnie miejsce, w jakim mogłaby pojawić się Furia - na ścianach wisiały amatorskie plażowe landszafty, pewnie malowane przez gości, a foyer śmierdziało perfumowanym potpourri - nie mogłam się pozbyć uczucia, że jesteśmy obserwowane.

Może dlatego, że wielkie, szklane drzwi prowadzące na tylną werandę były otwarte i wpuszczały nocne powietrze, bełtane łopatkami potężnych sufitowych wiatraków. Trudno było dostrzec cokolwiek na dziedzińcu, bo w hotelu paliły się wszystkie światła. Dziedziniec, mimo kolorowych lampionów, wyglądał jak morze ciemności.

Chociaż wypatrywałam Johna, od czasu do czasu widziałam tylko błysk białej koszuli Henry'ego. Chwilami naszych uszu dobiegał chłopięcy śmiech.

To mnie trochę uspokoiło. Skoro Henry się śmiał, to John raczej nikogo nie mordował. Mój diament miał kolor jasnego fioletu - taki sam, jak pasemka we włosach Kayli.

- Ha! - powiedziała Kayla i znów walnęła mnie pięścią w ramię. - Frank?

- Au. - Roztarłam bark. - To bolało.

- Sorka - rzuciła Kayla, ale nie wyglądała na skruszoną. - Mam problemy z samokontrolą. Niby dlaczego jestem w Nowych Drogach? Ciesz się, że nie walnęłam cię gaśnicą w głowę. Więc ma dziewczynę, czy nie? Nie wyobrażam sobie, że takie ciacho mogłoby nie mieć.

- Frank z całą pewnością nie ma dziewczyny - zapewniłam ją. - Dlaczego mam się cieszyć, że nie walnęłaś mnie gaśnicą w głowę? Chyba nie powiesz, że kogoś walnęłaś?

Kayla, zadowolona z informacji o Franku, sięgnęła do torebki po błyszczak.

- Mojego starszego brata. Jest ćpunem.

- Kalya. - Wytrzeszczyłam na nią oczy. Wzruszyła ramionami do własnego odbicia w lusterku.

- Bił mamę, kiedy nie dawała mu pieniędzy na dragi. Dlatego rozumiem wszystko, co mówił Alex... rozumiem jego wściekłość na to, co robią Rectorowie, jeśli to prawda. Mama próbowała z Julianem wszystkiego. Odwyku, obozów w dziczy, psychoterapii. Czasami chciałam, żeby go aresztowali, żeby wreszcie dał jej spokój. Zadziałało dopiero, jak rzuciłam się na niego z gaśnicą, bo któregoś wieczoru wróciłam do domu i zastałam go w kuchni, jak dusił mamę. - Jej uśmiech był krzywy. - I teraz to ja chodzę z łatką osoby, która nad sobą nie panuje. Niezłe, co?

- O Boże. - Serce ścisnęło mi się ze współczucia. -Kayla, nie miałam pojęcia.

- Spoko - odparła lekkim tonem, ale widziałam, że wcale nie jest spoko. - Julian wyprowadził się do Wyomingu, żeby odnaleźć siebie. A mama jest zaręczona z ratownikiem medycznym, który tamtej nocy przyjechał. Fajny facet. - Kayla popatrzyła na mnie z powagą. - A dla twojej wiadomości, myślę, że to, co Alex mówił o ojcu Setha, może być prawdą. I to nie dwadzieścia lat temu, ale teraz. Moja mama jest pielęgniarką na tutejszym oddziale ratunkowym... właśnie dlatego przeprowadziłyśmy się na Florydę, po prostu tu jest dużo pracy... i haruje po godzinach, co powinno ci dać do myślenia. Dlaczego na tak małej wyspie bez przerwy tyle ludzi ląduje na OR? Z tym miejscem jest coś nie tak, mówię ci. I nie chodzi mi o Noc Trumien. Mama mówi, że komendant Santos stara się me dopuszczać tego do gazet, żeby turyści się nie wystraszyli,

bo są głównym źródłem dochodu wyspiarzy. Ale to nie znaczy, że nic się nie dzieje.

Wiedziałałam, że Kayla ma rację.

Wiedziałałam też, że to, co dzieje się na Isla Huesos, nie ma nic wspólnego z ojcem Setha Rectora i jego domniemaną przestępczą działalnością. To wszystko działo się dlatego, że na wyspie roilo się od Furi, i że siedziała na wielkim wypasionym Świecie Podziemi.

Ale nie mogłam o tym powiedzieć głośno. Bo nikt -nawet Kayla - by mi nie uwierzył.

Powiedziałam tylko:

- Dzięki, że mi to wszystko mówisz, Kayla. To dużo dla mnie znaczy. Alex ma szczęście, że jesteś jego przyjaciółką, nawet jeśli się zachowuje, jakby cię nie doceniał.

- Ja też bym nie chciała, żeby zrobił coś głupiego i wpakował się w kłopoty jak... - Spojrzała na mnie. - Bez urazy, laska, ale jak ty.

- Dzięki - odparłam z cierpkim uśmiechem.

- Bo Seth i jego kumple... to nie są aniołki, Pierce. -Głos Kayli stwardniał. - Czy ty wiesz, jak mnie wyzywają na korytarzach przez to? - Wskazała swój biust.

W tej chwili zrozumiałam, że ta jej maska pewności siebie była tylko... maską, kostiumem, takim samym jak ten, w który ubrała się na Festyn Trumien. Chociaż Kayla miała więcej powodów do wiary w siebie niż ktokolwiek z tych palantów ze skrzydła A.

- Kayla - powiedziałam. - Mam nadzieję, że wiesz, że jesteś piękna, wewnątrz i na zewnątrz. I każdy, kto tego nie widzi, nie jest wart twojego czasu.

- Mam nadzieję, że nie mówisz o Franku - odparła. Jeszcze raz uniosła lusterko, by palcami przeczesać loki. - Lepiej, żeby zauważył, jaka jestem piękna. I to nie



tylko wewnętrznie. - Spojrzała na mnie i wyszczerzyła się radośnie. - Żartuję. Ale nie żartuję co do tego, że gdyby coś złego stało się Sethowi i jego kumplom, wcale bym ich nie żałowała. I na pewno nie żałowałabym ojca Setha, gdyby się okazało, że to, co mówi o nim Alex, to prawda. - Spoważniała. - Ale nie chcę, żeby Alexowi stała się krzywda. Więc jeśli czegoś ode mnie potrzebujesz, laska, wystarczy poprosić. Jest głupi, ale uroczy. Głupio uroczy. No.

Uśmiechnęłam się. - Zgadzam się z tobą. Dzięki, Kay...

Drzwi damskiej toalety otworzyły się wreszcie i osoba, która siedziała tam tak długo wyszła na korytarz. Była to śpiewaczka, która występowała z zespołem na scenie. Z bliska była jeszcze bardziej olśniewająca, niż kiedy widziałam ją z daleka...

- Cześć, dziewczyny - powiedziała, posyłając nam śliczny uśmiech. - Przepraszam, że tak długo. - I przepłynęła obok nas, prowokacyjnie bujając biodrami pod obcisłą sukienką, zostawiając za sobą delikatną chmurę perfum.

- La! - jęknęła Kayla, kiedy śpiewaczka sobie poszła.

- Grube niedopowiedzenie - rzuciłam z uśmiechem. Wzięłam torbę. - Zaraz wracam.

Poszłam szybko do toalety i przekręciłam za sobą zamek. Tak jak i we foyer, wystrój był tu staromodny, z wyeksponowaną zabytkową stolarką. Był nawet mały witraż przedstawiający skaczącego delfina, w uchylonym okienku wysoko pod sufitem.

Zdjęłam brudną sukienkę, wpakowałam ją do umywalki na porcelanowej nodze i odkręciłam kurek. Strasznie chciałam się pozbyć zapachu paelli.

Nagle dotarło do mnie, że to, co robię, jest bez sensu. Czy naprawdę zamierzałam nosić ze sobą mokrą sukienkę?

Ale tak bardzo spieszyło mi się z powrotem do Johna, że nie pomyślałam, co robię.

No trudno. Miałam w torbie jeszcze tę białą sukienkę, którą zabrałam z domu. Oby nie była zbyt pomięta.

Uklękałam na kafelkach i zaczęłam grzebać w torbie w takim pośpiechu, że parę rzeczy mi wypadło. Sukienka była pomięta, ale bez tragedii. Włożyłam ją - była dość obcisła, więc zmarszczki się rozprasowały - i sięgnęłam po szczotkę do włosów...

I wtedy ją zobaczyłam. Książkę o historii Isla Huesos, którą pożyczył mi pan Smith. Wypadła mi z torby na podłogę i otworzyła się na stronie z ilustracjami. Jedną z nich był portret mężczyzny w wysokim kołnierzyku i z bokobrodami, który, jak głosił podpis tłustym drukiem, nazywał się William Rector.

Rector? Czy od tej rodziny nie było ucieczki?

Odłożyłam szczotkę i podniosłam książkę, by przeczytać tekst na stronie obok portretu Rectora.

No i proszę. Z książki wynikało, że William Rector -z pewnością jakiś praprapradziadek Setha, bo podobieństwo było uderzające - prowadził najbardziej dochodowe wrakarskie przedsiębiorstwo na wyspie w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, aż do 11 października 1846 roku, kiedy to zginął podczas Wielkiego Huraganu.

Autor wyjaśniał, że nie sposób przecenić znaczenia biznesu wrakarskiego w początkach historii Isla Huesos (dlatego maskotką liceum był wrakarz, a nie trumna).

Według prawa morskiego pierwszy kapitan jednostki ratunkowej, który dotarł do rozbitego statku, był wynagradzany połową wartości tego, co on i jego załoga zdołali ocalić z ładowni wraku. Dzięki temu takie akcje były niezwykle dochodowym zajęciem. Cieśnina między Isla

Huesos i Kubą była w dziewiętnastym wieku bardzo ruchliwym akwenem (po części dzięki odkryciu Golsztromu, silnego prądu, wypływającego u czubka Florydy, który katapultował wszystkie statki prosto do Hiszpanii, jak z procy); a z drugiej strony, wody te były bardzo zdradliwe z powodu rafy koralowej i nieprzewidywalnych sztormów. Bywało, że u brzegów Isla Huesos co tydzień rozbijał się statek... choć niektórzy kapitanowie twierdzili, że zostali celowo sprowadzeni na niebezpieczne wody przez ratowników (zwanych też wrakarzami) za pomocą najróżniejszych sztuczek.

Oczywiście w sądach Isla Huesos nigdy czegoś takiego nie udowodniono. Zapewne dlatego, że wszyscy sędziowie i przysięgli byli spokrewnieni z wrakarzami, a kapitanowie i armatorzy, dla których pracowali, pochodzili z łądu. Nie mogli liczyć na uczciwy proces, szczególnie w miejscu funkcjonującym tuż ponad Światem Podziemi.

I znów ta data, 11 października 1846 roku. Williama Rectora zabił ten sam huragan, który zmiotł do czysta większą część Isla Huesos. Według pana Smitha 11 października 1846 roku, był też dniem, kiedy po raz ostatni widziano kamień, który nosiłam na szyi. Klejnot znajdował się na liście ładunkowej statku handlowego, który cumował w porcie Isla Huesos, ale cały ładunek wraz załogą zaginął podczas huraganu.

W tym również John.

Drżącymi palcami otworzyłam ostatnie stronicę książki, którą dał mi pan Smith... dał mi ją, bo wymieniłam nazwę statku, na którym John pracował w dniu swojej śmierci: „Liberty”.

I rzeczywiście, nazwa była w indeksie. „Liberty”. Otworzyłam stronę wymienioną w odsyłaczu.

»Liberty« była jedną z dwóch tuzinów jednostek zatopionych w porcie Isla Huesos przez szalejące wiatry i wezbrane wody podczas październikowego huraganu 1846 roku, który pochłoniął ponad tysiąc istnień. »Liberty« płynęła do Portsmouth z cennym ładunkiem tytoniu, kawy, cukru i bawełny z Hawany. Statek przepadł całkowicie, z dna nie wydobyto nawet części towaru. Kapitan: Robert Hayden, Hayden i Synowie".

Dopiero po kilku sekundach załapałam, co czytam... a przynajmniej słowa „Kapitan: Robert Hayden”. Reszta niewiele mnie obchodziła.

Robert Hayden? Kapitan statku - człowiek, którego podobno zabił John - nosił to samo nazwisko, co on?

I armator, dla którego pracowali... Hayden i Synowie? Co to miało znaczyć?

Starłam się wymyślić jakieś inne scenariusze - cokolwiek, byle nie to, czego byłam już właściwie pewna.

Dobrze pamiętałam swoją niedawną rozmowę z Johnem:

- Kapitan „Liberty” musiał być bardzo złym człowiekiem - powiedziałam mu.

- Najgorszym, jakiego znałem - odpowiedział mi lodowatym tonem.

O Boże. Zamknęłam książkę, bo nagle zrobiło mi się tak słabo, jakbym miała lada chwila zemdleć. Jak mogłam być taka głupia? Ulżyło mi - tak, ulżyło! - że John tylko zabił człowieka. Myślałam, że mógł popełnić o wiele gorszą zbrodnię.

Ale co może być gorsze niż zabicie własnego ojca?

Hmm, zabicie własnej wnuczki. I właściwie niewiele poza tym.

Byłam roztrzęsiona i mdliło mnie, chociaż powtarzałam sobie, że to śmieszne. Nic się nie zmieniło. John wciąż był tym samym człowiekiem.

Człowiekiem, który być może - najprawdopodobniej -zabił własnego ojca. I tyle.

Usłyszałam pukanie.

- Pierce? - Był to głos Kayli.

- Sorki - odchrząknęłam drżącym głosem. - Potrzebuję jeszcze minuty

- Okej. Nie spiesz się. Chciałam ci tylko powiedzieć, że Frank i ja jedziemy już z Alexem do domu. Ale John tu jest i czeka na ciebie.

Świetnie.

- Okej, dzięki - odpowiedziałam. - Pa.

Pewnie powinnam była otworzyć drzwi i ją uściskać. Nie wiedziałam przecież, kiedy - i czy w ogóle - znów ją zobaczę.

Ale nie byłam w stanie myśleć racjonalnie. A już na pewno nie byłam w stanie spojrzeć Johnowi w oczy.

Musiał mieć ważny powód. Powiedział przecież, że miał. Co to było? Ach, tak. Nie zgadzał się z kursem wyznaczonym przez kapitana.

- To on zadał pierwszy cios, Pierce - powiedział. -Musisz mi uwierzyć. Nie chciałem go zabić.

- Oczywiście - odpowiedziałam wtedy. - Tylko się broniłeś.

Przed własnym ojcem, jak się okazało.

Wpatrywałam się w swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Skoro już mowa o wrakach, to sama wyglądałam jak wrak: miałam sińce pod oczami i usta koloru piasku. Gumka, której użyłam jako kamuflażu, też nie dodawała mi urody.

Ochlapałam twarz wodą i wygrzebałam z torebki podręczny zestaw kosmetyków, który nosiłam przy sobie na wypadek, gdyby niespodziewanie zjawił się mój tato i porwał mnie do eleganckiej restauracji. To się naprawdę zdarzyło raz czy dwa.

Nie rozumiałam, dlaczego Robert Hayden wymieniony był w książce jako kapitan „Liberty”, skoro, jak utrzymywał John, nie żył już, zanim statek zawiąnął na Isla Huesos. W książce nie było żadnej wzmianki o morderstwie ani o buncie. Może historyk, który ją napisał, opierał się wyłącznie na dzienniku pokładowym. Całkiem możliwe, że statek nie zawiąnął do portu przed huraganem i nikt nie dowiedział się, że kapitan został zabity na morzu... przez własnego syna.

Za oknem usłyszałam podniesiony, oburzony głos kobiety, plaśnięcie dłoni o policzek i jakąś słabą szamotaninę. Zwykle odgłosy ulicznego festynu, na którym leje się o wiele za dużo alkoholu, pomyślałam tępo.

Po nałożeniu błyszczycy i eyelinera zaczęłam przypominać istotę ludzką... i czuć się jak człowiek. Niesamowite, jak odrobina makijażu może dodać kobiecie pewności. Kayla miała świętą rację. Zdjęłam gumkę z włosów i przeczesalam je palcami, tak jak ona to robiła.

Wyglądałam tysiąc razy lepiej. Może John miał rację z tą białą sukienką.

Oczywiście zabił też swojego ojca, więc chyba nie zawsze można było ufać jego osądowi.

A właśnie, że można było. Wiedziałam, że jest godny zaufania. Niby dlaczego zawsze - no, prawie zawsze - czułam się przy nim taka bezpieczna?

Powiedział mi, że mam szczęście, że moją babcię opętała Furia. Przynajmniej dzięki temu wiedziałam, dlaczego

jest taka wstrętna. A on nie miał żadnego wytłumaczenia, dlaczego członkowie jego rodziny byli potworami.

Odkrycie, że twój ojciec jest potworem, to dobry powód, żeby go zabić. Być może, gdyby nadarzyła się okazja, ja mogłabym zabić babcię.

Postanowiłam, że po prostu wyjdę stąd i zapytam. Dlaczego zabiłeś ojca?

W tej chwili usłyszałam znajome gruchanie i spojrzałam w górę. Na parapecie witrażowego okna siedziała Hope i trzepotała skrzydłami tak niecierpliwie, że widać było czarne piórka wylaniające się spod kremowobiałych.

- Już idę - powiedziałam do niej, oderwana od własnych myśli. - Okej?

Rozejrzałam się, by sprawdzić, czy niczego nie zostawiłam. Czarna sukienka. Już jej nie chciałam. Wiedziałam, że wyrzucanie sukienki to marnotrawstwo, ale była to też sukienka, w której babcia najpierw próbowała mnie zabić, a potem zagazować. Miałam ją też na sobie, kiedy John zataił przede mną tożsamość człowieka, którego zabił.

Uznałam, że jest pechowa i nie chcę jej więcej widzieć.

Wyjęłam ją z umywalki, wyjęłam i upchnęłam do kosza na śmieci. Na wierzch dorzuciłam jeszcze parę kawałków papieru toaletowego, żeby nie było jej tak od razu widać.

Odwróciłam się, by otworzyć drzwi i zauważyłam swoje odbicie w lustrze.

Diament na mojej szyi był czarny jak smoła.

Czarniejszy niż mundur policjantki, która w następnej sekundzie wywalila kopniakiem drzwi i na której widok Hope zniknęła niczym turkocząca chmurka czarnobiałych piór.

*„Gdy dusza nasza, sama na się wściekła,  
Pożegna ciało na pobyt jej dane,  
Minos ją zsyła do siódmego piekła”.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń XIII

Policjantka nie miała w ręce pistoletu. Zamiast niego wyciągnęła taser. Widziałam błękitną iskrę, przeskakującą złowrogo ze styku na styk, wiedziałam więc, że jest naładowany... i włączony.

- Pierce Oliviera - powiedziała policjantka. - Zgadza się?

Bez zastanowienia pokręciłam głową, wypierając się nazwiska. Nie, nie jestem Pierce OHviera.

W pewnym sensie nawet nie kłamałam. Sama już nie wiedziałam, kim jest Pierce OHviera. Chyba już od jakiegoś czasu nią nie byłam - może od dnia kiedy zostałam DSK. A na pewno od dnia, kiedy zostałam rezydentką Świata Podziemi.

Jakimś cudem przebywanie wśród zmarłych nie sprawiło, że bardziej pragnęłam być sobą. Wręcz przeciwnie, pokazało mi, o ile lepiej pasuję do ich świata, i jak bardzo wrogi - na przykład w tej chwili - jest dla mnie mój własny.

Najzabawniejsze było to, że znałam nazwisko policjantki. Była z komendantem Santosem parę dni temu, kiedy



przesłuchiwał mnie w szkole w sprawie śmierci Jade, bo policja znalazła mój rower przypięty do cmentarnego ogrodzenia. Posterunkowa Hernandez. Była drobną brunetką, i wtedy miała taką minę, jakby chciała mnie porazić taserem za sam fakt, że żyję.

A teraz chciała mnie porazić za... no właśnie, za co?

Spojrzała na zmiętą kartkę, którą trzymała w dłoni. Stwierdziłam z przerażeniem, że to jedna z ulotek o moim zaginięciu, których sterty wały się po całym salonie mamy, z moim zdjęciem w samym centrum.

- Owszem - stwierdziła posterunkowa Hernandez. - To ty.

I uniosła taser, jakby to był nóż, który zamierzała wbić mi w pierś.

Byłam zbyt przerażona, żeby myśleć. Od razu zorientowałam się, kim jest - i na pewno nie była przedstawicielką policji Isla Huesos, wykonującą swoją pracę (wątpiłam, by komendant Santos kazał swoim funkcjonariuszom razić mnie prądem), ale Furią.

Powinno mi być wrzasnąć. Wtedy John, gdziekolwiek się podział, z pewnością natychmiast by przybiegł.

Zamiast tego zrobiłam najgłupszą możliwą rzecz. Nie ruszając się z miejsca, zapytałam:

- Dlaczego?

- Mój ojciec - odparła, kręcąc głową, jakbym była kompletnie głupia - powiedział mi, co zrobił mu twój chłopak...

Co? Po tym oświadczeniu byłam już zbyt zdezorientowana, żeby krzyczeć. Jak zaczarowana wpatrywałam się w mały błękitny piorun, tańczący przede mną coraz bliżej i bliżej. Kiedy dotarło do mnie wreszcie, co się stanie, kiedy ten piorun mnie dotknie, kopnęłam ją tak mocno, jak

umiałam - na oślep, bo nie mogłam dłużej patrzeć w tę błękitną iskrę. Podeszwy moich baletek trafiły w coś miękkiego. Usłyszałam bolesne stęknienie i trzask.

Kiedy otworzyłam oczy, przekonałam się, że mój kopniak nie posłał posterunkowej Hernandez daleko. Ale przynajmniej upuściła taser, który poleciał po podłodze i wpadł pod sofę stojącą parę kroków od drzwi.

- Opór przy aresztowaniu - wycedziła przez zaciśnięte zęby. - Niezbyt mądrze.

Po czym rzuciła się na mnie. Była bardziej wysportowana ode mnie i silniejsza. Upadłyśmy z łoskotem na wykładzinę we foyer i przez moment nie mogłam złapać tchu. Kiedy tak leżałam pod nią, ogłuszona, dostrzegłam twarz recepcjonisty, który wyjrzał zza rogu, po czym równie szybko schował się z powrotem. Nie zamierzał się mieszać w bójkę między funkcjonariuszką policji i kimś, kto nawet nie był gościem hotelu.

Oczywiście wcale nie potrzebowałam, żeby mój chłopak się za mnie bił, ale w tym przypadku byłoby miło. Gdzie się podział John?

To pytanie stało się jeszcze bardziej naglące, kiedy dłoń policjantki chwyciła mój diament.

- Ciągłe nie rozumiesz, co? - spytała niemal z politowaniem i zaczęła skręcać łańcuszek. - Może to ci odświeży pamięć. Mój ojciec próbował kiedyś odebrać ci ten naszyjnik, bo wiedział, że jest zbyt cenny i zbyt niebezpieczny, żeby bawiły się nim małe dziewczynki. Ale twojemu chłopakowi się to nie spodobało, co?

To wystarczyło, żebym sobie przypomniała.

- Pan Curry - sapnęłam. Ogniwka łańcuszka, zaciskające się wokół mojej szyi, natychmiast przypomniały

mi dzień, kiedy tak głupio pokazałam diament Persefony jubilerowi, jeszcze w Connecticut. On też zacisnął mi go ciasno na gardle. Na szczęście John zjawił się w porę i wyraził swoje zdanie na ten temat.

Niestety, wyraził je, zatrzymując serce jubilera.

- Chwileczkę - zaczęłam błagać, próbując wsunąć palce między łańcuszek i skórę, żeby zmniejszyć nacisk na tchawicę. - Uratowałam pani ojca. Powstrzymałam Johna, inaczej by go zabił. Przecież wyzdrowiał... sprzedawczyni ze sklepu obok... powiedziała, że przeszedł na emeryturę i... przeprowadził się do córki... na Florydę.

Łańcuszek okazał się o wiele mocniejszy, niż się wydawało. Hades widocznie wykuł ogniwa z jakiegoś niezniszczalnego złotego stopu, bo czułam, że prędzej trzaśnie mi kark niż naszyjnik.

Nie do wiary, że byłam tak bliska uduszenia czymś, co John dał mi w dowód miłości.

- To ja - odparła zimno posterunkowa Hernandez. - To ja jestem tą córką, do której się przeprowadził. Ale teraz mam wiadomość dla twojego chłopaka... Przekaż mu, że to wszystko na nic. Nawet w Świecie Podziemi nie jesteś bezpieczna. Zawsze cię znajdziemy...

Amatorskie pejzaże na ścianach zaczynały mi pływać przed oczami. Usłyszałam dziwny odgłos, jakby bębnienie w uszach. Domyśliłam się, że to krew odpływająca mi z mózgu. Niedługo łańcuszek całkiem odetnie dopływ powietrza i mój mózg umrze. Wyciągnęłam na oślep rękę, próbując wbić palce w oczy policjantki, póki jeszcze miałam kontrolę nad kończynami.

I nagle stał się cud... a właściwie kilka cudów naraz.

Pierwszy był taki, że usłyszałam warkot Johna:

- Może przekazesz mi tę wiadomość osobiście?

Potem posterunkowa Hernandez krzyknęła z bólu. Nie rozumiałam, dlaczego, skoro moje palce ledwie dotknęły jej twarzy, ale i tak puściła wisiołek i ucisk na mojej szyi nagle zelżał. Kurczowo chwyciłam łańcuszek i odciągnęłam go od skóry, z wdzięcznością łykając wielkie hausty powietrza. Po raz pierwszy w życiu podobał mi się przesłodzony zapach potpourri, bo to, że znów go poczułam, oznaczało, że żyję.

Odzyskałam wzrok i ujrzałam stojącego nade mną Johna, z miną na przemian to czułą, to wściekłą.

- Pierce. - Jego głos dobiegał jakby z daleka. Podniósł mnie delikatnie za ramiona. - Nic ci nie jest? Boże, twoja szyja... wszystko w porządku?

- Tak - odparłam. Odwróciłam głowę i zauważyłam, że posterunkowa Hernandez leży bezwładnie na podłodze obok mnie. Miała zamknięte oczy. Wyglądała jak martwa.

- Co jej zrobiłeś?

John ledwie na nią zerknął.

- Ja? Nic - odparł. - Jeszcze. Pierce, tak mi przykro. Byłem tutaj przez cały czas, czekałem na ciebie, ale na dziedzińcu zaczęło się coś dziać. Ta śpiewaczka ze sceny zaczęła flirtować z panem Liu. A potem go zaatakowała.

To mnie otrzeźwiło do reszty. Przypomniałam sobie kobiecy głos za oknem, kiedy byłam w łazience, i szamotaninę, która nastąpiła później. Wzięłam to wszystko za zwykłe odgłosy festynu.

- Pana Liu? - spytałam zaniepokojona. - Coś mu się stało?

- Nic mu nie jest - odparł John ponuro. - Najadł się tylko wstydu. Powinienem być wiedzieć, że to ma mnie odciągnąć od ciebie. Nie miałem pojęcia, że jesteś w niebezpieczeństwie, dopóki Hope nie pojawiła się nie wiado-

mo skąd tuż przed moją twarzą i nie zaczęła wrzeszczeć. Nawet nie wiedziałem, że potrafi wrzeszczeć.

Hope. Odwróciłam głowę i zobaczyłam ją, siedzącą na gzymsie imitacji kominka. Patrzyła na mnie z troską.

- Nic jej nie jest? - usłyszałam znajomy, tubalny głos. - Jest cała...?

- Żyje - John uspokoił pana Liu, który wpadł do foyer, taranując drzwi na werandę i nie zważając na meble stojące mu na drodze. Na policzku miał świeży komplet krwawych szram, zapewne od damskich paznokci, ale chyba nawet nie zwracał na nie uwagi. - Ledwie. - John zwrócił się do mnie. - Możesz wstać?

- Pewnie, że mogę wstać...

Ale nie mogłam. Ręce mi się trzęsły, a nogi zmieniły się w galaretę. Gdyby nie jego silne ramiona, obejmujące mnie w pasie, które niemal przeniosły mnie na najbliższy fotel, nigdy nie dałabym rady.

Dopiero wtedy zaczęłam zauważać inne rzeczy...

Recepcjonistę, wyglądającego zza rogu, mocno zdenerwowanego zamieszczeniem w jego foyer. Henry'ego, który widocznie wszedł z werandy za panem Liu. Bosman odsuwał go teraz za swoje plecy, mruczając: - Ostrożnie! - a Henry protestował głośno, krzycząc: - Ale ja chcę zobaczyć Furię! - I to, że dziwne bębnienie, które wzięłam za krew uciekającą mi z mózgu, tak naprawdę dobiegało z zewnątrz...

Rozpadało się na dobre. Burza, która od wielu godzin groziła tylko z daleka, nareszcie przyszła.

Ale chyba najbardziej zaskakujący był widok pana Smitha, zarządcy cementarza, stojącego przed obrazem z zachodem słońca, z dłońmi na policzkach.

- Och, Bogu dzięki, nic jej nie jest - powiedział. - Czy mogę jakoś pomóc?

John zacisnął szczęki.

- Tak - odparł z dziwną niechęcią w głosie. - Może pan sobie iść. Już dość pan narobił kłopotu jak na...

- John - rzuciłam miękko.

Nie miałam pojęcia, dlaczego John jest taki wściekły na zarządcę, ale w tej chwili mnie to nie obchodziło, bo zauważyłam, że z ciałem posterunkowej Hernandez dzieje się coś dziwnego.

Otóż dymiło.

Nie, nie chodzi mi o to, że policjantka usiadła i zapaliła papierosa, ale o to, że jakaś dziwna mgła unosiła się z rany, którą dostrzegłam na jej dłoni... tej dłoni, w którą chwyciła diament, kiedy próbowała udusić mnie łańcuszkiem. Przypominało to czarny, prochowy dym, niemal jakby po-sterunkowa Hernandez została postrzelona...

...albo jakby jej dusza opuszczała ciało.

Ale byłam pewna, że nie została postrzelona - w każdym razie przez nikogo z obecnych - a byłam na tyle blisko, by widzieć, że cały czas oddychała. Więc nie była martwa.

Nagle, wśród uporczywego szumu deszczu usłyszałam coś, co brzmiało jak piskliwy wrzask, tak wysoki, że prawie niesłyszalny - wściekły, przepełniony nienawiścią krzyk, który zdawał się dobiegać z tego czarnego oparu, wydobywającego się z dłoni kobiety.

O ile wiedziałam, ani dym, ani dusze nie potrafią krzyczeć.

Hope też to usłyszała, bo przekrzywiła główkę i przestraszona uciekła z drogi bladej zjawie, która popłynęła w stronę szeroko otwartych drzwi na werandę.

Położyłam dłoń na ramieniu Johna, który, wciąż obejmując mnie w pasie, ukląkł przy mnie, i wskazałam zjawę palcem.

- John, widzisz? - spytałam. - Myślisz, że to jest...?

John, zamiast odpowiedzieć, zerwał się na równe nogi. Przez sekundę myślałam, że spróbuje złapać widmo, co moim zdaniem nie miało sensu - bo jak można złapać czyste zło, zwłaszcza utkane z dymu?

Ale nagle zobaczyłam, że z czubków palców cisnął kulę światła - dokładnie tak, jak w domu mojej mamy. Tym razem moc skierował na pojedynczy cel: Furie, która opętała posterunkową Hernandez.

Zobaczyliśmy eksplozję iskier i usłyszeliśmy krzyk o wiele głośniejszy niż ten przed chwilą, który urwał się nagle. Kiedy opuściłam ręce, którymi zasłoniłam oczy przed jaskrawym błyskiem, z czarnej smugi dymu została tylko ciemna plama na boazerii. Furia zniknęła.

*Woda w nim czarna, lecz krwawo się mieni;  
Za czym tą nową drogą w głąb pieczary  
Szliśmy, mętными nurty prowadzeni.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń VII

Zwróciłam osłupiały wzrok na Johna.

Był zdyszany, jego pierś unosiła się i opadała, jakby przebiegł wielką odległość, włosy kleiły mu się do czoła, dłonie były ściśnięte w pięści... ale kiedy spojrzał mi w oczy, na jego twarz wypłynął uśmiech tak szeroki, jakiego jeszcze u niego nie widziałam.

I nie dziwiłam się mu. Byłam pewna, że właśnie wspólnymi siłami unicestwiliśmy Furię.

- Kapitanie, zrób to jeszcze raz - powiedział Henry, klaszcząc z zachwytem.

- Proszę, nie dzisiaj - wtrącił pan Smith. Osunął się na wykładzinę, udając, że ukląkł tylko przy posterunkowej Hernandez, żeby zmierzyć jej puls. Ale widziałam, że po tym pokazie fajerwerków w wykonaniu Johna, po prostu zmiękły mu nogi. - Pamiętajcie, że w pobliżu są cywile. Najpierw Mike, teraz to, chyba miałem już dość emocji jak na jeden dzień. Zakładam, że to była Furia. - Wskazał ruchem głowy ciemną smugę na ścianie.



- To była Furia - potwierdził John. Odwrócił się do mnie. - Jak ją zmusiłaś do opuszczenia ciała tej kobiety?

Pokręciłam głową.

- To nie ja - powiedziałam. - To chyba zrobił naszyjnik, kiedy go dotknęła. Spójrz na jej dłoń.

Pan Smith rozprostował palce nieprzytomnej policjantki. Na samym środku dłoni widniało oparzenie, które zauważyłam już wcześniej. Miało kształt mojego diamentu.

- No więc, to jest to, kapitanie - rzekł z szacunkiem pan Liu. - Po niemal dwustu latach nareszcie wiemy, jak się ich pozbyć.

- Fascynujące - mruknął pan Smith. - Diament nie tylko wykrywa obecność Furii, ale też zmusza je do opuszczenia ciał gospodarzy, kiedy wejdzie z nimi w kontakt.

- No właśnie - potwierdził Henry, patrząc na mnie. -Więc ona będzie dawała im się dusić, a ty je storpedujesz, kapitanie.

- Nie, Henry - odparł cierpko John. - Chyba nie tak będziemy to robić. Ale jakaś wariacja tego scenariusza może się okazać wykonalna.

- Hm, przepraszam - usłyszałam drżący głos z hotelowej recepcji. Recepcjonista pomachał nerwowo, kiedy wszyscy odwróciliśmy się, żeby na niego spojrzeć. - Ale czy ta policjantka nie potrzebuje pomocy? Na przykład karetki, czy czegoś? Bo mogę wezwać. Mój szef nie lubi, kiedy ludzie śpią we foyer.

Pan Smith uniósł brwi.

- Cóż za doskonały pomysł, młody człowieku - powiedział do recepcjonisty. - Oczywiście, natychmiast dzwoń po karetkę.

- Okej - odparł recepcjonista i jego twarz znów zniknęła za rogiem.

Posterunkowa Hernandez zaczęła się budzić. Skołowana przez chwilę poklepywała pas, czegoś szukając. Widać tego nie znalazła, bo rozejrzała się po podłodze.

- Co się dzieje? - spytała półprzytomnie. W jej tonie nie było nawet śladu wrogości, którą słyszałam wcześniej. Wręcz przeciwnie, wydawała się całkiem miła. Kiedy jej spojrzenie przesunęło się po mnie, nie było w nim błysku rozpoznania. - Co się stało?

Pan Smith, otwierając szeroko oczy za szklami okularów, zapytał:

- Chce pani powiedzieć, że pani nie pamięta?

- Nie - odparła posterunkowa Hernandez. Uniosła rękę, by dotknąć czoła, i nagle dostrzegła ranę na swojej dłoni. - Oparzyłam się?

- Tak - odpowiedział łagodnie pan Smith. - Zdaje się, że tak. Proszę spokojnie poczekać, pani posterunkowa, karetka już jedzie.

- Ach - westchnęła z uśmiechem. - Ależ jesteście kochani. Mówcie mi Deanna.

- Nie omieszkamy - odparł pan Smith.

Z jakiegoś powodu przypomniało mi się, co pan Smith mówił wcześniej: że niektórzy ludzie postępują dobrze, kierowani wrodzoną dobrocią, i że to jest dzieło Mojr, a innych Furie popychają do złych uczynków.

- Panno Ohviera - przemówił teraz cicho, żeby policjantka nie mogła go usłyszeć - pewnie ucieszy panią wiadomość, że mój pracownik, Mike, złożył podanie o odszkodowanie za obrażenia doznane przy pracy na cmentarzu.

- Naprawdę? - Otworzyłam szeroko oczy. Pan Smith sugerował, że Mike może wybrać taką możliwość.

- Został opatrzony i wyszedł już ze szpitala - ciągnął pan Smith - ze zdiagnozowanym wstrząśnieniem mózgu.

Opowiada wszystkim, że upadł na schodkach za biurem. Chyba nie musiała go pani walić tak mocno, Pierce. Biedak poszedł na zwolnienie do końca tygodnia.

- Proszę wybaczyć, że nie potrafię wykrzesać z siebie współczucia, tak jak nie potrafię współczuć jej babci - powiedział głucho John. - Pierce, czujesz się na siłach, żeby iść?

Kiwnęłam głową. Tymczasem Henry znalazł taser, który wpadł pod fotele. Podczas mojej bójki z Deanną Hernandez wyłączył się, ale Henry w parę sekund wykombinował, jak go włączyć. Niebieska iskra wywołała szeroki uśmiech na jego twarzy.

- Cudowne - orzekł. - Mogę to zatrzymać, kapitanie?

- Nie - odparł John stanowczo. - Nie możesz. Panie Liu?

Pan Liu szybko rozbroił Henry'ego, a John pomógł mi stanąć. Czułam się już pewniej... szczególnie kiedy wsunął mi dłoń pod włosy, położył ją na karku i poprowadził do drzwi. Nagle poczułam takie same fale ciepła jak wtedy, kiedy znieczulił mi dłoń zadrapaną przez Hope. Ale teraz to kojące ciepło rozchodziło się po mojej szyi, gdzie ogniwa łańcuszka otarły mi skórę.

John spojrzał na mnie, wciąż z troską marszcząc brwi.

- Lepiej? - spytał.

- Lepiej - odpowiedziałam, uśmiechając się z trudem. Ale mimo tego wszystkiego cichy głosik w mojej głowie

szeptał: Hayden i Synowie. Hayden i Synowie.

- Pierce, gdyby coś ci się stało... - Urwał, nie mogąc spojrzeć mi w oczy.

„Przekaż mu, że to wszystko na nic - powiedziała posterunkowa Hernandez. - Nawet w Świecie Podziemi nie jesteś bezpieczna. Zawsze cię znajdziemy". Wzdrygnęłam się.

- Już wszystko dobrze - powiedziałam do Johna. W końcu popatrzył mi w oczy.

- Nie jest dobrze - stwierdził, jakby czytał mi w myślach.

- Obawiam się, że to moja wina - głos pana Smitha, dziwnie głuchy, przestraszył mnie, bo zabrzmiał bardzo blisko. Zorientowałam się, że zarządca wyszedł z nami na werandę.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

- Pańska wina? Jak to?

Zaskoczyło mnie, że na dziedzińcu nikogo już nie ma. Korony drzew nie dawały ochrony przed tak silnym deszczem - lało jak z cebra. Nawet zespół uciekł i poszukał schronienia gdzie indziej... pewnie dodatkowo zachęcony do ucieczki tym, co zaszło między nim a Johnem i jego załogą.

Więc jeszcze bardziej zaskoczył mnie smętny głos, który dobiegł z ciemnego kąta werandy.

- Nie, to ja narobiłem zamieszania.

Myślałam, że jesteśmy sami, ale z kąta wyszedł mężczyzna, którego nigdy nie widziałam. Czekał tu na nas, skulony.

- Patrick - rzucił zirytowany pan Smith. - Mówiłem ci, żebyś zaczekał w samochodzie.

- Wiem. - Mężczyzna wydawał się potwornie zażenowany. Miał na sobie różową koszulę z krótkimi rękawami, szorty koloru khaki, żółte skarpetki i żółtą muchę. Jego ubrania były przemoczone do nitki. - Ale chciałem tylko powiedzieć jeszcze raz, że strasznie mi przykro. - Zwrócił się do mnie. - Witam, nie mieliśmy okazji się poznać. Jestem przyjacielem Richarda. Patrick Reynolds.

- Ach tak - odparłam, coraz bardziej zaskoczona. - Miło mi.

Przypomniałam sobie, że pan Smith wspominał o swoim partnerze Patricku. Wiedziałam o nim tylko tyle, że nie ro-

zumiał fascynacji pana Smitha zmarłymi i że lubił dziergać. Wyglądał na młodszego od pana Smitha o jakieś dziesięć lat. Byłam ciekawa, czy ma choć najbliższe pojęcie, w co wplątał się jego chłopak.

Najwyraźniej nie, bo jego następne słowa brzmiały:

- To ja zrobiłem wam zdjęcie i straaasznie przepraszam. Teraz rozumiem, jakie to było nieprzyjemne. Ale byłem taki podekscytowany, bo śledziłem waszą historię w gazecie i wiadomościach. W tym mieście jest tak nudno, że sobie nie wyobrażacie. Nie myślałem, że zobaczę was na żywo, więc kiedy mnie mineliście, nie mogłem się powstrzymać, chociaż Richard mi zabraniał...

Powoli do mnie dotarło. Teraz już wiedziałam, kto zrobił mi zdjęcie oraz dlaczego szczęki Johna nagle tak niebezpiecznie się zacisnęły, a w jego oczach zapłonęły dwa ogniki.

Biorąc pod uwagę przeszłość Johna, był to prawdziwy cud, że Patrick Reynolds tylko przemókł, a nie został fizycznie okaleczony albo martwy po zatrzymaniu akcji serca. Pomyślałam, że to dowodzi sporych postępów poczynionych przez Johna. Choć oczywiście poczułam, że jego palce sztywnieją mi na karku.

- No bo żeby dosłownie wpaść na córkę Zacka Olivie-ry na koncercie Biuściastych Bayamos... to nasz ulubiony miejscowy zespół, i uwielbiamy Angelicę, ich wokalistkę... -Patrick nie przestał mówić ani na sekundę. Tak strasznie chciał nas przeprosić, chociaż deszcz zaczął zacinać na werandę, prosto na nas - ..no i pomyślałem, a co mi szkodzi zrobić zdjęcie, chociaż Richard był przerażony, i nie wiem, co naszło Angelicę, zwykle jest...

- Wybaczamy wszystkim - odparł John bez uśmiechu. - I musimy już iść.

Przyjaciel pana Smitha zrobił zaniepokojoną minę.

- Boże, znowu to zrobiłem, tak? Przepraszam. Richard mówi, że za dużo gadam. Ale to takie romantyczne, córka finansowego magnata i... - Spojrzał na Johna i wyszczerzył się w uśmiechu. - Oj tam, nieważne. Mam nadzieję, że wszystko się uda. Richard, przekazałeś im już dobre nowiny?

Pan Liu i Henry wyszli za nami i już od dobrej chwili stali koło nas. Zauważyłam, że Henry znalazł moją szkolną torbę i teraz miał ją na ramieniu.

- Jakie dobre nowiny? - spytałam. W naszej sytuacji nie potrafiłam wyobrazić sobie żadnych dobrych nowin, nie licząc tej, że odkryliśmy sposób na wygnanie Furii z ciał gospodarzy i zniszczenie ich. Choć sposób ów nie był zbyt praktyczny, bo wyglądało na to, że muszę dotykać każdą napotkaną Furię naszymi rękami, a więc podchodzić do nich o wiele za blisko jak na mój gust.

- Już powiedziałem Johnowi, Patricku - odparł pan Smith. - A oni naprawdę muszą już iść, ta biedna dziewczyna...

- O czym pan powiedział Johnowi? - spytałam. - Z Alexem wszystko w porządku? - Po tej ostatniej przerażającej akcji byłam podwójnie czujna.

John położył mi dłoń na ramieniu.

- Nic mu nie jest - zapewnił łagodnie. - Nie musisz się o nic martwić. Frank dopilnuje, żeby Alex bezpiecznie dotarł do domu. Dałem mu telefon i kluczyki Alexa. Zapowiedziałem, że może mu je oddać dopiero pod domem. Potem z pomocą Kayli ma znaleźć jego samochód i unieruchomić go, żeby Alex nie mógł nigdzie pojechać. Kiedy już wszystko załatwi, ściagnę go do domu.

Spojrzałam na niego, mrugając ze zdumienia.

- To... to wspaniale. Dziękuję. Uśmiechnął się do mnie.

- Chwyć Henry'ego za rękę.

- Co? - Zrobiłam, o co prosił. - No dobrze. Ale dlaczego?

Nagle zrozumiałam, co John zamierza zrobić, i puściłam dłoń Henry'ego, wciąż jeszcze lepką od waty cukrowej.

- John - powiedziała, mrużąc oczy. - Nie. - Zwróciłam się do Patricka. - O jakich dobrych nowinach pan mówił?

- Och. - Patrick zrobił skonsternowaną minę. Bardzo uważnie słuchał naszej rozmowy, niemal jakby chciał ją całą zapamiętać. Miałam nadzieję, że nie wrzuci jej na blog czy w podobne miejsce. - Już nie pamiętam. O co to chodziło? Coś z owocami granatu? - Spojrzał na pana Smitha, który wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemię. - Przysięgam, przeważnie zupełnie nie wiem, o czym Richard mówi, ale dzisiaj po południu naradzał się przez telefon z jakimś profesorem z Kalifornii i potem nie mógł przestać gadać o granatach, że są wyłącznie symboliczne i można jeść, co się chce, i się nie przejmować. Czyżby chodziło o jakąś nową granatową dietę, w której można jeść, co się chce,

i nie przytyć? Bo ja bardzo chętnie...

- Henry - rzucił szorstko John. - Chwyć Pierce za rękę. Henry jedną ręką ścisnął moje palce, a drugą wziął pod ramię pana Liu.

- Żegnam - powiedział John do pana Smitha.

I nagle zszedł z werandy na dziedziniec, pociągając mnie za sobą w lejący deszcz.

- Ale ja... - zaczęłam, oglądając się na zarządcę cmentarza i jego partnera. Ten drugi wyglądał na bardzo zaskoczonego naszym nagłym pożegnaniem. Za to panu Smithowi chyba ulżyło. Zobaczyłam, że unosi rękę i macha nam;

w tej chwili ostre jak igły krople deszczu zaczęły siec mi skórę, błyskawicznie moczając mi sukienkę i włosy.

Mrugnąłam, żeby ochronić oczy przed wodą, i wszystko - pan Smith, Patrick, hotel, dziedziniec, deszcz, cała Isla Huesos - zniknęło.



*Kiedyśmy doszli, gdzie usta kochane  
Rycerz całował w nieowładnej chęci,  
On, z którym nigdy się już nie rozstanę (...)*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń V

Kiedy znów otworzyłam oczy, byliśmy na innym dziedzińcu... tym, na którym znalazłam Henry'ego ukrywającego się za krzakiem. Miałam wrażenie, że to było wieki temu.

Choć na ziemi upłynęły długie godziny, w krainie zmarłych niewiele się zmieniło. Wydawało się, że czas płynie tu w innym tempie. Szaroróżowe światło, w którym cały czas skąpany był świat Johna, zrobiło się może tylko odrobinę bardziej lawendowe. Rysy marmurowej kobiety w fontannie pośrodku dziedzińca wciąż były wyraźnie widoczne. Ogień płonący jasno na wielkim kominku w sypialni Johna wciąż rzucał ten sam ciepły blask na białe zasłony w wewnętrznych łukach. Wszystko wyglądało tak samo.

Dopóki jakiś ruch, dostrzeżony kątem oka, nie zwrócił mojej uwagi; spjrzałam w górę i zobaczyłam ptaki.

Były ich całe dziesiątki, może setki; kołowały w powietrzu, ich skrzydła były nieubłaganie czarne na tle sklepienia pieczary. Nie latały w żadnym szyku, po prostu krążyły, jak sępy, kiedy dostrzegą umierającą ofiarę.

Ale te ptaki nie wydawały żadnego dźwięku. Wisiały nad wyspą po drugiej stronie jeziora, nad plażą, gdzie odbywała się selekcja zmarłych.

Krzyknęłam cicho na ich widok, choć wciąż kręciło mi się w głowie po nagłej podróży do świata Johna. Zapomniałam nawet o swoim oburzeniu, że John wyrwał mnie z mojego świata w trakcie rozmowy, którą uważałam za dość interesującą.

- Patrzcie! - krzyknęłam, wskazując ptaki. Hope była jedynym skrzydlatym stworzeniem, jakie widziałam wcześniej w Świecie Podziemi.

Ku swojej uldze stwierdziłam, że gołębica nie zwraca najmniejszej uwagi na te złowrogie ptaszyska. Przysiadła na czubku fontanny i zajęła się czyszczeniem piórek po długiej podróży.

- Dlaczego one to robią? - spytałam. - Co to oznacza?

- Że za długo nas nie było - odparł pan Liu z ponurą miną i ruszył w kierunku przeciwnym niż arkady zamku, w stronę dużej drewnianej furtki. - Henry, chodź. Mamy robotę.

- Koce - rzucił Henry z westchnieniem. - Chciałem opowiedzieć panu Gravesowi o Furii i wacie cukrowej, ale to musi poczekać. - Najwidoczniej dla niego pierwsze zetknięcie z watą cukrową i widok Furii wygnanej z ludzkiego ciała były jednakowo ekscytujące. Bezceremonialnie porzucił torbę u moich stóp i ruszył za panem Liu, wołając:

- Nie możemy chociaż zabrać Tyfona? Przysięgam, tym razem dopilnuję, żeby nikogo nie ugryzł.

Furtka zatrzasnęła się z hukiem. John i ja po raz pierwszy od bardzo dawna zostaliśmy sami.

To chyba jedyne wyjaśnienie, dlaczego w ciszy między nami pełne zadowolenia gruchanie Hope i bulgot wody

w fontannie nagle wydały się tak absurdalnie głośne... i dlaczego w powietrzu pojawił się ładunek elektryczny, tak silny, że poczułam jeżące się na rękach włoski.

Próbowałam wymyślić coś do powiedzenia, żeby przerwać milczenie, bo on z całą pewnością nie zamierzał tego robić. Stał tak, patrząc na mnie z dziwną miną, którą chyba rozpoznawałam: taką jak tamtej nocy przy basenie mojej mamy, kiedy wiedział, że dowiedziałam się o nim czegoś straszego od pana Smitha, i był pewien, że go nienawidzę.

Po części miał rację... rzeczywiście dowiedziałam się o nim czegoś straszego. Nie miałam tylko pojęcia, skąd on to wiedział. Czy pan Smith powiedział mu, że pożyczył mi książkę? Ale czy sam pan Smith znał prawdę? Wątpiłam w to, bo gdyby tak było, nie pozwoliłby, żebym dowiedziała się w tak obcesowy sposób.

Tak czy inaczej, John stał przede mną, jednocześnie najeżony i zawstydzony, z wysuniętą żuchwą i mięśniem drgającym na policzku... ale z oczami błyszczącymi jak gwiazdy.

Problem z oczami błyszczącymi jak gwiazdy był taki, że nie można z nich nic wyczytać. Nie da się spojrzeć w słońce i stwierdzić, co myśli.

Tyle pytań chciałam mu zadać - musiałam zadać. Ale nie wiedziałam, od czego zacząć. Sądząc po tym, jak się we mnie wpatrywał - czy raczej badawczo przyglądał, jakby czekał na jakiś znak, jakiś sygnał - wiedział, że pytania nadchodzą, i bał się ich.

Oczywiście nie mogłam wypalić prosto z mostu i zapytać: Dlaczego zabiłeś ojca? Czy: Co miał na myśli Patrick, mówiąc, że mogę jeść co chcę i się nie martwić? Dlaczego powiedziałeś mi coś wręcz odwrotnego?

Grając na czas, odgarnęłam z twarzy włosy; spodziewałam się, że będą mokre - przecież dopiero co wyciągnął mnie na deszcz, żeby mnie tu sprowadzić - ale były suche jak pieprz.

Spojrzałam w dół. Poprzednio za każdym razem, kiedy John porywał mnie do swojego świata, uznawał za stosowne stroić mnie w dziewiętnastowieczne kreacje.

Ale nie tym razem. Zdziwiłam się na widok własnego ubrania: białej sukienki, którą wzięłam z szafy w domu. Była świeża i wyprasowana, choć dopiero co tarzałam się w niej po podłodze hotelowego foyer, mocując się z przedstawicielką sił porządkowych Isla Huesos.

Zadowolona znów spojrzałam mu w oczy i się uśmiechnęłam.

- No - powiedziałam, muskając palcami dół sukienki. - To jest bardziej w moim stylu. Gdybym miała szafę pełną takich sukienek, o wiele lepiej znosiłabym życie tu na dole...

Trzema długimi krokami pokonał przestrzeń między nami, chwycił w pasie i brutalnie przyciągnął do siebie; uderzyłam w jego twarde ciało z impetem, który poczułam aż w palcach stóp.

- John. - Spojrzałam na niego zaskoczona. To nie była reakcja, jakiej się spodziewałam na moje dość niewinne oświadczenie. Coś w nim jakby pękło. Nie miałam pojęcia co, ani dlaczego. Nie wydał żadnego dźwięku, nie zmienił nawet wyrazu twarzy. - Co się z tobą...?

Nie dokończyłam pytania. Jego usta przywarły do moich, jego wargi i język były tak władcze, że szybko zapomniałam o wszelkim oporze... nie dlatego, że i tak nic by mi nie dał, ale dlatego, że dotarła do mnie prawda:

Pragnęłam go równie mocno jak on mnie.

Kiedy jego usta zsunęły się z moich i zaczęły całować czerwone ślady po łańcuszku na mojej szyi, raz koło razu, wiedziałam już, że przepadłam. Musiałam chwycić się jego ramion, by utrzymać się na nogach. Czułam, jak jego serce łomocze za murem mięśni na jego piersi.

Moje własne serce kompletnie zwariowało. Popychało mnie do rzeczy, których, jak doskonale wiedziałam, absolutnie nie powinnam robić. Ale kto miałby mnie powstrzymać? Na pewno nie on. Coś go opętało, jakaś desperacka potrzeba, którą czułam w każdym pocałunku, w każdym spojrzeniu, każdej pieszczocie. Nie wiedziałam, skąd się bierze, ani co obudziło ją tak nagle. W jego ruchach był pośpiech, chociaż nie słyszałam rogu z przystani i nie rozumiałam, dlaczego mu się tak spieszy.

Ale tym razem, kiedy jego palce znalazły się na guzikach z przodu mojej sukienki, nie odsunęłam jego dłoni. Moje własne palce zaplątały się w jego gęstych, ciemnych włosach. Wymruczałam jego imię.

Nie wiem, dlaczego to sprawiło, że nagle porwał mnie na ręce i zaniósł przez jeden z łuków do sypialni, niecierpliwym kopniakiem odsuwając białą firankę. Zanim się obejrzałam, tonęłam już w niemożliwie miękkiej, puchowej kołdrze na wielkim białym łóżku. W głowie kołatała mi się myśl: oj, to raczej błąd.

Ale nie rozumiałam, jakim cudem może to być błąd, jakim cudem to może być złe. Po chwili on leżał już na mnie, tak cudownie po męsku ciężki, a jego wielkie, twarde palce wsuwały się pod moją sukienkę. W następnej chwili dotykały mnie już w miejscach, których nikt wcześniej nie dotykał, każda pieszczota elektryzowała mnie, jakby moją skórę całowała spadająca gwiazda, która wylądowała na niej i nadała jej blask niczym nowej galaktyce.

Przecież coś takiego nie mogło być złe.

W pewnej chwili jego też ogarnęły wątpliwości. Jego ciało w świetle ognia było piękne, nawet z bliznami. Najchętniej pogłaskałabym każdą z nich i ucałowała, gdyby mi pozwolił.

Ale kiedy spróbowałam, chwycił mnie za nadgarstki i przycisnął je do koldry.

- Przestań - powiedział głosem zdławionym z emocji. Spojrzał na mnie. Jego oczy nie błyszczały już; wypełniała je ciemność, z której też nie potrafiłam nic wyczytać.

- Powiedziałaś, że nie chcesz się spieszyć - przypomniał mi szorstko.

Tak? Mój mózg był tak spowolniony od tych wszystkich mikroeksplozji, które jego palce wywoływały na mojej skórze, że dopiero po chwili przypominałam sobie tamtą rozmowę. Miałam wrażenie, że odbyliśmy ją milion lat temu.

- Ach, to. Nie, jest okej.

- Naprawdę? - spytał, nagle dziwnie niespokojny. - Jesteś pewna? Mimo... konsekwencji?

Konsekwencji? Nie mogłam już słuchać o konsekwencjach. A z pewnością nie w tej chwili.

- Tak - powiedziałam. - Wszystko jest w po...

Jego usta przywarły do moich, zanim zdążyłam dokończyć zdanie. Zaczął mnie całować tak żarliwie, że poczułam, jakbyśmy już stopili się w jedno. Najwyraźniej czekał tylko na moje pozwolenie. Kiedy je dostał, podjął bardzo zdecydowane działania. Już po chwili wróciły spadające gwiazdy, tyle że teraz były to całe galaktyki świetlistych słońc i planet, które rosły i rosły, aż pękały, zasypując nas okruchami gwiazd, księżyców i innych ciał niebieskich.

Po wszystkim zasnął... tym razem to jego głowa spoczywała na moim ramieniu. Zdumiała mnie jego beztro-

ska mina... pierwszy raz go takim widziałam. Pewnie tak wyglądał, kiedy był chłopcem.

Ale nagle przypomniałam sobie Haydena i Synów i uznałam, że lepiej nie myśleć o jego dzieciństwie.

Mimo wszystko wyglądało na to, że zawsze byliśmy sobie przeznaczeni. Oczywiście mieliśmy parę problemów do rozpracowania, jak każda para. No, może trochę większych niż większość par.

Ale burza wreszcie się skończyła.

Powinłam była się domyślić, że to dopiero początek.

*Ruszyłem za nim: kęs my uszli mały,  
A szumy fali tak już były blisko,  
Że prawie mowę naszą zagłuszały.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń XVI

Otworzyłam oczy. Tak jak wcześniej, potrzebowałam paru sekund, by sobie przypomnieć, dlaczego światło sączące się przez zasłony mojej sypialni wygląda tak obco. Dlatego, że nie byłam w swojej sypialni.

Tym razem, kiedy odwróciłam głowę i zobaczyłam chłopaka w łóżku obok mnie, nie spanikowałam... przynajmniej do momentu, kiedy zobaczyłam, co czyta.

Usiadłam... za szybko. Padłam z powrotem na poduszki i zasłoniłam oczy dłonią.

- Migrena? - spytał John. W jego tonie słyszałam troskę, ale też... coś innego. Nie potrafiłam określić, co.

Skinęłam głową. Nie miałam migreny. Prawdę mówiąc, spałam bez snów i zaskakująco dobrze.

Ale pomyślałam, że mogę niedługo dostać migreny, jeśli zaczniemy rozmawiać o książce, którą trzymał w rękach.

- Proszę - powiedział, więc spojrzałam przez palce, ciekawa, co takiego mi daje.

Filizanka na spodku. Usiadłam jeszcze raz, trochę wolniej.



W filiżance była gorąca herbata z mlekiem. Wzięłam ją od Johna i napiłam się, przyglądając mu się uważnie.

- Jak się miewasz? - zagadnął.

- Dobrze - odpowiedziałam. Zauważyłam, że zdążył już wziąć prysznic. Miał wilgotne włosy. Włożył świeżą koszulkę i dżinsy. Włożył już nawet buty.

Za to ja wciąż byłam w swojej białej sukience. Nigdy nie miała służyć jako koszula nocna i była skandalicznie wymięta. Jeśli chodzi o wygląd, John miał nade mną znaczną przewagę.

W nadziei, że uda mi się odciągnąć go od książki, której, jak się obawiałam, nie zechce mi oddać (wiedziałam, że prędzej czy później musimy odbyć tę rozmowę, tylko nie byłam na nią przygotowana przed śniadaniem), spytałam zbyt wesołym tonem:

- Idziesz sortować zmarłych?

- Po Franka - odparł.

- Ach tak. - Całkiem zapomniałam o Franku. - To pozdrów go ode mnie. Mam nadzieję, że dobrze bawił się z Kaylą.

John uniósł książkę. Do licha.

- Skąd to wzięłaś? - spytał tonem twardym jak kamień.

- A skąd ty to wzięłeś? - odbiłam piłeczkę. Atak jest najlepszą obroną.

- O ile pamiętam, była w mojej torbie, to moja własność. Wzięłeś ją sobie bez pytania. Powinieneś wiedzieć, że...

- Zdaje się, że kohabitacja polega między innymi na tym, że co moje, to twoje, i vice versa, co zresztą udowodniłaś wczoraj, przeszukując dokładnie moje osobiste rzeczy, kiedy byłem w pracy. Chyba właśnie tak znalazłaś swoją torbę?

Wypiłam jeszcze jeden łyk herbaty, zastanawiając się nad odpowiedzią. Zagiął mnie totalnie.

- Dał mi ją pan Smith - wyjaśniłam, bo uznałam w końcu, że prawda będzie najlepsza.

- Pan Smith - powtórzył z ponurą miną. - Powinienem był wiedzieć.

- Tak - odparłam. - Powinieneś być. O co chodziło wczoraj Patrickowi z tymi granatami?

John zbladł.

- Myślałem, że wiesz - powiedział.

- Oczywiście że nie wiem. Zabrałeś nas stamtąd, zanim się dowiedziałam.

- Powiedziałaś wczoraj wieczorem - wyjął mi z dłoni filiżankę i szybko wychylił jej zawartość, jakby potrzebował się wzmocnić - że rozumiesz konsekwencje.

- Nie będzie żadnych konsekwencji wczorajszego wieczoru - stwierdziłam. - Życie nie może powstać w krainie śmierci. Pan Smith mi to potwierdził.

- To o to ci chodziło? - Zbladł jeszcze bardziej.

- Jasne. A o co chodziło tobie?

Otworzył usta, ale nie wydał dźwięku. Nie odrywał wzroku od książki, którą trzymał w dłoniach. Wyglądał, jakby ktoś walnął go pięścią w brzuch.

- John. - Mocno zaniepokojona wyrazem jego twarzy i milczeniem, uklękłam na łóżku. - Jakie konsekwencje miałeś na myśli? I o co chodziło Patrickowi, kiedy powiedział, że mogę jeść, co chcę? Kiedy dokładnie to samo powiedziałam ci wczoraj, twierdziłeś, że...

Zobaczyłam, że kolor wraca mu na policzki i zrozumiałam, że John się czerwieni.

- Wiem - przerwał mi. - Wiem, co powiedziałem wczoraj. Nie chciałem, żebyś wiedziała, że możesz odejść, gdy-

by... no, gdyby między nami nie było dobrze. Chciałem tylko, żebyś dała mi szansę. Uznałem, że jeśli będziesz przekonana, że musisz tu zostać, bo tak zarządziły Mojry, to zostaniesz. Tak bardzo chciałem, żebyś została. Skłamałem. - Patrzył na książkę w dłoniach. - Teraz zdaję sobie sprawę, że postąpiłem źle. Ale ty nie wytrzymałaś nawet doby, od razu chciałaś odejść...

- Chciałam postępować we własnym tempie - przypomniałam mu. - Nie odejść. To nie jest to samo, John.

- Rozumiem. - Uniósł na mnie znękaną spojrzenie. - Teraz. I przepraszam. Jeśli to ma dla ciebie znaczenie, naprawdę sądziłem, że wiesz. I czułem się koszmarnie, że cię okłamuję. Wiele razy chciałem ci powiedzieć. Ale po prostu... nie mogłem. A kiedy znalazłaś się w domu mamy i zobaczyłem, jak bardzo za nią tęsknisz, i jak chcesz tam zostać, to prawie... prawie... Jednak kiedy przyszło co do czego, nie potrafiłem cię zostawić. Niemal się ucieszyłem, kiedy przyszła twoja babcia - dodał z tą swoją dziką żarliwością. - Miałem dobry pretekst, żeby cię stamtąd zabrać.

Z trudem powstrzymałam uśmiech. Wiedziałam, że powinnam być na niego wściekła... i część mnie była.

Ale inna część mnie chciała się śmiać z tej jego męskiej głupoty, choć powstrzymałam się, bo śmiech raczej nie byłby właściwą reakcją.

- Wybaczam ci - oznajmiłam ze śmiertelną powagą. - Tym razem. Ale nie mogę uwierzyć, że zachowałeś się tak okropnie. Nigdy więcej tego nie rób. Naprawdę, po władcy zmarłych spodziewałam się lepszych manier. Szczególnie że mówiłam ci tyle razy, że chcę z tobą być, nieważne gdzie.

Mina psa, który zbyt wiele razy został kopnięty przez pana, zaczęła znikać. Na jego twarzy zaświtała nadzieja.

- John - powiedziała, głaszcząc go po policzku. - Ja nie potrzebuję jakiegoś głupiego przepisu, żeby tu zostać i spróbować ułożyć sobie z tobą życie. I tak bym została, bo cię kocham. A właśnie tak postępują ludzie, którzy się kochają.

Smutne było, że to dla niego taka nowość.

- Naprawdę tak myślisz? - spytał, chwytając mnie za rękę. Jego oczy błyszczały z przejęcia.

- Pewnie, że tak - odparłam z uśmiechem.

- To dobrze. - Uniósł *Historię Wyspy Kości*. - Więc czytałaś to?

Opuściłam dłoń od jego twarzy. Może i mieliśmy przed chwilą ważny przełom w związku, ale najwyraźniej nie zamierzał dać mi spokoju z tą głupią książką.

- Fragmenty - przyznałam się. - Te o „Liberty”. Drgnął, jakbym go uderzyła. Blask w jego oczach zgasł.

- No tak. Więc znasz już prawdę o człowieku, którego zabiłem. To był mój ojciec.

Krew znów odpłynęła z jego policzków, pozostawiając bladą skórę. Pod oczami miał cienie, których wcześniej nie zauważyłam, a jego wargi były zaciśnięte.

- Tak - wyznałam. Musiałam wydrzeć sobie to słowo z gardła.

- Więc teraz już chyba wiesz, dlaczego nie chciałem o tym rozmawiać.

- Spuścił wzrok. - Bo to powód do wstydu. Wiedziałaś przez cały czas?

Wzruszyłam ramionami.

- Że to był twój ojciec? Od wczorajszego wieczoru. Ale zawsze wiedziałam też, że musiałeś mieć ważne powody. Powiedziałeś, że był potworem. Że cała twoja rodzina taka była. - Nie odrywałam wzroku od okładki książki. - Wszyscy z wyjątkiem matki.

- Nienawidziłem tego, jak ją traktował - rzekł John, wciąż na mnie nie patrząc. - Pamiętam ją szczęśliwą tylko wtedy, kiedy on był na morzu, i to dopóki byłem mały. Kiedy podrosłem, to też zniszczył, siłą zabierając mnie ze sobą w podróże, więc prawie jej nie widywałem. Była jego drugą żoną. Pierwszą przedwcześnie wpędził do grobu - spojrzął na mnie wreszcie, zawstydzony - swoją rozpustą i pijaństwem.

Czułam, że wybrałby mniej oględne słowa, gdyby rozmawiał z mężczyzną.

- Ach tak - powiedziałam cicho. Wiedziałam, że moja rodzina nie była ideałem, ale zaczynało do mnie docierać, jakie miałam szczęście, że ich miałam... pomimo babci.

- Synowie, których miał z pierwszą żoną - ciągnął John - nie byli lepsi od niego. Ja byłem jedynym synem pracującym w przedsiębiorstwie Hayden i Synowie, chociaż miałem trzech starszych braci. Ich ojciec nigdy nie zmuszał do harówki w rodzinnej firmie. Zbyt dobrze im szło wydawanie wszystkich zysków. Na kobiety i karty, jak się okazało. Zrozumiałem, że ktoś musi utrzymywać matkę, bo inaczej skończy w przytułku. Teraz ich już nie ma, ale to były okropne miejsca, do których wysyłano ludzi, przede wszystkim kobiety i dzieci bez środków do życia. „Liberty” była jedynym statkiem, którego ojciec nie musiał oddać karcianym wierzycielom moich braci. Rozumiesz, Pierce?

Skinęłam głową, z trudem przełykając kluczę, która stanęła mi w gardle. John był tak strasznie zawstydzony.

- Nawet nie wiedziałem, że mamy na pokładzie diament Persefony. - Przesunął palcem po łańcuszku, a ja zadrżałam, kiedy dotknął mojej skóry. - Ojciec pokazał mi go, kiedy byliśmy już w drodze do Hawany. Jeden z braci wygrał go w karty i znalazł na niego kupca na Isla Huesos. Co było

bardzo wygodne, bo mogliśmy go podrzucić w powrotnej drodze do Anglii. Nie podobał mi się ten plan, ale nie mogłem nic zrobić, kiedy byliśmy już na morzu. Wiedziałem, że naszyjnik prawdopodobnie został skradziony, ale nie miałem pojęcia skąd, i ile jest wart. A już na pewno nie wiedziałem, że jest... - Urwał.

- Przeklęty? - podsunęłam głosem ochryplym od niewylanych łez.

- Nie jest przeklęty - powiedział zamyślony John, poprawiając mi łańcuszek na szyi - skoro ty go nosisz. Jest błogosławiony. Dopiero w połowie drogi z Hawany na Isla Huesos dowiedziałem się, że mój ojciec uknuł własny spisek z Williamem Rectorem...

Uniosłam wzrok, słysząc to nazwisko.

- Tak - ciągnął John ponuro. - Z osławionej rodziny Rectorów. Ojciec skontaktował się z nim i zgodził się celowo rozbić statek o rafę...

Tego nie rozumiałam.

- Rozbić własny statek? Dlaczego?

- To się zdarzało - odparł John z goryczą. - Rzadko, ale słyszało się plotki. Kapitanowie rozbijali własne statki, udawali, że to wypadek, a potem dzielili się z wrakarzami nagrodą za uratowany towar. W jeden dzień mogli zarobić tysiąc razy więcej, niż przez całe lata na morzu. Z góry uzgadniali z wrakarzem miejsce rzekomego wypadku. I przeważnie nikt się nie orientował, jak było naprawdę.

- To coś jak oszustwo ubezpieczeniowe - zauważyłam. John skinął głową.

- Ojciec tkwił po uszy w długach. „Liberty” to był nowy statek, i bardzo dobry. Kadłub mógł przyjąć porządne uderzenie i nadawałby się do naprawy. Ale przede wszystkim ojciec mógł schować do kieszeni diament Persefony i po-

wiedzieć, że zginął w morzu. I nikt by się nie zorientował, łącznie z moim bratem... i kupcem.

- Okraść własnego syna? Och, John. - Serce mi się ścisnęło.

Pokręcił głową.

- Nie, Pierce - wyjaśniał. - Nie o wisiołek się pokłóciliśmy... i nie przez niego zginął. Nic mnie to nie obchodziło. Jak dla mnie, ojciec mógł zabrać sobie ten kamień i zniknąć na zawsze, i krzyż mu na drogę. Chodziło mi o to, że zamierzał narazić „Liberty” i załogę na takie ryzyko dla marnych paru tysięcy dolarów. Nie mogłem na to pozwolić. Na tym statku był Henry, Pierce. Mały Henry, i trzy tuziny innych marynarzy... Frank, pan Graves, pan Liu. A gdyby coś im się stało? Gdyby coś poszło nie tak? Wpakowanie statku skały to nigdy nie jest dobry pomysł, a do tego był październik... a październik w tej cieśninie to zły miesiąc. Wody są wzburzone, podgrzane przez długie lato. Sztormy pojawiają się znikąd.

Przypomniał mi się mój sen. Sztorm rzeczywiście pojawił się znikąd... i John przepadł w nim na zawsze.

- Błagałem ojca, żeby nie realizował tego planu. Znałem Rectora. Pierwsze przykazanie wrakarza to najpierw ratować załogę, potem ładunek. Ale Rector prędzej pozwoliłby załodze utonąć, niż zaryzykował utratę choćby jednej beli bawełny, szczególnie że ceny stały wysoko. Ojca nie obchodziło, co by się stało, gdyby przed sądem dowiedziono, że Hayden i Synowie celowo zatopili własny ładunek. Przedsiębiorstwo byłoby zrujnowane na zawsze. Ale ja widziałem błysk w oczach ojca. - Spojrzenie Johna stwardniało na to wspomnienie. - Więc się pokłóciliśmy. Posunął się do przemocy, jak często mu się zdarzało, bo był pijakiem. Tym razem po raz pierwszy mu się postawiłem...

i przegrał. Ale okazało się, że większość załogi była równie chciwa jak ojciec... cóż, wiedział, kogo zatrudnia... i chciała przeprowadzić jego plan. Resztę już znasz.

- Ale statek się nie rozbił - dodałam. - Dopłynął do portu.

- Bo rozpętał się sztorm, a na pokładzie był tylko jeden dobry nawigator, który w takich warunkach mógłby wprowadzić statek na skały, nie zabijając przy tym połowy załogi. - Uśmiechnął się z żalem. - A oni wyrzucili go za burtę. Więc ostatecznie zrezygnowali z planu ojca.

- John, tak mi przykro. Nic dziwnego, że nienawidzisz Rectorów.

- To szumowiny - odparł. Jego uśmiech zniknął. - Zawsze żerowali na słabych i bezradnych, wykorzystywali tych, którzy nie mogli sobie poradzić sami. Mój ojciec i William Rector byli okropnymi ludźmi, ślepyimi na wszystko z wyjątkiem własnych potrzeb...

Przerwało mu stłumione świergolenie. O dziwo, brzmiało jak dzwonek telefonu komórkowego.

- Co to było? - spytałam.

- Nie wiem - odparł John, równie zdumiony jak ja. Dzwonek zabrzmiał jeszcze raz, równie nagłacy. - Chyba dobiega z...

Schylił się i odnalazł na podłodze moją torbę. Położył ją na łóżku. Dzwonek zabrzmiał jeszcze raz, bliżej.

- To moja komórka - stwierdziłam, nareszcie rozpoznając dźwięk. Chwyciłam torbę i zaczęłam w niej grzebać.

- Pierce - powiedział John. - To niemożli... Wyciągnęłam komórkę, która dzwoniła już po raz czwarty.

- Owszem - odparłam z irytacją. - To jest możliwe, jeśli jesteś królową Świata Podziemi. Mam szczególne przywileje.



Nie zauważyłaś jeszcze? - Na wyświetlaczu widniał napis: „niezidentyfikowany numer”. Wcisnęłam zielony guzik OK.

- Halo?

Mój rozmówca nie był niezidentyfikowany. Zidentyfikowałam go natychmiast. Był to mój kuzyn Alex.

- Pierce - powiedział. - Pierce?

Połączenie było tak fatalne, głos tak trzeszczący i odległy, że ledwie go słyszałam.

Nie rozumiałam tylko, dlaczego jest taki zdyszany.

- Alex? - Zatkałam wolne ucho palcem, żeby lepiej go słyszeć. Hope wybrała sobie ten moment, by wpaść do pokoju i wylądować na łóżku. Poczłapała po miękkiej kołdrze i zaczęła bóść mnie główką w bosą stopę, gruchając bardzo głośno. Zignorowałam ją. - Alex, nie słyszę cię zbyt dobrze. Możesz mówić głośniej? Gdzie ty jesteś?

- Pierce - powtórzył Alex tym samym upiornym głosem, jakby dzwonił z grobu. - Zdaje się... - Dalej nastąpiły same trzaski - ...coś strasznie głupiego. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

- Czekaj. - Posłałam Johnowi paniczne spojrzenie. -Gdzie jesteś? Fatalnie cię słyszę. Myślałam, że Frank i Kayla odstawili cię do domu.

John wyciągał już tablet, który trzymał w kieszeni. Jego palce zaczęły śmigać po ekranie. Nie miałam pojęcia, co robi. Byłam pewna, że na tych tabletach można tylko sprawdzać nazwiska zmarłych, albo, w przypadku Johna, sprawdzać, co ja porabiam na ziemi. Ale może pisał ese-mes do Franka.

- Tu nie ma powietrza, Pierce - dyszał Alex. Słyszałam, że płacze. - Musisz się pospieszyć... nie mogę zadzwonić po gliny, bo chyba oni też są w to zamieszani, a jak zadzwonię do taty, to tylko wpakuję go...

Gęsia skórka pojawiła się na moich rękach.

- Alex - powiedziałam. - Zdążyłam już zeskoczyć z łóżka i szukałam butów. - Przerzywa mi. Co się dzieje? Wyszedłeś z domu? Poszedłeś szukać trumny? Przecież jeszcze nie skończyli jej budować.

- Nie tej trumny - odparł Alex. Słyszałam go coraz słabiej. Następne słowa brzmiały jak z tamtego świata... ale przecież to ja byłam na tamtym świecie. - Rozpracowałem ich... wiem, gdzie to wszystko chowają.

I cisza. Połączenie się zerwało.

- Co chowają? Alex! - krzyknęłam, przyciskając telefon do ucha tak mocno, że zabolalo. - Alex?

Odwróciłam się do Johna, spanikowana, wyciągając telefon w jego stronę.

- Rozłączyło nas. Ma kłopoty i rozłączyło nas.

John w milczeniu podał mi swój tablet. Ekran pokazywał ten sam obraz, który wcześniej widziałam w swojej komórce: Alexa uwięzionego w skrzyni, przypominającej trumnę.

- Dlaczego ty to widzisz? - spytałam gniewnie, wkładając buty.

- Pierce - powiedział ponuro. - Przecież wiesz, dlaczego to widzę. Zastanów się, kim jestem.

Ogarnęła mnie zgroza.

- On nie żyje? Niemożliwe. Myślałam, że go uratowaliśmy!

- Też tak myślałem - przyznał John z tak chmurną miną, że serce mi zamarło. - Ale najwyraźniej jest na cmentarzu.

- Na cmentarzu?! - wybuchnęłam. - Co on robi na cmentarzu? Myślałam, że Kayla i Frank zabrali go do domu.

- Bo zabrali - odparł John, patrząc na ekran. - Widocznie znowu wyszedł. Pierce...

- Co? - Serce tłukło mi się dwa razy szybciej niż zwykle. - No już, John, musimy iść. Gdzie on dokładnie jest?

John wyłączył tablet i schował go, wciąż nie patrząc mi w oczy.

- W mauzoleum Rectorów.

- Znaczy, w środku? - Nic z tego nie rozumiałam. - To niemożliwe. Co by tam robił?

- Nie wiem. - John nareszcie spojrział mi w oczy i zobaczyłam w nich głęboki żal. - Ale, Pierce, obawiam się, że jest już za późno. On już nie żyje.

*Wtem barka nasza wbiegła w rów kolisty,  
Który krainę beznadziejną grodzi;  
Mur nad nim zdał się barwy żelazistej.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń VIII

Nie może nie żyć. Powtarzałam to w kółko.

- Nie może nie żyć. Mylisz się. To, że jesteś stróżem zmarłych, nie znaczy, że wiesz wszystko. Myliłeś się, że Furie są niezniszczalne. Więc możesz się mylić w sprawie Alexa.

- Okej. - John miał taką minę, jakby pragnął walnąć w coś pięścią. - Pójdziemy na plażę i znajdziemy go, i przekonasz się, że w tej sprawie mam rację...

- Nie. - Może i histeryzowałam. Nie wiem. Po prostu nie wydawało mi się to możliwe. Kiedy widziałam Alexa ostatnim razem, był żywy. Stał sztywny jak kołek, bo go tuliłam i mówiłam mu, że go kocham, i był zbyt dumny - albo zbyt pokiereszowany przez życie - żeby odwzajemnić się tym samym.

Ale był żywy. To nie miało żadnego sensu. Jak mógł teraz nie żyć?

To, co powtarzał mi John - że nie musimy wracać na ziemię, żeby go znaleźć - miało jeszcze mniej sensu.

John przestał się już upierać, że nawet jeśli ktoś wróci na Isla Huesos szukać Alexa, to na pewno nie ja. Przestał mi przypominać, co się stało ostatnim razem, kiedy wróci-

łam na wyspę - że gdziekolwiek poszłam, czekała na mnie Furia, która chciała mnie skrzywdzić. W zasadzie przestał mówić cokolwiek oprócz tego, że Alex nie żyje.

- Zadzwoił do mnie, John. Zadzwoił właśnie do mnie, do nikogo innego, John. I ja mu pomogę.

- Pierce - odparł tonem pełnym współczucia i zrozumienia, ale z twardym realizmem w oczach. - To nie ma sensu. On nie żyje.

Naskoczyłam na niego gniewnie.

- Ja też nie żyłam. Ale mama wyciągnęła mnie z basenu i zrobiła usta-usta, ratownicy zrobili mi masaż serca i ożyłam. Pamiętasz? Więc przestań się ze mną kłócić i zabierz mnie do niego, póki jest jeszcze czas.

Wtedy wreszcie przestał się kłócić, chwycił mnie za rękę i raz... dwa... trzy... mrugnęłam.

Byliśmy w jego krypcie. Ale nie sami.

W bladym świetle świtu z trudem dostrzegłam dwóch mężczyzn w pirackich kostiumach, leżących bezwładnie na ziemi. Byli nieprzytomni, a ręce i nogi mieli związane chyba własnymi ciuchami. Obok nich siedział po turecku Frank, z plecami opartymi o ścianę i z pustą butelką Rumu Kapitana Roba w dłoni.

- O, cześć - powiedział i pomachał do nas. - Miło, że wpadliście na imprezę.

- Co tu się stało? - spytał gniewnie John. Nie był zadowolony.

- Przyszedłem tutaj, żeby się z tobą spotkać, kapitanie, tak jak zaplanowaliśmy, i zastałem ich. - Frank podrzucił butelkę, zręcznie złapał ją za szyjkę, i podrzucił znowu. - Zdaje się, że urządzili tu zasadzkę na ciebie i Pierce. Ale jak na wynajętych zbirów, nie byli chyba najlepszym wyborem. Picie w pracy to kiepski pomysł... ale pewnie zaczęli

jeszcze na festynie i nie widzieli powodu, żeby przestawać. Ja tylko przyspieszyłem sprawę. Prawda, dzielne chwaty? - Frank pchnął jednego z nieprzytomnych mężczyzn czubkiem buta.

- Idź sobie - wymamrotał osiłek i przekręcił się na drugi bok na wygodnym pościeliu z kwiatów poincjany i czerwonych plastikowych kubków. - Czekamy na kogoś.

- Znajdź sobie własny grób - powiedział drugi. - Ten jest zaklepany. Ładny i suchutki.

- Wiem z doświadczenia, że urządzenie sobie zawodów w picie z nieznanym nigdy nie kończy się dobrze - ciągnął Frank, puszczając do mnie oko. - Szczególnie kiedy używa się napitku, którym były pracodawca rzeczonego nieznanego codziennie upijał swoją załogę. Pamiętasz, kapitanie? Ech, wspomnienia.

Frank uniósł butelkę. Zauważyłam, że na etykietce Rumu Kapitana Roba widniał portret żeglarza. Był odrobinę podobny do Johna... gdyby John był starszy, miał długie wąsy, bokobrody i odpychający uśmiezek.

Dopiero teraz do mnie dotarło: kapitan Rob od rumu to kapitan Robert Hayden. Byłam ciekawa, który z przodków Johna wykorzystał tragiczny alkoholizm jego ojca, by rozkręcić dochodowy biznes. Bo na pewno nie John.

Zobaczyłam, że krzywi się z niesmakiem.

- To pewnie znajomi naszego przyjaciela Mike'a - powiedział, patrząc na dwóch pijanych mężczyzn. - Wątpię, by w tym stanie sami przeleźli przez ogrodzenie cmentarza.

Frank skinął głową.

- No, nie przez te szpikulce. Ktoś musiał wpuścić ich bramą.

- Tak jak w noc morderstwa Jade - mruknął zamyślony John.

Frank poweselał.

- O tym nie pomyślałem. Moglibyśmy ich trochę potortuować, żeby się dowiedzieć.

John zerknął na mnie z niepokojem.

- Na razie lepiej ich zostawmy i wyjdźmy stąd... Prawie ich nie słuchałam. Pomijając już zżerający mnie

niepokój o Alexa, w krypcie Johna nie pachniało najlepiej (jeden z mężczyzn chyba na siebie wymiotował), a podróż ze świata Johna do mojego jak zwykle sfatygowała mi żołądek.

- Racja - przyznał Frank, zerkając na mnie. - Są porządnie związani i nigdzie się nie wybierają...

Na szczęście łańcuch zamykający kratę wciąż był zerwany. Dlatego Furie bez problemu dostały się do środka, by się na nas zacząć. Pchnęłam kratę i wyszłam na alejkę przed kryptą, z ulgą wdychając świeże poranne powietrze.

Przestało padać. Wstające słońce dzielnie próbowało wypalić pędzące chmury i malowało niebo na wschodzie w pomarańczowe, czerwone i lawendowe pasy. I całe szczęście, bo dzięki temu mieliśmy trochę światła; miejskie latarnie na cmentarzu i wokół niego, postawione tu, by łatwiej było zwalczać „wandalizm młodocianych”, zaczęły już gasnąć.

Niektórzy z nas wiedzieli, że wandalizm nie ma tu nic do rzeczy i żadna liczba latarni nie poprawi sytuacji.

- ...pod same drzwi - słyszałam Franka za swoimi plecami, kiedy pospiesznie ruszyłam zwirową alejką. - Oddałem mu telefon i kluczyki, tak jak kazałeś, a potem poczekaliśmy, aż wejdzie do środka. Dopilnowaliśmy go.

- Wierzę ci - odparł John spokojnie. - A co z jego samochodem?

Wiedziałam, o kim mówią. O Aleksie. Frank bronił się, twierdząc, że wykonał zadanie powierzone przez Johna i bezpiecznie odstawił Alexa do domu.

Byłam pewna, że Alex rzeczywiście dotarł do domu, tylko potem znów się wymknął. Ale dlaczego? Dlaczego mnie nie posłuchał? Dlaczego nie posłuchał Kayli?

Serce łomotało mi jak u królika, kiedy szliśmy w stronę mauzoleum Rectorów, dobrze widocznego pośród innych grobów, bo było największe na cmentarzu. Piętrowe i całe z błyszczącego szarobrazowego marmuru. Miało nawet własne ogrodzenie - niski łańcuch, jak w muzeum, ostrzegający gości, żeby nie dotykali eksponatów. Za łańcuchem był trawnik, prawdopodobnie jeden z nielicznych na całej Isla Huesos. Tropikalne klimaty, jak wytłumaczył mamie architekt krajobrazu, są niegościnne dla trawy. Rectorowie musieli płacić fortunę za jej utrzymanie.

- ...jakkolwiek tu dotarł, na pewno nie przyjechał własnym autem. Przeciąłem mu nożem wszystkie opony...

Ale mój kuzyn nie potrzebował samochodu, żeby dotrzeć na cmentarz. Dom mamy był ledwie parę ulic stąd, a dom babci, gdzie mieszkał Alex, jeszcze bliżej. Prawdopodobnie przyszedł pieszo.

- ...nie chciała wracać do domu - dobiegł mnie głos Franka, niesiony przez silny wiatr, który bujał palmami posadzonymi w równych odstępach między grobami i rzeźbami płaczących aniołów.

- Co? - rzucił ostro John.

- No nie chciała - odparł Frank trochę zaczepnie. -Wiesz, jakie są w tych czasach dziewczyny. Robią co chcą. A ona nie chciała wracać. Powiedziała, że nie jest późno i nie chce jej się spać.



- W takim razie gdzie jest? - spytał John zaniepokojony.

- Nie wiem. Podrzuciła mnie tutaj. Nie wiem, dokąd pojechała potem...

- Podrzuciła cię tutaj?

Zrozumiałam, że mówią o Kayli. Ale nie byłam zbyt zaniepokojona. Jeśli ktoś potrafił sam o siebie zadbać, to właśnie Kayla. Teraz musiałam martwić się o Alexa. Czy nie to powiedział wujek Chris? W oczach stanęły mi łzy, kiedy przypominałam sobie naszą rozmowę na podjeździe mamy. Powiedział, że to nie o mnie musi się martwić. Za to Alex... wujek czuł, że powinien się martwić o syna. I przyznał się, że mu za to wstyd.

Wujek Chris. Jak ja mu to wszystko wytłumaczę? Miałam się opiekować Alexem, bo wujek się o niego martwił. I zawiodłam go.

Zobaczyłam ptaki, zanim ukazało mi się wejście mauzoleum. Wyglądały zupełnie jak te ze Świata Podziemi - były czarne i krążyły w powietrzu, całymi dziesiątkami, wprost nad kryptą Rectorów. Były ciche jak śmierć.

- O Boże - jęknęłam i ruszyłam biegiem.

John pierwszy dopadł wejścia. Nie przypominało tego w jego krypcie - kraty z kutego żelaza, ozdobnej i zardzewiałej, zamkniętej na rowerowy łańcuch. Te drzwi były z grubej czarnej stali, nowoczesne i czyste, jak drzwi więziennej celi, z wbudowanym zamkiem.

Rzuciłam się na nie, uczepiłam się gałki i szarpnęłam panicznie.

Oczywiście nawet nie drgnęły.

- Spokojnie - powiedział kojąco John. - Pierce, spokojnie. Ja otworzę.

- Jak? - W moim głosie brzmiała histeryczna nuta. -Jak?

- Odsuń się - poleciał i pchnął mnie łagodnie w stronę Franka, który chwycił mnie za ramiona i odprowadził na bok.

Po czym John zrobił coś, co wprawiło mnie w osłupienie... choć nie powinno po tym wszystkim, przez co z nim przeszłam i co widziałam do tej pory. Obrócił się i - tak jak zrobił to z cmentarną bramą tamtej nocy, kiedy tak strasznie się pokłóciliśmy i wyrzucił mój naszyjnik - kopnął stalowe drzwi, robiąc hałas tak potworny, że zatkałam uszy i rozejrzałam się, by sprawdzić, czy nikogo nie obudził.

Oczywiście nie obudził. Byliśmy pośrodku ośmiohektarowego cmentarza. Nie było tu kogo obudzić... chyba że zmarłych.

Drzwi otwarły się z hukiem.

John wszedł do środka, a ja za nim, z dziko łomoczącym sercem. Wszystkie ściany mauzoleum zajmowały nisze grobowe, jedna na drugiej, z błyszczącymi, mosiężnymi tabliczkami pod każdą. Począwszy od góry leżał tu William Rector z żoną, potem ich synowie z żonami, potem dzieci synów, i wnuki, i tak dalej, po sześć nisz w każdym rzędzie. Rectorowie byli najwyraźniej równie skuteczni w rozmnażaniu się, jak w robieniu dochodowych interesów. Na poziomie oczu daty były współczesne, a niżej był chyba z tuzin z pustymi tabliczkami.

W centrum mauzoleum znajdowało się duże ozdobne palenisko, w którym płonął wieczny ogień, dymiący w otwartą przestrzeń... bo budynek nie miał dachu. Tylko miedziany okap osłaniał tańczący płomień przed żywiołami. Szczyt okapu wieńczyła obrzydliwa rzeźba z brązu, w nowoczesnym stylu. Przedstawiała parę, ubraną w togi i splecioną w uścisku. W dłoniach trzymali owoc. Nie miałam pewności, bo realizm nie był raczej specjalnością artysty, ale wyglądało mi to na owoc granatu.

- Boże święty - powiedział na widok rzeźby Frank, który bez pośpiechu przyszedł za nami. - Rector jest bardziej stuknięty, niż sądziliśmy. Nigdy do tej pory nie chciałem być ślepy jak Graves, ale teraz bym chciał, byle tylko na to nie patrzeć.

- Frank - syknął John, wpatrując się w moją twarz. -Bądź cicho.

- Ale co oni tutaj robią? - dopytywał się Frank. - Urządzają sobie pikniki ze zmarłymi krewnymi i podziwiają tę paskudną rzeźbę?

Ignorując Franka, stanęłam przed ścianą z zaciśniętymi pięściami. Miałam problemy z oddychaniem. Odnosiłam wrażenie, że ta rzeźba patrzy na mnie... śmieje się ze mnie.

- W której jest Alex? - spytałam. - Jak go znajdziemy? John stanął u mojego boku i razem ze mną zaczął oglądać tabliczki.

- W którejś z tych pustych. Serce mi zamarło.

- Oczywiście. - Gdyby upchnęli go do trumny z nieboszczykiem... nie chciałam nawet o tym myśleć. - Ale tych pustych jest tak dużo...

Rozproszyła mnie Hope, która zaczęła dziobać coś na kamiennej podłodze... coś raczej niejadalnego, bo miało nienaturalny odcień czerwieni i nie przypominało kwiatu poincjany.

- Hope - powiedziałam do niej. - Przestań.

Oczywiście nie przestała. Uniosła główkę, kiedy podeszłam, by zabrać jej przedmiot. Usunęła się poza mój zasięg, jakby zirytowana, że przeszkadzam jej w posiłku, i zaczęła dziobać gdzie indziej. Schyliłam się, żeby obejrzeć to, co próbowała zjeść.

Była to długa, cienka, czerwona serpentyna... dokładnie taka, jaka mogłaby wypaść z pompona dziewczyny przebranej za cheerleaderkę, a potem przykleić się do podeszwy buta jej chłopaka.

Na wprost serpentyny, na poziomie ziemi, znajdowała się nisza grobowa. Z pustą plakietką.

- Ta - powiedziałam do Johna, wskazując palcem. - To ta!

John bez wahania wyrwał drzwiczki niszy, choć były zamknięte na klucz.

W środku była trumna. Po co wkładać trumnę do niszy z pustą tabliczką?

Stałam z boku, z sercem w gardle, kiedy John i Frank pośpiesznie wyjmowali trumnę. Nie była to prowizoryczna samoróbka ze sklejki, pomalowana w barwy LIH. Była to prawdziwa trumna, szczerze mówiąc bardzo elegancka, z czarnego lakierowanego drewna, w dorosłym rozmiarze... i hermetycznie zamknięta.

Zachłysnęłam się z przerażenia. Czy to był jakiś krewny Seta, którego rodzina dopiero pochowała? Może tabliczka z nazwiskiem nie była jeszcze gotowa. Czyżbyśmy się pomylili? Czy profanowaliśmy miejsce ostatniego spoczynku jakiegoś dziadka Seta Rectora?

Ale było już za późno. Bo kiedy John i Frank wyciągnęli wreszcie trumnę z niszy, Frank niechcący upuścił swój koniec. Trumna przewróciła się, wieko uchyliło. Rozległ się syk, jakby dekompresji...

O nie, szepnął cichy głos we mnie. O nie, o nie.

I nagle ktoś, kto na wpół siedział w trumnie, by dokładniej przywrzeć twarzą do wieka i wyssać resztki powietrza ze szczelin, wylądował na plecach na żwirze wyścielającym

ziemię w mauzoleum, z kępkami wilgotnych od potu czarnych  
włosów sterczącymi na głowie. Oczy miał zamknięte.

Był to Alex.

Martwy.

*Śród lasu, w miejsce wprzód nie wyszukane  
Pada przygodnie, jak ją wiatr ulowi;  
Padłszy, kielkuje, niby ziarnko lniane.*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń XIII

Z cichym krzykiem padłam przy nim na kolana. Ostry żwir wbił mi się w gołą skórę, ale ledwie to zauważyłam. Twarz Alexa była czerwona i gorąca.

„Tu nie ma powietrza, Pierce - powiedział. - Musisz się pospieszyć...”

Alex potrafił być wkurzający, to prawda. Nie chciał mi powiedzieć, co planuje - w jaki sposób chce się zemścić za to, co rzekomo pan Rector zrobił jego ojcu - aż było za późno.

Ale nic nie usprawiedliwiała tego, co mu zrobili. Frank powiedział, że Rectorowie są nienormalni. Ale jaki obłąd tłumaczy coś takiego?

- Alex. - Chwyciłam go za ramiona i potrząsnęłam. - Alex!

Nie ruszył się.

Zrozumiałam, że jest za późno. Moje serce zaczęło bić w zwolnionym tempie. Za późno.

- Gdzie moja komórka? - spytałam jak we śnie. - Musimy... musimy wezwać karetkę.

- Pierce - powiedział John. Nigdy nie słyszałam u niego tak smutnego głosu. - Przykro mi, ale jest za...

Za późno.

- Dzwon po karetkę! - krzyknęłam na niego.

John wzruszył ramionami i sięgnął do kieszeni po telefon, który kazałam mu schować. Moja sukienka nie miała kieszeni, a nie chciałam taszczyć ze sobą torby podczas misji ratunkowej.

Tyle że nie dało się już nikogo uratować. Bo było za późno. Alex nie żył.

Odwrociłam się do niego z powrotem i zaczęłam tłuc go pięścią w mostek. Oczywiście wiedziałam, jak zrobić masaż serca. Kiedy człowiek umiera, a potem ożywa dzięki czyjejś reanimacji, stara się przynajmniej z grubsza dowiedzieć, co z nim robili. Ja poszłam na kurs pierwszej pomocy.

Ale teraz wszystko, czego nauczyłam się na kursie, wyleciało mi z głowy.

Schyliłam się, żeby wdmuchnąć Alexowi powietrze do ust; moje łzy kapały mu na twarz, splukując świeże ślady na jego brudnej skórze. Do tej chwili nawet nie wiedziałam, że płaczę.

Powinnam była teraz myśleć, jak wytłumaczę to wszystko wujkowi Chrisowi, i mojej mamie, i babci oczywiście (choć jej nie byłam winna niczego, nawet wyjaśnień).

Powinnam myśleć o Aleksie - o tym, jakie to nie fair, że jego życie skończyło się tak wcześnie, tym bardziej, że tak długo był nieszczęśliwy. Zaslugiwał na coś lepszego. To nie powinno się tak skończyć.

Ale myślałam tylko o tym, że kiedy powiedziałam mu, że go kocham, nie odwzajemnił mi się tym samym. Wiedziałam, że mnie kochał. Chyba. Ale wiedziałam też, że to nie miało znaczenia. Nie zasługiwałam na jego miłość,

bo się spóźniłam. I niech mnie szlag trafi, jeśli jeszcze raz pozwolę komuś umrzeć przez to, że się spóźniłam.

I nagle dotarło do mnie, że niepotrzebnie się przejmuję, bo przecież znam kogoś, to potrafi to wszystko naprawić, bez żadnej reanimacji, pogotowia, niczego... znam kogoś, kto może to odwrócić jednym machnięciem ręki.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

Uniosłam się znad ciała Alexa i spojrzałam na Johna. Zdziwiłam się, widząc, że klęczy obok mnie. Był w dżinsach, więc żwir nie wrzynał mu się w kolana.

- Zadzwoń do pogotowia. - Twarz miał bladą i ściągniętą w świetle poranka. - Już jadą. Jeśli nie chcemy, żeby go tu z nami przyłapali, musimy się zaraz zbierać, Pierce.

- Nie - powiedziałam, chwytając go za rękę. Uśmiechnęłam się do niego przez łzy, nagle uradowana. Wszystko będzie w porządku. Wszystko będzie dobrze. - John... mam pomysł. Możesz go wyleczyć. Tak jak wyleczyłeś moje skaleczenie, a potem otarcie na szyi. Możesz go ożywić jak tamtego ptaka.

Wpatrywał się we mnie, jakby nie rozumiał.

- Co?

Jak mógł nie wiedzieć, o czym mówię?

- Tamtego dnia, kiedy cię poznałam. - Uniosłam rękę, żeby obetrzeć łzy z policzków. Nie musiałam już płakać. To było takie cudowne. - Pamiętasz? Byłam tu, na cmentarzu. Mówię o ptaku, którego znalazłam po pogrzebie dziadka, kiedy miałam siedem lat. Był taki podobny do Hope. Był martwy, i płakałam, i żeby mnie pocieszyć przywróciłeś go do życia. Możesz zrobić to samo z Alexem. - Uśmiechając się do niego, chwyciłam jego dłonie i położyłam je na martwym ciele Alexa. - Zrób to. Zrób to teraz, i możemy iść. Możemy wszyscy wracać do domu.



John zostawił ręce tam, gdzie je położyłam, ale pokręcił głową, patrząc na mnie tak, jakbym była odrobinę nienormalna. Nie było w tym nic niezwykłego. Wszyscy tak na mnie patrzyli. Przyzwyczaiałam się.

- Pierce - rzekł, nie odrywając ode mnie spojrzenia. - Powiedziałem ci to już tamtego dnia, kiedy mnie poprosiłaś, żebym wskrzesił twojego dziadka, pamiętasz? Ptaki nie mają dusz. Ludzie mają. To nie jest to samo. Nie mogę tego zrobić.

Rzeczywiście, mówił mi coś takiego. Teraz sobie przypomniałam. Ale nie zamierzałam pozwolić, żeby taki drobny szczegół przeszkodził mu w czymś, co na pewno mógł zrobić. John mógł wszystko.

- Skąd wiesz? - spytałam go. - Próbowalesz kiedyś?

- Prawdę mówiąc - wtrącił Frank, opierający się o przeciwległą ścianę - próbował.

Spojrzałam na niego, zaskoczona.

- Tak?

Frank kiwnął głową, oglądając własne paznokcie.

- I to skutecznie. Tak na poczekaniu potrafię wymienić przynajmniej cztery takie przypadki.

John obrócił gwałtownie głowę i warknął twardym głosem:

- Frank, milcz. - Gdzieś w oddali zahuczał grzmot. Skołowana spojrzałam na Johna.

- No więc, skoro to już robiłeś, to dlaczego nie chcesz tego zrobić teraz, dla mnie? - nalegałam. - Już wiem, że możesz. - Uśmiechnęłam się do niego z ufnością.

- Bo to był błąd - odparł John. Jego głos brzmiał łagodnie, ale w jego oczach widziałam zbierającą się burzę. Zrozumiałam, że będzie się opierał. Nie wiedziałam, dlaczego, ale nie chciał tego zrobić. - Dopiero zaczynałem

i nie wiedziałem jeszcze, że tak nie można. Nie rozumiałem konsekwencji.

Znów te konsekwencje. Głupie konsekwencje.

Ale jeśli to oznaczało, że Alex nie musi umrzeć...

- Jakie były te... - przełknęłam ślinę i uśmiechnęłam się. Nie chciałam, żeby widział moje wahanie. Bo nie wahałam się. - ...konsekwencje?

Znów zagrzmiało, tym razem głośniej. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że ptaki zniknęły. Dokąd odleciały? Została tylko Hope; podfrunęła na groteskową rzeźbę i usiadła na owocu granatu.

- Takie, że nie było warto - odparł John stanowczo.

- To już kwestia punktu widzenia - zaznaczył Frank. - Ja tam jestem wdzięczny, że żyję, i myślę, że jeśli zapytasz pozostałych, zgodzą się ze mną.

Spojrzałam na Johna, i znów na Franka.

- Chcesz powiedzieć...

- Owszem - potwierdził Frank. - Kapitan znalazł Gravesa, Liu, Henry ego i mnie, martwych jak kłody po tym październikowym huraganie. I chyba zrobiło mu się przykro, bo nas ożywił...

- I tym samym skazałem ich na spędzenie reszty wieczności ze mną, w Świecie Podziemi. - Głos Johna ciął jak bicz, oczy były tak mroczne i wściekłe jak niebo podczas huraganu. - Więc jak widzisz, Pierce, trzeba zapłacić wysoką cenę. Mogę przywrócić twojego kuzyna do życia, ale nie takiego życia, jakie znał. Pozwól mu odejść do świata, który czeka na niego po drugiej stronie. Z pewnością będzie szczęśliwszy i lepiej na tym wyjdzie.

Przygryzłam wargę.

- Nie ty o tym decydujesz.

- Tak się składa - rzekł John cicho - że ja.

Oczy znów napełniły mi się łzami. Nie mogłam uwierzyć, że dzieje się naprawdę. Z głębin rozpaczy wzniosłam się na wyżyny nadziei, by przez niego znów spaść w najczarniejszą głębię.

- Pierce - powiedział głosem pełnym smutku, ale i determinacji. - Nie płacz. Mówię poważnie. To niczego nie zmieni. Nie zmienię zdania. Gdybym wiedział, że wskrzeszenie Franka i pozostałych skaze ich na wieczne życie w Świecie Podziemi, to sądzisz, że bym to zrobił?

- A dlaczego nie? - spytałam, pozwalając łzom wreszcie wylać się na policzki. Łatwo było mi płakać. Wystarczyło, że spojrzałam na bezwładne ciało Alexa, i łzy same płynęły. - Mnie skazałeś na nie całkiem chętnie.

Chwila milczenia. W końcu John spytał ostrożnie:

- Co masz na myśli?

- Konsekwencje, John? - Roześmiałam się gorzko. - Persefona nie była skazana na życie w Świecie Podziemi dlatego, że zjadła owoc granatu. Ale dlatego, że zrobiła z Hadesem to, co my zrobiliśmy tej nocy. To właśnie symbolizuje granat, zgadza się?

Johnowi odebrało mowę. Ale wiedziałam, że mam rację, bo na jego policzki zaczął wypływać rumieniec... a poza tym nawet nie próbował zaprzeczać.

Oczywiście zrozumiałam to wszystko dzięki rzeźbie, na której siedziała Hope. Nie pojmowałam, dlaczego Rec-torowie mieli taką obsesję na punkcie Persefony, że nawet umieścili jej posąg w mauzoleum, ale było jasne, że mają koszachty z takim czy innym podziemnym światem.

- Nie martw się - szeptałam, zniżając głos, bo nie chciałam, żeby usłyszał mnie Frank. - Nie mam ci tego za złe. Spytałeś mnie, czy jestem pewna, bez względu na konsekwencje. I powiedziałam, że jestem. Ale sądziłam, że

mówiąc o konsekwencjach masz na myśli dziecko, a wiedziałam już, że to się nie może zdarzyć. Zdaje się, że pan Smith powiedział ci wczoraj wieczorem, że granat symbolizuje coś zupełnie innego niż dzieci czy śmierć...

- Pierce. - John chwycił mnie za rękę. Jego palce były jak lód, ale w głosie i spojrzeniu dostrzegłam ciepło. - Nie dlatego to zrobiłem. Kocham cię. Kocham cię od pierwszej chwili, bo jesteś dobra... jesteś tak dobra, że dzięki tobie ja też chcę być dobry. Ale właśnie w tym problem, Pierce. Nie jestem dobry. I zawsze się bałem, że kiedy odkryjesz prawdę o mnie, znowu uciekniesz...

Nabrałam powietrza, by powiedzieć mu milionowy raz, że to nieprawda, ale przerwał mi i nie pozwolił się odezwać, dopóki sam nie skończy mówić.

- A wczoraj o mało nie zginęłaś - ciągnął - i to była moja wina. Potem chciałem ci pokazać, jak bardzo cię kocham i... i sprawy posunęły się dalej, niż się spodziewałem. Ale ty mnie nie powstrzymałaś - jego oczy płonęły, jakby wyzywały mnie, bym zaprzeczyła - chociaż powiedziałem ci, że możemy zwolnić, jeśli chcesz.

- Wiem - odparłam miękko, spoglądając na nasze złączone palce. - Każde z nas trzymało jedną dłoń na ciele Alexa. - Wiem, że mogłam cię powstrzymać.

- Nie chcę znów cię stracić - wyznał żarliwie. - Straciłem cię już raz i nie mogłem tego znieść. Nie chcę znów przez to przechodzić. Ja... ja wiem, że postąpiłem źle. Ale w tamtej chwili nie czułem, że to złe.

Spojrzałam mu w oczy.

- I przynajmniej w tej sprawie masz rację - powiedziałam.

- Więc mi wybaczasz? - spytał.

Zawahałam się, miotana milionem sprzecznych emocji. John wiedział. Przez całą naszą wspólną noc wiedział, że na zawsze przykuwa mój los do swojego.

Ale sądził, że ja też to wiem. Zapytał, czy jestem pewna, że tego chcę, niezależnie od konsekwencji. Może nie rozumiałam, o jakie konsekwencje chodzi, ale moja odpowiedź była bardzo stanowcza.

- Przepraszam - zawołał Frank spod przeciwległej ściany krypty - ale może zerkniecie na chłopaka.

John i ja spojrzeliśmy w dół. Pod naszymi dłońmi, spoczywającymi na jego piersi, Alex ożył.

*Sternik nasz krążył, zanim dał swej łodzi  
Wbiec do przystani; nareszcie przybija:  
„Wysiadźcie - krzyknął nam - tedy się wchodzi!”*

Dante Alighieri *Piekło*, Pieśń VIII

To było niemożliwe.

- Hej - mruknął Alex. Powieki mu zatrzepotały. Uniósł rękę, jakby chciał walczyć z niewidzialnym wrogiem. -Puszczajcie mnie. Puszczajcie, mówię.

- Nie - szepnęłam, szybko zabierając rękę. - Nie. -Spojrzałam osłupiała w oczy Johna. - Ty to zrobiłeś?

W oczach patrzących w moje widziałam takie samo osłupienie.

- Nie. W każdym razie nie chciałem.

John nie wyglądał na zadowolonego. Wręcz przeciwnie. Jego grube czarne brwi ściągnęły się w literę V. Wpatrywał się w Alexa, który mruknął:

- Przestańcie! - i wreszcie otworzył oczy na dobre.

- Och, Pierce - powiedział, rozpoznając mnie. - Ależ miałem koszmarne sen. Co... co się stało?

- Jesteś idiotą. - Frank podszedł i stanął przed nim. -I z tego powodu ktoś cię zabił. Ot, co się stało.

- Frank. - John uciszył go z irytacją i znów spojrzał na Alexa. - Jak się czujesz? Dasz radę iść?

Nie wiedziałam, dlaczego John o to pyta, ale nagle w oddali usłyszałam... syrenę. Karetka, którą kazałam mu wezwać, już tu jechała. Oczywiście nie potrzebowaliśmy jej.

Byłam ciekawa, jak ambulans dostanie się na cmentarz, skoro obie bramy były zamknięte. Ratownicy nie mieli kluczy.

Chyba że Mike wróci, żeby wypuścić swoich kumpli...

- N... nie wiem - odparł Alex. - Czuję się dziwnie. - Spojrzał w dal. - To wschód słońca? - spytał. - Czy zachód?

Frank zerknął w tę stronę.

- Wschód - poinformował.

- Piękny - stwierdził Alex zachwyconym tonem. - Taki czerwony.

To mnie zaskoczyło. Alex nigdy wcześniej nie miał w zwyczaju komentować urody takich zjawisk jak wschód słońca. Może dzięki śmierci bardziej docenił życie.

Oczywiście że tak, rozumiałam. Teraz był DSK, jak ja.

- W tym niebie nie ma nic pięknego - prychnął Frank. - Czerwone niebo wieczorne, po nocy morze spokojne. Czerwone niebo o świcie, żeglarzu, bój się o życie. To znaczy, że idzie sztorm, chłopcze. I to o wiele potężniejszy, niż ten, który przeżyłeś.

John posłał Frankowi błagalne spojrzenie. Tymczasem Alex spojrzał na leżącą obok niego trumnę z otwartym wiekiem. Sądząc po jego minie, wszystko zaczęło mu się przypominać.

- O Boże - wykrztusił.

- Alex. - Chwyciłam jego dłoń, a w sercu wzbierało mi współczucie dla niego... i dla wujka Chrisa. Obaj nie mieli pojęcia, co ich czeka. - Wiem, że to, co przeszedłeś, musiało być straszne. Staralam się przyjść jak najszybciej. Ale...

- To byli oni, Pierce - rzekł Alex. - Uniósł swoje ciemne spojrzenie i przekonałam się, że w jego oczach nie ma bólu. Płonęła w nich wściekłość... i pragnienie zemsty. -Wiedziałem. Wyszedłem z domu i zacząłem ich śledzić. Przyszli tutaj. Zgadnij dlaczego?

- Alex - rzuciłam. Już go nie żałowałam. - To nieistotne. Muszę ci powiedzieć coś ważnego. - Bo zrozumiałam, że on tego nie wie. Nie pojął, co go spotkało, albo nie pamiętał...

- A właśnie że istotne - odparł Alex z przejęciem, unosząc się na łokciach. - Seth i ci jego kumple zachowują się, jakby byli właścicielami wyspy. Ale wiesz co? Mamy ich na widelcu. Bo wymknąłem się i poszedłem za nimi, i zobaczyłem, gdzie trzymają towar. Właśnie tu. - Wskazał trumnę.

- Ale... - Zamrugłam. - Tu nic nie ma.

- Teraz nie ma - odparł zirytowany Alex. - Bo jak się zorientowali, że ich śledzę, zabrali wszystko i dla odmiany wpakowali do trumny mnie. Ale czy to nie genialne? Nikt nie przychodzi na ten cmentarz, bo podobno jest nawiedzony czy coś, więc nie ma tu kamer, świateł, nic. Założę się, że właśnie dlatego zginęła Jade. Zobaczyła, jak się tu zakradają, więc ją uciszyli.

Zrozumiałam, że Alex może mieć rację.

- Myśleli, że jak mnie tu zamkną, to uciszą i mnie -ciągnął Alex, siadając. W ogóle mnie nie słuchał. - Ale kto jest teraz górą? Narobią w majty ze strachu! Myślą, że nie żyję. - Roześmiał się. - Ale my im pokażemy.

- Hm, Alex - przerwałam mu, zerkając na Johna, który zaciskał usta tak mocno, że jego wargi niemal zniknęły. -Muszę ci coś powiedzieć...

Przerwał mi kobiecy szloch. Wszyscy spojrzeli na mnie. Owszem, chciało mi się płakać, ale nie szlochałam. Odwróciłam głowę i osłupiałam na widok Kayli, siedzącej



przy palenisku, z twarzą zalaną łzami. Nie przebrała się po Festynie Trumien, chociaż zgubiła jeden z kryształków w kąciku oka i nie miała peleryny.

- Ja... ja przepraszam - powiedziała, wyciągając do nas rękę dłonią do góry. - Tylko... lepiej niech ktoś mu powie prawdę.

John odwrócił głowę i spojrzał na Franka, jakby chciał go zabić wzrokiem.

- Co ona tu robi? - mruknął pod nosem.

- Nie wiem - wymamrotał Frank, biegnąc do Kayli. - Kayla, słonko, jak długo tu jesteś?

- Wystarczająco długo, żeby się domyślić, kim jesteście - odparła.

- Kayla. - Wstałam z ziemi. Syrena karetki wyła już całkiem blisko.

Zignorowała mnie. Wyrwała łokieć z dłoni Franka, kiedy chwycił ją, mówiąc:

- Wszystko ci wyjaśnię.

- Nie potrzebuję twoich wyjaśnień - odparowała; pierś falowała jej dramatycznie w porannym powietrzu. - Od razu pomyślałam, że coś z wami jest nie tak, tylko nie wiedziałam, co. Ale teraz wiem. Wszystko się zgadza. - Jej ciemne oczy błyszczały od łez, kiedy wiodła po nas oskarżycielskim spojrzeniem. - Widzę, że walczycie po stronie dobra i chcę się przyłączyć. - Spojrzała na Franka, odsunęła z szyi czarne loki i zamknęła oczy. - No dalej. Zrób to.

Zapanowała długa chwila ciszy; wszyscy gapiliśmy się na kształtną szyję Kayli. W końcu Frank spojrzał bezradnie na Johna.

- No trudno - powiedział. - Musimy ją zabrać ze sobą. Wszystko wie.

- Nie - orzekł stanowczo John. Grzmot zahuczał wprost nad naszymi głowami, tak głośny, że pochłonał wycie syreny.

- Kayla - zaczęłam, podchodząc do niej. Potrząsnęłam ją za ramiona. - Nikt cię nie będzie gryzł.

Zdezorientowana otworzyła oczy.

- To jak... jakim cudem wskrzesiliście Alexa? Jakim cudem John wykopał drzwi? Jakim cudem ożywił Franka? Co Rectorowie chowają w trumnach? O czym wy w ogóle mówiliście?

Zrozumiałam, że Frank miał rację. Ona naprawdę wszystko wiedziała. No, prawie wszystko.

- Jezu Chryste - jęknął Alex, wytrzeszczając nagle przestraszone oczy. - Co ona mówi? Brała coś? Bo mnie przecież nikt nie wskrzesił. Prawie umarłem, ale nie całkiem. Nie tak jak Pierce.

Spojrzałam na niego z politowaniem. Biedactwo, nie zobaczył światła.

- Zacznie gadać i ją zabiją - powiedział Frank do Johna. - Jego już zabili. - Wskazał Alexa. - Myślisz, że z nią nie zrobią tego samego?

Alex był coraz bardziej zaniepokojony.

- Dlaczego w kółko powtarzacie, że umarłem? Przecież żyję.

John podszedł wściekłym krokiem do Franka i syknął:

- To jest kraina zmarłych, a nie przytułek dla dziewcząt w kłopotach.

- Nie? - spytał Frank bez mrugnięcia okiem. - To ty zrobiłeś z niej przytułek... kapitanie.

Otworzyłam szeroko oczy. Spodziewałam się, że John go uderzy. Dawny John by to zrobił.

Ale choć zobaczyłam, że zaciska pięści, nie uniósł ich. Wziął głęboki, spokojny oddech.

To nie był dawny dziki John. To był nowy John... jego zachowanie wciąż było nieprzewidywalne, ale bardziej przemyślane niż kiedyś, zanim zamieszkałam z nim w Świecie Podziemi.

Podeszłam do niego, wzięłam go pod rękę i szepnęłam:

- Frank ma rację. Nie możemy jej tutaj zostawić. Oni zabili Jade, a teraz Alexa. Może mogłaby u nas na trochę zostać. Dopóki wszystko się nie uspokoi. - Zerknęłam nerwowo na Franka. - Mogą zamieszkać w osobnych częściach zamku.

John odwrócił głowę w moją stronę; w jego spojrzeniu zobaczyłam mieszaninę niedowierzania i sceptycyzmu.

- A niby jak to zrobimy? - spytał.

- Tak samo, jak ożywiłmy Alexa. I pozbyliśmy się tamtej Furii. I tak samo, jak w końcu załatwimy Rectorów. - Uniosłam naszyjnik i pokazałam mu diament. - Zespołowo.

Zacisnął szczęki.

- Pierce - rzekł, spoglądając mi w oczy. - Kamień jest... Czarny. Tak dokończyłby zdanie. Gdybym nie była

tak zajęta wszystkim, co się działo, sama bym zauważyła, i zorientowała się, że Hope podfrunęła z rzeźby i zatacza nad nami ciasne kręgi, krzycząc na alarm, śmiertelnie przerażona.

Ale było już za późno. Zanim zdaliśmy sobie sprawę z niebezpieczeństwa, było już u drzwi.

Znajomy głos ryknął tak głośno, że schyliłam głowę, przekonana, że dobiega z bardzo bliska. John też tak zareagował. Objął mnie opiekuńczo.

- Pierce Ohviera - zawołał komendant Santos. - Wiemy, że tam jesteś. Bezprawnie weszłaś na prywatny teren. Wyjdź, a tobie i twoim towarzyszom nic się nie stanie.

John zrozumiał pierwszy.

- Megafon - stwierdził, prostując się. - Muszą stać parę kroków od krypty.

Frank pobiegł do drzwi, żeby wyrzeć, przywierając do ściany pełnej przodków Rectorów. Kiwnął głową i szybko przemknął się do nas.

- Policja - powiedział. - Wjechali samochodami na cmentarz. - Ściszył głos, żeby Kayla i Alex nie usłyszeli. -I są bardzo dobrze uzbrojeni.

Zrozumiałam, że ta syrena wcale nie była syreną karetki.

- To moja wina - mruknęłam. - Namierzyli połączenie z mojego telefonu. Niewiarygodne. Ależ jestem głupia.

John uścisnął mnie na pociechę.

- To nie twoja wina - powiedział, wskazując coś palcem. - Popatrz.

Nie zauważyłam ich wcześniej. We wszystkich czterech rogach patia z paleniskiem znajdowały się kamery. Wycelowane prosto w nas. Filmowały każdy nasz ruch.

- Powtarzam - huknął głos komendanta Santosa. -Wtargnęliście na teren prywatny. Liczę od pięciu. Jeśli nie wyjdziecie, zanim dojdę do jedynki, usuniemy was siłą. Pięć...

Kayla, z szeroko otwartymi, przerażonymi oczami przysunęła się bliżej do mnie.

- To komendant policji - rzuciła niespokojnie. - Pamiętasz go z zebrania? Wszędzie poznam ten głos.

John położył wolną dłoń na jej ramieniu, jakby chciał ją pocieszyć. Frank wziął ją za rękę.

W tej chwili zrozumiałam, że John podjął decyzję... albo zrozumiał, że Furie podjęły ją za niego. Nie było już odwrotu.

Do głowy przysła mi rymowanka, którą wyrecytował wcześniej Frank: „Czerwone niebo wieczorne, po nocy

morze spokojne. Czerwone niebo o świcie, żeglarzu, bój się o życie".  
Zauważyłam, że niebo na wschodzie zrobiło się krwawoczerwone.  
Kayla, zdezorientowana, spojrzała na dłoń Franka.

- Zaraz - powiedziała. - Co się dzieje?

- Cztery! - huknął komendant przez megafon.

- Rector oskarży nas o profanację jego mauzoleum - odparł Alex, zbierając się z ziemi. - Jestem pewien. I nikt nie uwierzy w ani jedno moje słowo przez to, kim jest mój tato.

- Pewnie masz rację - odparłam, idąc za przykładem Johna i chwytając kuzyna za rękę.

- Nie pójde do więzienia za to, co zrobili mi ci goście -oznajmił stanowczo Alex.

- Trzy!

- Nie martw się. Nie będziesz musiał - zapewniłam.

- Zaraz. - Alex popatrzył na mnie, zdziwiony. - A ty skąd to wiesz?

- Dwa!

Spojrzałam na Johna. On spojrzał na mnie i objął mnie mocniej.

- Wybaczysz mi? - spytał z płonącymi oczami.

- Uśmiechnęłam się.

- Zobaczymy.

- Jeden.

Zamknęłam oczy.

X...